



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

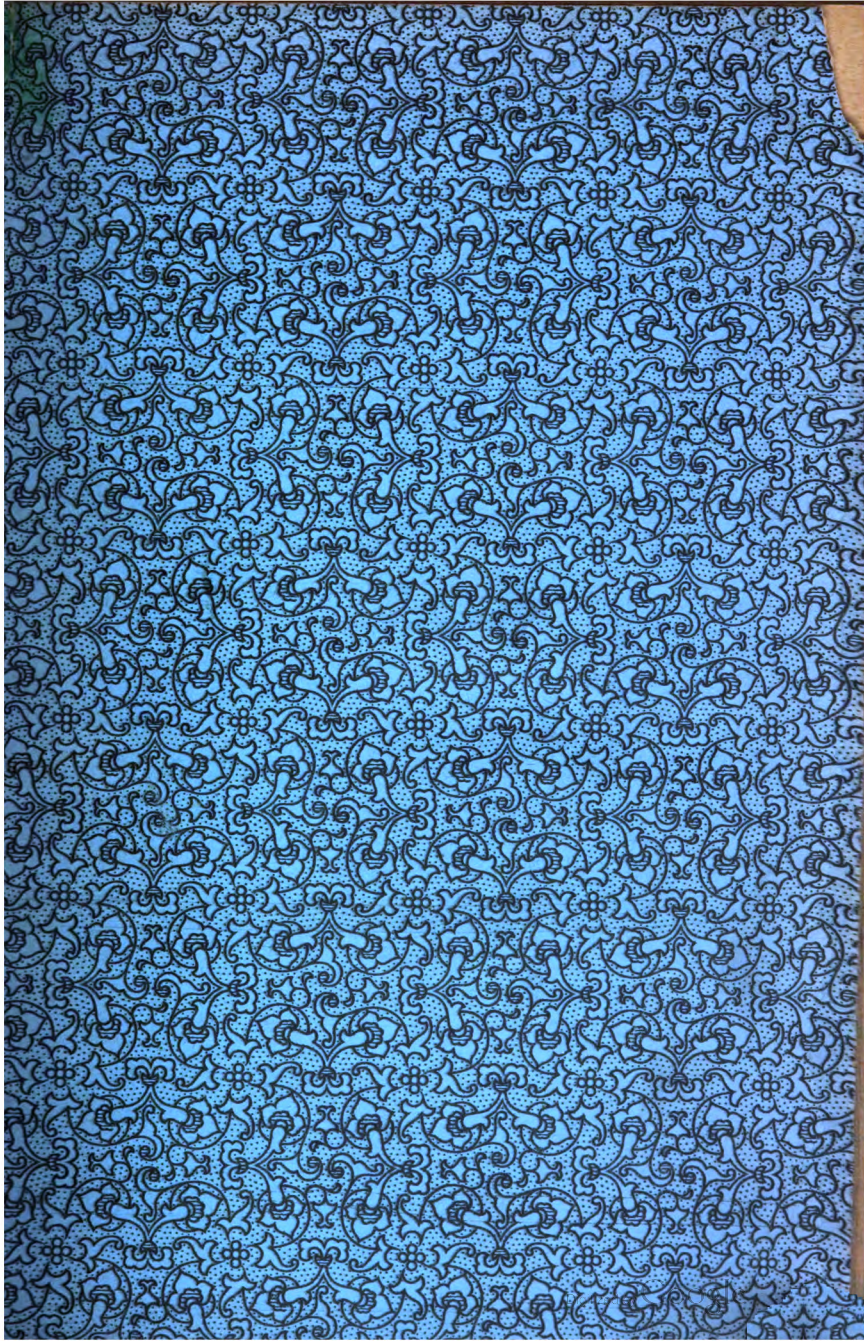
Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Wodzirej

Gabriela Zapolska





WODZIREJ.

Al. J. J.

Gabryela Zapolska.

WODZIREJ

POWIEŚĆ.

Tom II.

WARSZAWA.

Kurjer Warszawski
Krakow.-Przedmieś. № 40.

S. Lewental
Nowy Świat № 41.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Декабря 1896 года.

PG 7158

Z 35106

12.

I.

— Może powiedzieć panu Janczewskiemu, ażeby lepiej wiedział, jak rzeczy stoją...

— Nie... trzeba wszystkich powoli do téj katastrofy przyzwyczaić ..

— Jak pan chce... ja się zupełnie zastosuję do pana woli.

I ze ślicznym a niezgrabnym ruchem niewieściój pokory pochyliła Teczia głowę przed rozpartym na krześle Tadeuszem.

Nastało milczenie.

Niewiele mieli sobie do powiedzenia ci dwoje, znów nagle zbliżeni — jego fantazją, jój miłością. On miał minę Papkina, który bez walki wiódł za sobą jeńca, ona — czuła się nieśmiałą i zawstydzoną. Przebaczyła tak łatwo, na pierwsze niemal skinienie.

Teraz stała koło stołu, prując pośpiesznie przyszyte krzywo haftki wzdłuż aksamitnego stanika. Była to robota samej Wielohradzkiej, którą Teczia naprawiała, wyciągając duże ścięgi jedwabiu, które dość krzywo znaczyły się na aksamicie. Wielohradzka widziała coraz mniej, szyla źle i krzywo. Teczia z wielkim taktem i dyskrecją naprawiała tę fuszerkę, gdy Wielohradzka wychodziła z domu. Dziewczyna śpieszyła się gorączkowo. Duże czerwone plamy wystąpiły jęj na policzki.

Tadeusz wyciągnął ku nięj rękę.

— Czemu Teczia tak się ciągle z daleka trzyma?... Czy mi Teczia nie ufa?

— Ufam, proszę pana! — odparła dziewczyna — ale nie mam czasu. Okropnie się śpieszę... Jak babcię kocham, nie mam czasu.

Tadeusz się skrzywił.

— Niech Teczia oduczy się tego zaklinania, to bardzo nieładnie mówić ciągle „jak babcię kocham”...

— Dobrze, proszę pana, to już nie będę tak mówić...

Tadeusz namyślił się chwilkę.

— Albo niech Teczia mówi, bo to może ma pewien wdzięk taka prostota.

— Jak pan chce! — odparła — mogę mówić, mogę nie mówić...

Milczeli znów przez długą chwilę. Od okna padał

majowy wieczorny blask, trochę liliowy, złagodzony jeszcze bielą firanek.

— Dlaczego Teczka włożyła dziś broszkę? — spytał znów Tadeusz.

Dziewczyna zaczerwieniła się nagle, jak wiśnia, i milcząc spuściła głowę.

— Tyle razy prosiłem... — ciągnął Wielohradzki, kołysząc się na krześle -- żeby Teczka nie nosiła ani broszek, ani maneli, ani żadnej norymberszczyzny... Żadna dama, która się umie ubierać, nie nosi na codzień biżuteryi — co najwyżej kolczyki, zawsze jedno i te same, i pierścionek... Teczka nie ma gustu za centa, a w dodatku słuchać mnie nie chce...

— To nie ja... to babcia... — wyszeptwała wreszcie Teczka.

— Co babcia?

— Kazała mi włożyć tę broszkę koniecznie... jak babcię kocham!...

— Znowu?...

— Co?

— Jak babcię kocham!...

— Przecież pan mi pozwolił... — tłumaczyła się dziewczyna.

On założył nogę na nogę i stopę, odzianą w pantofel z monogramem, kiwać zaczął.

— Nie o to chodzi... — wyrzekł, mrużąc oczy — ale po co Teczka broszkę włożyła na siebie?

— Powiedziałam już: babcia mi kazała...

— Pytam dlaczego?...

— Bo... bo... ten garnitur... to prezent...

— A!... od kogo?...

— Od... pana Janczewskiego... Babcia każe mi koniecznie nosić i broszkę i kolczyki... Ja nie chciałam i nawet umyślnie rozdrapałam sobie ucho igłą: niby mnie te kolczyki obciążają uszy... Ja wiedziałam, że pan się będzie gniewał, dlatego to zrobiłam. Ale już dzisiaj nie mogłam się wykręcić. Babcia mi kazała włożyć broszkę.. Musiałam...

Tadeusz wyduł usta w ironicznym uśmiechu.

— A!... więc to prezent... od pana Janczewskiego... bardzo piękny... cóż to przedstawia ta broszka? lokomotywę? może zapalić? zacznie buchać para... Bardzo... bardzo dystyngowany gust... Winszuję...

Tecia pochyliła jeszcze niżej głowę. Oddychała szybko. Nagle szybkim ruchem odpięła broszkę i schowała do kieszeni.

— A!... — podjął Tadeusz — a!... przepraszam.. nie wiedziałem, iż ta piękna broszka jest tak bardzo pannie Teci drogą i że żarty moje aż skłonią Tecię do zdjęcia tego drogocennego klejnotu... Niech *pani* przypnie znów to świcidelko. Nie powiem już ani słowa w tym przedmiocie .. proszę... proszę ..

Tecia nie odparła ani słowa, tylko szyła wciąż zawzięcie.

Na jej lśniące ręce spadły dwie duże łzy, które

szybko obtarła o fartuszek, bojąc się, aby nie splamiły aksamitu.

Tadeusz patrzył na te łzy z pewnego rodzaju zadowoleniem.

— Czego *pani* płacze? — zapytał, podkreślając wyraz „*pani*” — przecież przeprosiłem za moje nie-wczesne żarty z dobrego gustu pana Janczewskiego... Proszę włożyć broszkę.. Nie chcę *pani* pozbawiać przyjemności noszenia tak miłej pamiątki.

Widocznem było, iż wielką ulgę i przyjemność sprawiało mu doprowadzenie do łez téj cichéj dziewczyny, która nareszcie zdobyła się na odpowiedź.

— Nie dlatego płaczę... że... pan śmieje się z pana Janczewskiego, ale dlatego, że pan myśli, iż ja dobrowolnie kładę jego prezenty... Mówiłam panu już, że babcia kazała...

— Och!... z rewolwerem nad panią babcia nie stała!...

— Nie, ale..

Urwała i nagle, usiadłszy koło stołu, położyła głowę na rękę i płakać zaczęła, wołając:

— Czemu mi pan tak dokucza?... Czemu mi pan tak dokucza?...

On siedział nieruchomy, lubując się w téj myśli, iż mógłby dwoma słowami osuszyć te łzy, a jednym pocałunkiem otworzyć niebo téj istocie. Lecz nie wyrzekł tych słów, nie dał pocałunku, przedłużając przyjemność téj „sceny”, którą powtarzał i wywoły-

wał coraz częściej, wiedziony chęcią dokuczania istotom, mającym dla niego serdeczne uczucie w głębi duszy.

Patrzył na Tecię i w myśli powtarzał sobie:

— Płacz!... płacz!... dobrze ci!..

Patrzając tak, zdziwił się, jak wydała mu się małą, chudą i nędzną, siedząc z głową ukrytą, z linią grzbietu zarysowaną szarem płótnem stanika. I ogarnął go niesmak, gorycz, zniechęcenie. Ta cała scena nudzić go zaczęła. Szukał teraz w myśli, jakby ją obrócić w coś, co może mu dać nową sumę wrażeń, i nie mógł nic znaleźć. zaczął się niecierpliwic i miał za złe Teci, iż umiała tylko płakać. Chciał kłótni, nerwowój zamiany zdań, wyrzutów, gniewu — natomiast miał tylko letni deszcz łez. Ziewnął i wzruszył ramionami.

Dziewczyzna ciągle płakała.

Tadeusz chciał wstać i odejść do swego pokoju, lecz ktoś do drzwi lekko zastukał.

Tecia porwała się z miejsca i wybiegła do przedpokoju. Po chwili powróciła, prowadząc za sobą dwie małe dziewczynki.

— Kto to? — zapytał Tadeusz.

— To małe Zimermana — odpowiedziała Tecia, nie patrząc na niego.

Dwie małe żydóweczki, odziane w perkalikowe sukienki, dygnęły przed Tadeuszem, dygnęły przed

Tecią i dygnęły raz jeszcze przed próżnią, jak dwie nakręcone lalki.

— Tata przysyła! — wyrzekła starsza, wyciągając rękę, w której miała głęboki talerz, nakryty spodkiem. Mniejsza wyciągnęła także rękę; z kawałka chały opadł na ziemię papier zadrukowany.

Obie dziewczynki były prześliczne: białe, różowe, buzie okrągłe, oczy szafirowe, duże i marzące. Noski miały zadarte, włosy blond, lśniące i splecione w warkocze. Na nogach białe pończochy opadały w obwarzanki; zbyt krótkie sukienki ujawniały brak podwiązek.

Tadeusz nie ruszył się z miejsca, przygasłemi oczami patrząc na obie żydóweczki.

Tymczasem Tecią wzięła talerz i do kuchni zmierzła.

— Przełożę do menażki — wyrzekła — i zaraz wam talerz oddam.

Idąc, odkryła spodek.

Ostro-słodka woń cebuli wypełniła pokój.

Tadeusz skrzywił się wykwintnie.

— Niech panna Tecią to wyniesie, bardzo proszę...

— Przecież pan rybę po żydowsku bardzo lubi...

— Lubię, ale gdy jem... proszę to zaraz wynieść.

Dziewczyna znikła w kuchni, po chwili wróciła i oddała talerz starszej żydóweczce.

— Kłaniajcie się tacie i podziękujcie za rybę — wyrzekła, gładząc młodszą po głowie.

Lecz Zimermanówny nie ruszały się z miejsca.

— Tatko prosił, żeby pani dała ratę! — wyrzekła wreszcie starsza, zupełnie poprawną polszczyzną.

Twarz Teci pokryła się wyrazem zakłopotania.

— Pani Wielohradzka wyszła..... niema jej w domu!

— To my poczekamy. Tatko kazał zaczekać!.. — odparła dziewczynka i natychmiast, ciągnąc za sobą siostrę, usunęła się do drzwi.

I przylepiwszy się do ściany, stały tak obie, białe, różowe, niebiesko-okie.

Tadeusz ze złości zaczął bębnić po krawędzi stołu.

Te dwie małe dziewczynki, czekające pokornie na ratę należną ich ojcu, wydawały się mu dwoma katami, którzy czyhali na niego z rozpalonemi do białości obcęgami.

Nie śmiał jednak odwrócić się i wyrzucić Zimermanównien za drzwi. Wiedział, iż matka nie zapłaciła ostatniej raty. Z ironią więc gorzką ścigał teraz wzrokiem kręcącą się po pokoju Tecię. Miał ochotę napaść znów na nią. Obecność dzieci wstrzymywała go. Czuł jednak, iż nerwy go dławią i że wybuchnie lada chwila pod jakimkolwiek pretekstem.

— Jeżeli panna Teci — wyrzekł nareszcie — umyślnie tu te dzieci sprowadziła, aby mnie zmusić do wyjścia z domu, to w takim razie cel został dopięty. Wychodzę!...

Lecz siedział na krześle i coraz silniej nogą kiwał.

— Wychodzę!... — powtórzył dobitnie.

Tecia nie odpowiedziała ani słowa, lecz szybko zbliżyła się do dzieci.

— Chodźcie do kuchenki — wyrzekła — zaczekać tam na panią... dam wam krzeselka.

Wzięła dwa plecione krzeselka i wyprowadziła obie dziewczynki, które dygnęły przed plecami Tadeusza, suwając zbyt dużemi trzewikami, widocznie kupionemi na wyrost. Tecia powróciła i znów zabrała się do szycia.

Tadeusz ziewnął głośno i ręce za tył głowy założył.

— Dlaczego Tecia nic nie mówi? — zapytał — czy Tecia się jeszcze dąsa?... Śliczny charakter!

— Ja się nie dąsam — odparła, siadając koło okna dziewczyna — tylko...

— Tylko?

— Anioł-by nie wytrzymał, tak mi pan wciąż dokucza.

Tadeusz wzruszył ramionami.

— To Teci wina!

— Moja?

— Tak! Gdyby Tecia nie była takie masło maślane, to byłoby inaczej.

Tecia pokiwała głową i zaczęła przygotowywać maszynę.

— Tak pan mówi — odparła — a gdybym ja za każdym słowem odcinała się panu, to nasze kłótnie Bóg wie jakby długo trwały...

— Aż do pogodzenia.. może panna Teczka nie lubi się godzić?

Śmiała się nieszczerze, fałszywie, otwierając szeroko usta. Widocznem było, iż robi wszystko, co może, aby wmówić w siebie, iż i jego te „pogodzenia” bawiły.

Dziewczyna nie odpowiedziała nic, tylko z szumem zaczęła zbierać dokoła maszyny sfastrygowane bryty spódnicy.

Znów zastukano do drzwi.

Teczka wstała od maszyny i pobiegła otworzyć. Lecz w przelocie zatrzymał ją Tadeusz. Porwał ją za rękę i do siebie przyciągnął.

— No, i cóż?... panno Dąsalska?—zapytał, oczami oczu dziewczyny szukając.

Ją opuścił cały rezon i pewna odwaga, jaką odzyskiwała, oddalając się od niego.

Opuściła głowę i zaczęła wolną ręką oczy sobie zakrywać.

— Dąsamy się jeszcze? — pół szeptem mówił Tadeusz — to źle!... Niech Teczka zapamięta, że ja tylko dobre i pokorne stworzenia koło siebie znoszę i tylko dobrych i pokornych. umiem cenić i kochać... Cały urok Teczki leży właśnie w jej pokorze i dobroci. Będzie to Teczka pamiętała?...

— Będę!.. — odszepnęła dziewczyna.

— Dobrze! a teraz... niech Teczka idzie drzwi otworzyć..

Dziewczyna, już rozjaśniona, wpadła do przedpokoju i, otworzywszy drzwi, cofnęła się widocznie zmieszana.

— Kłaniam pięknie!.. — dał się słyszeć głos kobiety, wymawiający dziwnie szeroko samogłoski.

Teczka weszła do pokoju, a za nią ukazała się wysoka stara żydówka, o podłużnej czerwonej twarzy, obramowanej orzechowemi wstążkami atlasowej peruki, z pod której bielilo się wysokie, dość gładkie czoło i czerniały małe oczki, wsunięte w głąb pod fałdami skóry, na której czerwone plamy znaczyły miejsce nieobecnych brwi.

Odziana w czarny wutowany kaftanik i zbyt długą brązową spódnicę, trzymając w ręku duży parasol, weszła, mrużąc oczy i powtarzając raz jeszcze:

— Pięknie' się kłaniam!..

Tadeusz mimowoli wyprostował się na krześle. Przed panią Pake Liliental, najgłówniejszą wierzycielką jego matki, miał pewien mimowolny respekt, połączony z nerwową odrazą.

Wsunął nogi pod krzesło i zakłopotany zaczął znów bębnić po stole.

— Pani Wielohradzka nie jest w domu? — spytała pani Pake.

— Wyszła. . wróci późnym wieczorem — odparła Tacia.

— Ja... poczekam! — uśmiechnęła się uprzejmie Pake Liliental — stara już jestem, to ciężko tak chodzić po piętach nadaremnie... Państwo pozwolą?

Usiadła na brzegu krzesła i spódnica jój rozpostarła się, jak balon, zakrywając jój stopy, odziane w prunelowe sznurowane trzewiki.

— Pan dobrodziej tak sobie odpoczywa? — spytała, zwracając się do Tadeusza.

— Aha!... — odmruknął Tadeusz.

— Pan dobrodziej się też pewnie spracował... ale co to młody, to się wywczasuje przez ćwierć godziny. Nam, starym, to więcej czasu potrzeba.

Nastala długa chwila milczenia.

Pani Pake, osoba niezmiernie towarzyska, podsycała znów rozmowę.

— Byli my wczoraj w teatrze, ja i mój starszy subjekt — zaczęła — mam interesa z paniami aktorki, to one mi dają łoży, a czasem zwykle siedzenie numerowane. Wczoraj grali takie smutne sztuki, bardzo smutne sztuki... Taki król, co to dzieciom rozdał całe swoje pieniądze, a potem zbankrutował i tak sobie po lesie chodził i włosy wydzierał.. Pan dobrodziej zna te sztuki?

— Znam.

— To bardzo śliczne sztuki. Ja zawsze prosze, aby te panie z teatru mi dawały *platz*, wtedy, gdy

grają smutne sztuki. Ja lubie siedzieć i płakać... Bo po co mi wesołe sztuki słyszeć? Wesołe, to zawsze głupie. Tak ja powiedziałam memu starszemu subjektowi. Bo on toby tylko śmiał się i chciał wielkiej uciechy...

Zamilkła, poczem, wyciągnąwszy z kieszeni dużą chustkę, otarła nią usta.

— Bardzo się wczoraj splakałam... — dodała — wielką miałam zabawę...

Tecia zaczęła szyć na maszynie i słyhać było przeraźliwy turkot, klekot, hałas. Lilientalowa spoglądała z niepokojem w okno. Szabas zachodził. Musiała iść do domu. Wielohradzka nie nadchodziła. Wreszcie żydówka wstała i z uśmiechem zaczęła się kłaniać dokoła.

— Idę... późno na mnie.. przyjdę w poniedziałek, bo w niedzielę to u państwa święto.

Ukloniła się, i Tadeusz mimowoli uklon ten jój oddał.

Ogarnął go wielki smutek, i życie wydało mu się jakąś ciemną jamą, do której nie dostawały się nawet promienie słońca.

Pani Pake sunęła cicho ku drzwiom, wreszcie znikła w głębi przedpokoju.

Tecia wyszła za nią i przez chwilę słyhać było jak namawiała małe Zimermanówny do powrotu do domu. Drobne nóżki zatupotały w przedpokoju i Tecia zamknęła drzwi wejściowe z wielkim pośpiechem.

Powróciła do pokoju i, przechodząc koło Tadeusza, zatrzymała się na chwilę.

— Dlaczego pan taki smutny? — spytała.

Nie było odpowiedzi.

Dziewczyna przełknęła kilka razy ślinę, jakby zabierając się do jakiegoś ciężkiego wyznania.

— Bo... jeżeli... panu o tę broszkę przykro... — zaczęła przyciszonym głosem — to ja... tę broszkę gdziekolwiek wyrzucę... a babci powiem, że ją zgubiłam. Mnie o nią nie chodzi... jak babcię Kocham... niech mi pan wierzy...

Tadeusz podniósł na nią przygasłe oczy.

— O jakiej broszce Tacia mówi? — zapytał.

— No... o tej... od pana Janczewskiego...

— A!...

I znów zamyslił się, zaciąwszy usta.

Nagle zachrobotał klucz w zamku i drzwi otworzyły się szybko.

Tacia nie zdołała jeszcze powrócić na swoje miejsce, gdy wyniosła postać Wielohradzkiej ukazała się w progu.

Z pod włożonych binokli spojrzała przenikliwie na syna i na zmieszaną dziewczynę. Poczem zbliżwszy się do stołu, położyła na nim trzymane w rękę paczki.

— Miałeś wyjść dziś po południu... — wyrzekła wreszcie, zwracając się ku Tadeuszowi.

— Tak... ale woląłem zostać w domu...—odparł Wielohradzki.

— A!...

Zdjęła kapelusz i z twarzą zachmurzoną zbliżyła się ku Teci.

— Teczka zaniedbuje się w robocie!...—wyrzekła dość ostrym głosem. — Pani Somgajło oddała mi stanik czarny jedwabny dlatego, że fiszbiny są Bóg wie po jakimś odrobione...

Teczka, milcząc, wzięła do ręki paczkę, którą jej podawała Wielohradzka.

Wiedziała, iż owe źle odrobione fiszbiny wsuwała i obrzucała krzyżykowo sama Wielohradzka. Pokornie jednak zabrała się do prucia, nie spojrzawszy nawet na zachmurzoną twarz matki Tadeusza.

Wielohradzki wstał z krzesła i zaczął iść ku drzwiom, prowadzącym do jego pokoju. Miał na sobie stare paletko, zielonawe, wytarte i zbyt krótkie. Powłóczył nogami. Ręce trzymał w obciągniętych kieszeniach.

Matka powiodła za nim wzrokiem i nagle zawołała:

— Tadziu!...

Wielohradzki stanął i powoli głowę odwrócił.

— Słucham mamy!...

— Mam dla ciebie robotę.

— A?... cóż to takiego?

— Przepisywanie...

— Ja nie jestem szwaczką — odparła wyniosłe. — Robić suknie dla kilku pań znajomych, to nie jest być szwaczką... Ja Teci płacę...

— A te panie mamie płacą...

— Jeszcze raz ci powtarzam: to co innego... Zresztą Tecia nie jest dla ciebie partya...

Złośliwy uśmiech wykrzywił usta Tadeusza.

— Proszę mamy!... proszę mamy!... — wyrzekł powoli, kładąc nacisk na każde słowo — spróbowałem według rad mamy starać się o rękę hrabianki, i jakoś nieszczególnie mi się powiodło. Doszedłem do przekonania, że lepiej robić komuś sobą łaskę, niż o łaskę żebrać...

Na twarz Wieiohradzkiej wystąpiły rumieńce.

Szybko ukryła twarz w dłonie i siedziała, milcząc, nagle zgnębiona wspomnieniem Muszki i nieudanych konkurów Tadeusza.

Zapadło głucho milczenie, przerywane tylko śpiewką samowara, niknącą, dziwaczną, urywaną, wyjąca chromatycznie, to znów syczącą cicho.

Wielohradzka pierwsza ocknęła się z zadumy.

— W każdym razie — wyrzekła, nie odsłaniając twarzy — proszę cię, pozostaw Tecię w spokoju. Ja odpowiadam przed babką za tę dziewczynę... Nie mogą się z nią ożenić...

Lecz Tadeusz przerwał nagle z pewną fantazyą uporcezywą w głosie:

— I dlaczegoż to, proszę mamy?

Wielohradzka podniosła głowę.

Spojrzeli sobie w oczy wyraźnie: on—z chęcią hysteryczną dokuczenia *quand-même* jakiegś żyjącej a przychylnój sobie istocie, ona—z osłupieniem wobec niespodziewanego i przerażającego ją zapytania.

— Tak, dlaczego? — powtórzył Tadeusz.

— Powiedziałam, że...

— Niestosowna dla mnie partya i tam dalej... a ja odpowiedziałem mamci, że hrabianki jakoś nie śpieszą wydać się za mnie... a księżniczki Higmeringen, spokrewnione z Montaleonami, nie przyjechały jeszcze do Lwowa... Pozostaje mi więc Tecia... Dość miałem zawodów... Pozwoli mamcia, że teraz ja kierować będę moją przyszłością i sądzę, że lepiej oboje na tém wyjdziemy. *Sur ce...* wstaję i wynoszę się...

Powstał od stołu i wziął z cukierniczki kawałek cukru i z koszyka rogalik.

— Mam dziś nocną inspekcję... dlatego, dobra-noc mamie!

Musnął ją lekko ustami po ręce i wszedł do swego pokoju, z którego wyszedł za chwilę ubrany mniżej starannie, niż zwykle, w starém palcie, narzuconém na zniszczoną już kurtkę.

W rękę trzymał wysoki wiedeński pół-cylinder, opasany krepą.

— Prosiłbym mamci, aby mi krepę u kapeluszy odświeżyła — wyrzekł, kierując się ku wyjściu.

— Po co? — spytała Wielohradzka. — Sądziłam, że zdejmiesz żalobę. Karnawał minął, nie będą cię już więcej zapraszać...

— Tak!... karnawał minął, ale oni wymyślą nową seryę, nowy karnawał letni, przedwyscigowy.

Wielohradzka, nie wstając z miejsca, z niepokojem bolesnym śledziła zaniedbaną postać syna.

— Dlaczego nie chcesz bywać w porządnym towarzystwach? — spytała wreszcie stłumionym głosem.

Tadeusz parsknął śmiechem.

— W porządnym towarzystwach! — zawołał, śmiejąc się ironicznie — w porządnym towarzystwach!... Według mamy to, co szychem świeci, to jest... porządne towarzystwo! Ha! ha! kolosalne! kapitalne... porządne towarzystwo...

— Porządniejsze, niż twój obecni przyjaciele.

— Nie wiem, co mama ma przeciw moim obecnym przyjaciółom... Są to biedacy, tak jak ja, urzędniczki, gryzipiórki, nic więcej. Schodzimy się w podrzędnej knajpce, przy kufelku piwka, i rozprawiamy o literaturze i socyologii. Kształcę się, uczę i rozwijam. Mamcia powinna być wdzięczną moim obecnym przyjaciółom... Nie tańczę kotylionów z hrabiankami i nie wodzirejuję na piknikach... ale trudno... Wolę moich obszarpanych Radoltów, niż owo porządne towarzystwo, które mamcia tak adoruje...

Giął się na dwoje z przesadzoną skromnością, jak kot nad brzegiem rozpalonej blachy.

Przysuwał łokcie do bioder, przybierał minę pełnego ironii biedaka, aktora prowincjonalnego, grającego rolę ubogiego kancelisty.

Wielohradzka, wciąż nieruchoma, patrzyła na syna z pod oka.

— Że twój Radolt obszarpany... to więcej, niż pewno...

— Biedny, mameczko... biedny, jak ja...

— I ty, widzę, zaczynasz zaniedbywać się; dlaczego nosisz ten stary żakiet?...

— Według stawu grobla.

— To dobre w domu, ale dziś idziesz do namiestnictwa.

— W namiestnictwie wiedzą, że nie jestem Boddockim, lecz tylko biednym konceps-praktykantem... Nie mogą mi mieć za złe moich wytartych łokci i kołnierza. Zresztą zdaje mi się, iż jeszcze nie zapłaciliśmy wspaniałych garniturów, w których odbyłem... wyprawę po złote runo. Należy się oszczędzać. Dobranoc mamie!

Wyszedł wciąż skurczony, grający komedye, ironiczny, spychający na barki matki przyczynę swego niepowodzenia miłosnego, ciskający jęj w oczy ten zawód, którego zapomnieć nie mógł.

W pierwszych chwilach chory, szalenie zdenerwowany, usypiał się chloralem, uspokajał bromem. Powoli zgryźliwość ogarnęła go, zastępując kobieco-nerwowe ataki. Dokuczał wszystkim: matce, Teci,

kolegom biurowym i sobie samemu najwięcej. Ziółki, zbrzydł, zestarzał się nagle. Jego wdzięk łagodny, subtelny, dziewczęcy — znikł. Zwłaszcza wobec matki przesadzał swą przymusową maskę ubóstwa. Poznał się z kilkoma *quasi*-literatami i z nimi teraz spędzał wieczory w atmosferze tytoniu, gazu i złej kuchni. Drwiąco patrzył teraz na „kasy-nowców”. Wszyscy oni wydawali mu się odpowiedzialnymi za postępek Muszki. Chwilami miał ochotę wypoliczkować którego z tych ładnie uczesanych i doskonale umytych rasowców; nie miał jednak dość odwagi. Dokuczał im tylko ironicznymi przy-cinkami, które jemu zdawały się olbrzymiej wagi, na nich zaś nie robiły żadnego wrażenia.

Wdział na siebie żalobę, aby ochronić się od za-proszeń na bale i wieczory. Z ironią odzywał się te-raz o zabawach tańczących, które nazywał „krę-ciołkami”.

Spróbował łatwych miłostek ze sługami i panna-mi usługującymi w piwiarni. Uczuł jednak niesmak i zniechęcenie. Postanowił wmówić w siebie nową miłość, nowe „zakochanie się”.

I zaczął znów bałamucić Tecię.

.

Wyszedłszy z domu, Tadeusz szybko podążył na Chorążczyznę.

Ściemniało się i czarna sylwetka człowieka za-palającego gaz migąła po brzegu chodnika.

Niektóre wystawy sklepowe zamykały się, inne zólcily się oświetleniem leniwém i niepewném.

Na Wałach pełno było przechodniów.

Tadeusz wszedł do piwiarni i, przeszedłszy salę, pustą i słabo oświetloną, do „ogrodu” zmierzał.

Znalazłszy się na środku, obejrzał się dokoła.

Pomimo wczesnej stosunkowo godziny, stoliki były już pozajmowane przez grupy mężczyzn, wśród których gdzieniegdzie migotał kwiat na kapeluszu kobiety.

Lampy gazowe, białemi kulami przyćmione, paliły się, roztaczając światło.

Na stoliki, pełne kufi i miseczek z „kwargłami”, kelnerzy wnosili i ustawiali świece, osłonięte szklanemi tulipanami.

Świece te, słabo płonące, nadawały jakiś tragiczny wygląd całemu ogródkowi.

Kilka chorych i smutnych drzew sterczało pośrodku. Rozpaczliwy smutek i łatana moralna nędza wyły po kątach, rozrzucając dokoła narkotyki piwa, tytoniu i fałszowanych likierów.

Ludzie, idąc do téj knajpy, mówili zwykle: „chodźmy do Waregskiego na raki, będziemy się bawić.”...

Lecz, usiadłszy przy stolikach, nie bawili się wcale. Pili tylko dużo i szkodliwych rzeczy.

— Pst!... pst!... — rozległo się z kąta werendy.

Tadeusz drgnął i szybko w tę stronę kierować się zaczął.

czesaniem, atramentowej czarności, włosami, rozkazującym ruchem ręki nakazał milczenie i ku Tadeuszowi się zwrócił:

— Cóż to? nie wiedziałeś, że nasz Malunio pisze? — zapytał.

— Nie... — odparł Tadeusz — pierwsze słyszę.

— Przecież to dość głośna historia. Malewicz żeni się ze Statnicką ..

— Tak, wiem o tém...

— Ale panna jako warunek położyła, aby Malewicz odznaczył się jakimś wybitnym czynem: czy to na polu sztuki, czy literatury, słowem, aby był... *czémś.* .

Piekielny wybuch śmiechu przerwał Radoltowi. Literaci zaczęli się znów pokładać, a mały pan w zbyt długim surducie zbił spodek i przykleił sobie *kwardziel* *) na środku czoła.

Radolt spojrział na niego swemi prześlicznymi czarnymi oczyma.

— Gliwiński, jesteś idyota!... — wyrzekł spokojnie i znów ku Tadeuszowi się zwrócił.

— Malewicz — ciągnął, oparłszy głowę na wychudzonej ręce — Malewicz, namysławiając się nad zrobieniem arcydzieła, wybrał to, co najłatwiejsze: napisanie nowelli. No... i napisał... nowellę!

Tadeusz po gazetę sięgnął.

*) Mały sérek, podawany do piwa.

(P. A.)

— Muszę przeczytać...

— Och!... zapytaj Podgórskiego, wiesz, tego, co, z pieniędzy żony swój żyjąc, wielkiego pana udaje; zapytaj go, a on ci tę nowelkę od *a* do *zet* wyrecytuje...

— Dlaczego?

Radolt ramionami wzruszył.

— Bo ją sam napisał.

— Jak to? a więc to nie Malewicz?...

— Spodziewam się... przecież tu widać najdoskonalej styl i formę Podgórskiego. Paniczowi zachciało się być nowelistą, ale nowelle pisać trochę trudniej, niż zadawać szyku na wyścigach. Więc... czy kupił, czy wyprosił... ale to więcej, niż pewne, że sam nie napisał...

— Jednakże... — zaoponował Tadeusz — przypominam sobie, że w klassach Malewicz w wypracowaniach stylowych miał dużo fantazyi...

— Och!...—zawołał mały pan w zbyt dużym surducie—to było kiedyś, przed potopem. Jeśli była jaka fantazyja, no, to ją konie, rozpusta i karty zjadły!... To kretyn, kretyn, kretyn, ten zdechlak kasynowy.

Malutką, zżółkłą dłonią bił się po dece piersiowej, zapadłej i nędznej pod rozkrochmalonym gorse koszuli. Z przylepionego na czole kwargła spływała mu wzdłuż nosa ku brodzie żółtawa, lepka ciecz. Był tak mały, iż zajmował zaledwie pół krzesła, na

Wyprostował się, pociągnął trochę piwa i dodał:

— Poczekajcie!... zmieni się to, jak moją satyrę wyrznę.

— Gdzie? gdzie? — spytał Radolt — w *Masce błękitnej*?

— Naturalnie!..!

— Pleć, pleciugo... *Maska błękitna* redagowana przez Podgórskiego, a pan hrabia, przysięgnę, nowellę od Podgórskiego kupił.

Lecz Gliwiński upierał się przy swoim.

— Ta i cóż? — zapytał, przesadzając jeszcze swój akcent lwowski — albo to redaktor wtrąca się do suteryn? W ostatniej chwili zawsze mówi: „Gołińsiu, duszo, biegaj na miasto, przynieś jaką ploteczkę i zrób ją wierszami. Dwieście, sto pięćdziesiąt, stosownie do miejsca”. Ja mam czasem plotkę w kieszonce gotową, czasem nie, a jak mi się biegać do kawiarni teatralnej nie chce, to sobie tak wykonyuję sam, w kąciku, przy biurku, jaki skandalik, ubiorę w niego albo aktorkę, albo jakiego bogatego żyda, albo nowego kandydata, albo nieboszczyka Fredrę, albo jeszcze kogo, i napiszę satyrę... Ta to bardzo proste... Redaktor idzie na rozdobędę i nigdy moich satyr nie czyta...

— Ale jak przeczyta, to cię napędził!..

— Owa!... za to, co mi płaci, nie może się tak bardzo rozbijać. A potem, właśnie w jego interesie leży, aby napaść na hrabiego. W ten sposób

nikt Podgórskiego nie posądzi, że to on nowellę sprzedał...

Tadeusz, milcząc, pił złe i ciepławe piwo i z pod oka na Gliwińskiego patrzył. Ta cała banda literackiego proletaryatu, która była za biedna, za źle odziana, za mało obrotna, aby zająć wreszcie jakieś stanowisko, w gruncie rzeczy odpychała go od siebie.

Ponieważ jednak postanowił dokuczać samemu sobie, wmówić w siebie, iż powinien znajdować się w towarzystwie téj drugiej partyi kolegów szkolnych, tych, do których nie zbliżał się nigdy, napuszony, elegancki i związany węzłami zdawkowej przyjaźni z Malewiczem, Pozbitowskim i ianymi „koniarzami” *in spe*, spełniał więc sumiennie ów program powrócenia „do właściwej sobie sfery”, jak mówił w chwili rozdrażnienia przed matką, i siedział tak przy stoliku wpół senny, czując tylko chwilami szarpające się w sobie nerwy sympatycznym drganiem, gdy ci fachowi literaci, wyrośli w nędzy i bezustannym braku, z nienawiścią napadali na „tamtych”, dobrze odzianych, umytych i żyjących z rent, pozostawionych im w spadku po rodzicach.

— Wiecie, coby my zrobili? — zaczął znów Gliwiński — oto, pojechaliby my do Warszawy. Mało to naszych tam poszło, a teraz, panie tego, i sławę mają, i dobrze się im wiedzie... Pojadę, panie tego, do Warszawy, pojadę... i Prusa na nic memi satyra-

mi zgniotę. On, panie tego, kroniczkę prozą... a ja, panie tego, kroniczkę wierszem.

Rozpierał się na biało malowanym stołku, który teraz już zajął cały z wielką butą i nerwową emfazą.

Z kącików ust ciekła mu ślina, małe zaczerwienione oczki tryumfalnie potoczył dokoła.

— Może ni? — zapytał — może ni?

Lecz Radolt, który już zupełnie znikł w cieniu, odezwał się powolnym głosem:

— Pleciesz! kupy się nie trzyma. Do Warszawy, to trzeba sprytu i wykształcenia. A ty może wykształcony?

— Rychtyg có i ty!...

— Widzisz!... widzisz co to za wykształcenie! Mówisz: *rychtyg*. Nie mówi się *rychtyg*, ale *akurat*. Gliwiński ramionami ruszył.

— Może tam w kasynie, ale my, mieszczanie, mówimy „rychtyg”, i tak mówić będziemy. A ty, arystokrato gramatyczny, nie imponuj nam swoim *parle franse*, bo to nas nie oślepi... Nie takie ja już w moich satyrach umieszczał! Ojoj!

Z ironią głową kiwał, z kieszeni wyciągnął cygaro i zaczął tępy scyzorykiem je pilować.

— Havana szelma po dziesięć *centy*!... — szeptał przez zęby z jakąś dziwną wściekłością.

Tadeusz nagle obok siebie, na ziemi, postrzegł

nogi Radolta, które powoli wysuwały się z cienia, jakby nieśmiało i pokorne.

I natychmiast zrozumiał Tadeusz cały dramat nędzy i ukrywanego niedostatku. Spodnie były *przypięte* szpilkami do butów, aby, podnosząc się, nie zdradziły braku skarpetek. Pomimo to jednak żółtawe kawałki przebłyskiwały pomiędzy źle ściągniętym sznurowadłem butów. Tadeusz z nienawiścią spojrział na leżący na stole numer dziennika. Za nędzę Radolta czynił odpowiedzialnym Malewicza, ząpominając, iż sam posiadał w swój szafie cztery tuziny skarpetek z *fil d' Ecosse*, tuzin jedwabnych czarnych i tuzin wełnianych, na mrozy i chłody jesienne.

W tój samėj chwili siedzący nieruchomo Gembosz porwał z łoskotem za Mączalówkę. Wszyscy siedzący pod werendą zwrócili się ku redaktorowi, sądząc, iż to jakiś antagonistą albo obrażony poseł do rady państwa przychodzi zażądać „odwołania”.

Lecz przed werendą stał mały niepokazny człowieczek, odziany ciemno, i z wielkiem zajęciem przypatrywał się olbrzymiej postaci osławionego redaktora. Skoro jednak ten ostatni pochwycił za kij, człowieczek umknął i pośpieszył ku estradce, na której gromadzili się muzykanci.

Po chwili widać było, jak próbował pikuliny i wydymał zapadłe policzki.

— Będzie muzyczka!... — podjął Gliwiński — zagrają nam znów owo *Loin du bal* czy *de bal*...

dyabli wiedzą. Raz chciałem to w satyrę wsadzić i ani weź nie wiedziałem, jak się to pisze. Co dziwnego? Nie jestem panem hrabią... żadne kocmołuchy paryzkie nie uczyły mnie pacierza po francusku.

Tadeusz uznał za stosowne się odezwać:

— Mówi się: *Loin du bal...*

Gliwiński oczy ironicznie zmrużył.

— A!... dziękuję!... *du, du...* dobrze... będę pamiętał. Wielohradzki zna się na takich delikatesach sztrasburskich, bo strasznie się koło arystokracji kręci... *Kaiserliche-königliche* Fikalski... ha! ha! niech żyje Bałucki!

Tadeusz brwi zmarszczył.

— Mylisz się... — wyrzekł ze złością — od przeszłego roku nie prowadzę tańców i nie bywam u „tych panów”. Cenię ich tak, jak wy, a może jeszcze surowiej, bo znam dokładniej.

— No! no! — uspokajał go Gliwiński — nie stawiaj się... żartowałem... Na zgodę postaw *turnę*, boś Krezus między nami, panie-kochanku!

Podkręcał sterczącą pod nosem szczecinę.

Tadeusz zawołał kelnera. Zwykle kończyło się na tém, że on piwo fundował. Pochlebialo mu to. Zachował od dzieciństwa manję imponowania drugim pełną kieszenią. Była to jego jedyna pociecha a często i zemsta.

Niedbale zadysponował pięć *halb* i jeden *seidel*.

Muzyka zaczęła rzeczywiście grać walca, i skrze-

czące tony umykały w żółtych smugach światła pod rzadkie gałęzie suchotniczych drzew.

— Napawajmy się—odezwał się nagle Radolt— napawajmy się... to jedyna uczta, jaką nam polykać wolno. Wejście mi do teatru zabrano z powodu méj awantury z sekretarzem...

— A mnie z powodu méj satyry o córce dyrektora...

Siedzieli chwilę, milcząc, zasłuchani w banalną melodyę, którą émy dokoła świec tańczyły:

— Bardzo lubię muzykę... — wyszeptał prawie Radolt.

I znów zapadło milczenie.

— Chciałbym kiedy posłyszć Wagnera — odezwał się nagle Gliwiński — zawsze o nim piszę w swych satyrach, ale nie jeszcze nie słyszałem porządnie. Czy to prawda, że on tyle robi hałasu, i że tylko słyhać bębny i trąby? co? ta-że powiedźcie, ludzie, niech wiem już raz, czego się trzymać?...

Radolt cofnął się znów w cień i, złożwszy ręce na parasolu, który zawsze z sobą nosił, odpowiedział:

— Nie... Wagner nie zawsze robi tyle hałasu. Często nawet jest bardzo słodki i harmonijny... Często nawet kołysze...

— Słyszałeś? gdzie?

— We Wiedniu, gdy byłem jeszcze młodym chłopcem. Nieraz cały wieczór nieruchomy przesiedziałem. Gliwiński zasmucił się nagle.

— Jakże my durni w tym Lwowie, jakże my durni! jak murem od świata oddzieleni!...

— Jak murem od świata oddzieleni! — powtórzył jak echo Radolt.

— I gdzie się tu wykształcić? gdzie smaku nabrać? ta ani obrazu, ani porządnej muzyki, ani nic, nic: choć siadłszy płacz!

I nagle rzucił się na leżący na stole dziennik.

— O!... takie panowie koniarze to mają dobrze! jeżdżą po świecie, słuchają dobrej muzyki, napatrzą się na różne postępy... a my co? Z knajpy do redakcyi, z redakcyi do żyda, od żyda do komornika, od komornika do knajpy... I potem pisz!

— I potem pisz!... — powtórzył Radolt.

Tadeusz porównywał swoje życie z życiem tych ludzi. I on, tak jak oni, zasklepiiony, siedział w biurze, w knajpie... Słowo „żyd” przypomniało mu atlasową perukę pani Liliental i białe pończochy Zimermanówien. Były to te same galery, rozjaśnione tylko wysiłkiem pracy macierzyńskiej, lecz galery—nie więcéj!

I porwał go szalony smutek, graniczący z rozpaczą. Jękliwe tony orkiestry wydały mu się wyciem opuszczonego psa. Miał ochotę zacząć zawodzić wraz z niemi. Szybko powstał od stołu i należne za piwo pieniądze nadbiegającemu kelnerowi rzucił.

W cieniu, cicho, jak nagle z pod ziemi wyrastająca mara, podniósł się Radolt.

— Pójdę z tobą... — wyrzekł. .

Tadeusz mimowoli wzrokiem ku swym spodniom przypiętym szpilkami rzucił, lecz otrząsnął się i z niezrozumianą dla innych ironią wyrzekł:

— Chodź!... chodź, ty moje drugie *ja*...

Lecz Radolt głową potrząsał:

— Nie! nie!... ty, *ja*, co innego.—Ty karyerowicz, *ja*—wyrobnik bez roboty...

Wzięli się jednak pod ręce i wśród grup otaczających stoliki szli z nerwową fantazją, z ironicznym uśmiechem na ustach.

Na werendzie gruby Gembosz wciąż Mączalówkę ścisnął, czekając na swoich adwersarzy. Gliwiński wyskrobywał scyzorykiem, na którym były ślady tytuniu, spodek po kwarglach. Widoczném było, iż głód mu ścisnął żołądek.

Obok dwóch urzędników jadło sznycle po wiedeńsku, z korniszonami.

Gliwiński nogi pod krzesło ukrył i zaklął, kurcząc się w zbyt obszernym surducie.

— Taż dyabli człowieka wezmą, albo co...

Tymczasem Tadeusz i Radolt zmierzali ku namiestnictwu.

Tadeusz czuł, że dziennikarz-korektor opiera się silnie na jego ramieniu. Spojrzał ukosem na Radolta, i ten żółty trójkąt ciała, splamiony czernią oczodolów, wydał mu się trupią głową, okrytą bladą, cieniuchną gazą.

— Chory jesteś? — spytał mimowoli, zwalniając kroku.

— Nie... — odparł Radolt — jestem tylko zmęczony. W nocy muszę czekać na korektę i często ślęczę do trzeciej. Potem już się kłaść nie warto...

— To źle, to nie higienicznie...

Radolt parsknął śmiechem.

— Kpisz, czy o drogę pytasz ze swoją higieną? Jak to zaraz znać maminego synka, co dba o swoje drogocenne zdrowie! Wielka historia, jeżeli mnie dyabli wezmą! Nie żyję, wegetuję, a co boleśniesz, że rozumiem, co jest pełne życie... Mam dwadzieścia cztery lata, a zdaje mi się, że żyję już od lat stu i że wszystkie nędzy przeżyłem, jakie nędzarzom przypadły w udziale...

Przechodzili przed plac Maryacki. Duże okno wystawowe księgarni międzynarodowej świeciło jasną luną..

Radolt przystanął.

— O!... — wyrzekł — patrz! patrz!... tych ciastek, tych łakoci mi potrzeba... Ile tu ich, tych co piszą, co mogą pisać, co mają o czém pisać! Mnie to najwięcej żre, że nawet ich przeczytać nie mogę, nic, tylko tytuły..

Pochylał się ku szybie z pewnym moralnym pożądaniem.

— O patrz!... patrz!... Alexis, Lemonnier, tu z węgierskiego Dezzo Malonyay, tu Jacobsen... Och!..

nie chcę dzieł o ewolucyi socyalnej, ani psalterzy z Bóg wie jakiego wieku, lecz te drobiazgi .. to, co się dziś rodzi, jutro ginie...

-- Jednakże w czytelniach... — zaczął Tadeusz.

— Nie, w czytelniach niema tych nowości, bo często nie przypadłyby one do gustu abonentów... Nie, w czytelniach ich niema.

— Chodź!... chodź!... gorączkujesz się niepotrzebnie.

Poszli dalej w cieniu chodników.

Sklepy zamykały się z loskotem, przechodniów coraz mniej było na ulicach...

— Czy wiesz — wyrzekł znów Radolt — że raz jeden w redakcyi, och! już dwa lata temu, ktoś powiedział, że ja naśladowę Verlaine'a? Ten „ktoś” to był jeden z tych ludzi, którzy mogą jeździć po świecie, czytać, słyszeć, widzieć... a potem na nas, zamurowanych, od idiotów wymyślają. Nie wiedziałem, kto był Verlaine... od téj pory dowiedziałem się i sprowadziłem sobie jego poezye... Ile one mnie kosztowały!.. To téż ten Verlaine — to wszystko, co posiadam!

Minęli teraz stragany bojków, oświetlone kagankami. Ich śniade, piękne twarze miały wygląd masek fantastycznych, zawieszonych w powietrzu. Nieco niżej, nad powierzchnią fasek z bryndzą, migwały ręce grube, czarne, postronkami żył poprzecinane.

Dochodzili do namiestnictwa. Po za nimi rozległo się gwizdanie. Ktoś artystycznie gwizdał walca

z „Bettelstudenta”. Mijając Tadeusza, uchylił kapelusza i poszedł, gwizdząc coraz donośniej.

— Malewicz?... — wyszeptał Radolt.

— Tak! idzie na inspekcję. Będziemy dziś razem pokutowali w biurze ..

— Phi! jak to pan hrabia nóżki stawia...—szydził Radolt — jak klacz wyścigowa. Laury autorskie dodają mu werwy... A jakie to było zawsze fałszywe i złe, nawet w klasach. Pamiętasz, Tadek? Ręczę, że, aby dostać ten posag Statnickiej, nie zawahał się przed niczym... Biedna dziewczyna, musi teraz iść za niego...

Tadeusz zaoponował.

— Co znowu!... co znowu!...

Radolt głową pokiwał.

— Naturalnie, ty ich bronisz, bo gadaj, co chcesz, zawsześ do nich lgnął i lgniesz. Ale cóż z tego?... oni ci kamieniem za chleb płacili i zapłacą. Chciałbym, żebyś dla ukarania zakochał się w jakiej „koniarcie”, i to folblutce, i żebyś od niej szcztka dostał.. Ha! ha!... toby cię nauczyło...

— Bywaj zdrów— burknął Tadeusz, i zły, zmieszany wbiegł na schody prowadzące do biura.

W biurze został już Malewicz.

Zapalona lampa kołysała się u sufitu, dwie świece stały na biurkach, oprawione w mosiężne lichtarze.

Z otwartych okien płynął łagodny chłód letniego wieczoru.

Tadeusz zbliżył się do biurka i ze złością zaczął przewracać na niém papiery. Wmawiał w siebie, iż ktoś mu poruszył po obiedzie wszystkie przedmioty, znajdujące się na biurku.

Skrzypiąc lekko butami, w szarawym garniturze angielskim, chodził po pokoju Malewicz. Stawiał elegancko nogi, obute w zgrabne wycięte trzewiki, po nad któremi połyskiwały stalowe skarpetki. Białą ręką gładził faworyty i wąsy. Był zadowolony, promieniejący.

Powracał właśnie z teatru, gdzie był *point de mire* wszystkich lornetek. Narzeczona przyjęła go niezmiernie uprzejmie i z wyróżniającą grzecznością.

W łoży aktorskiej dojrzał, że aktorki czytały jego nowelę, objadując się cukierkami. Poczem zaczęły lornetować w jego stronę. Nawet panny namiestnikówny uśmiechały się znacząco.

— *Tiens...* — pomyślał — to wcale nieźle atu — takie autorstwo.

Napisał tę nowelkę dość mozolnie, ale napisał sam. na brudno dwa razy poczem przerobił ją po francusku, aby się dowiedzieć, jak téż „to wygląda”; wreszcie przepisał na czysto, starając się pisać niewyraźnie, jak literat z zawodu. Odczytując swoją pracę, zawyrokował w duszy, iż jest to szczyt „kretynizmu”, lecz widząc dokoła owe cukierkowe zachwyty dam, zaczął wierzyć, iż spłodził coś „niezłego”.

— Tak, coś w guście Sienkiewicza, tylko styl dystyngowańszy... — powiedział mu Pozbitowski.

Charłupko zaś porównał go do autora „Madam-Chrysanème” i nazwał „lwowskim Lotim”, uśmiechając się przytém z nieporównaną ironią.

Lecz Malewicz ironii nie chciał zauważyć. Włożył w oko monokl i rozpierał się w łoży z niedbałą miną zblazowanego na punkcie pochwał i ludzkiej ciekawości człowieka. Postanowił uchwycić ową szansę i urządzić w kasynie wielką partyę nazajutrz po południu.

Teraz przyszedł do biura odbyć pokutę inspekcyjną; lecz, nerwowo podniecony, nie mógł usiedzieć na miejscu.

Chodził wciąż po wązkim dywaniku, który szarą linią ciągnął się pośród wywoskowanej podłogi. Żałował, iż Wielohradzki miał dziś z nim przesiedzieć inspekcję. Wolał Bodockiego, Pozbitowskiego, słowem kogoś, z kim mógłby pomówić swobodnie, poradzić się co do układu stajni i zakupna ekwipaży. Miał ochotę podczas wyścigów zadziwić całą Galicyę zaprzęgiem *à la daumont*, który zaczynał w Paryżu wchodzić w modę. Lecz wahał się; mody angielskie, bardziej *correct*, ciągnęły go ku sobie.

Tymczasem w sercu Tadeusza rosła burza.

Nie patrząc na Malewicza, widział go przecież dokładnie i rozdrażniony do najwyższego stopnia zagryzał do krwi wargi. Bezustannie równał siebie z tym „kasynowcem”. Byli obaj bez grosza majątku,

na jedném i tém samém stanowisku w biurze, obaj szykowni, młodzi, elegancy. Teraz przed Malewiczem otwiera się cały świat, a on, Tadeusz, jak pies na uwięzi, gryzie swój łańcuch, wiążący go do spróchniałych desek budy!

I dlaczego? Bo Statnicka miała dość odwagi, aby wziąć sobie na „utrzymanie” tego ładnego męża, gdy Muszka... Och!

Nagle Malewicz zbliżył się do Tadeusza i wyjął z kieszeni dziennik.

— Czytałeś? — zapytał, nie mogąc dłużej wytrzymać, trawiony gorączką autorską, żebrzącą bezustannie pochwał i podziwian tłumy.

Tadeusz zmarszczył brwi i przez szerokość biurka z nienawiścią wpatrzył się w uśmiechniętą twarz hrabiego.

— Co takiego? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

— Nowelkę... tu na dole... Pieśń majowa... och! drobnostka... nie wielkiego... *Cependant...*

Podsował mu dziennik pod oczy, lecz Tadeusz dość szorstkim ruchem odepchnął od siebie gazetę.

— Czytałem! — wyrzekł dobitnie, akcentując każdy wyraz. — Podgórski ma trochę zdolności a przytem *un style très personnel*. Trudno go nie poznać.

Malewicz zbliżył się tak, iż opierał się łokciami o półki biurka.

— Podgórski? — zapytał — dlaczego Podgórski? to nie on, ale ja tę nowelkę napisałem...

— Ach! ty? — zadziwił się Tadeusz — patrzcie, możnaby przysiądz, że to styl Podgórskiego... Żle zrobiłeś, wybierając na swój debiut *genre* Podgórskiego... To nasuwa pewne podejrzenia... I tak dziś już mówiono, że... *enfin*...

— Że co? — zapytał Malewicz nerwowym głosem.

— Och!... nic... plotki, *des choses en l'air*...

— Mam prawo wiedzieć... chcę... musisz mówić...

— *Eh bien, je lâche tout*... Mówiono, że nowelkę tę kupiłeś gotową od Podgórskiego i że pod swoim nazwiskiem umieściłeś w dzienniku. *Voilà!*...

Malewicz parsknął śmiechem.

— *Cette idée!* — zawołał napozór spokojnie i zaczął znów chodzić po ścieżce dywanu. Wyrzucił tylko monokl z oka i uśmiechał się nerwowo.

Tadeusz, po wypowiedzeniu tych słów, uczuł nagłą nerwową reakcję. Nie miał kobiecej wprawy w rzucaaniu insynuacyj, w anonsowaniu tego, co „mówią”, i w pozostawianiu *quand même* w równowadze.

Ukluwszy miłość własną Malewicza, dmuchnąwszy złośliwym oddechem na jego nadętą wesołość, zmieszał się i byłby serdecznie rad, gdyby Malewicz całej tej sprawy nie wziął na seryo. Lecz na to się nie zanosilo.

Malewicz nagle stanął na środku pokoju tuż pod świetlanym kręgiem, który lampa na podłogę rzucała, i urywanym głosem zapytał:

— Słuchaj... Tadeusz... kto to mówił?...

Tadeusz nie podnosił głowy. Wydobył z szuflady biurka gumową poduszkę, na której drzemał podczas inspekcji, i zabierał się do nadęcia w nią powietrza.

Posłyszawszy pytanie Malewicza, zmieszał się jeszcze bardziej.

— Kto?... nie wiem!... nie pamiętam!...

— Słuchaj! — zasyczał Malewicz, a oczy jego jak dwa ostrza szpad przeszywały powietrze — jeżeli mi nie powiesz, pomyślę, że to ty, i...

— Och! — zaprzeczył Tadeusz ja? cóż znowu! Przeciwnie ja cię broniłem... Przypominałem im nawet, że w klasach pisałeś dobre wypracowania stylowe...

— W klasach?... przypominałeś?... — zawołał Malewicz — więc to ktoś z moich szkolnych kolegów... *Tiens! tiens!*... spotkałem się przed chwilą z tym szubrawcem Radoltem... Tak! to nikt inny, tylko on!... Już dwa razy czytałem w *Gońcu* ironiczną wzmianką o mnie i o mojej czarnej seryi karcianej. To on!.. nikt inny!.. to on!...

— Cóż znowu! — protestował Tadeusz — myli sz się, nie on!

— Nie broń go! . a to *va-nus-pieds!* . ja go nauczę respektu i tę odrażającą gębę zamknę... Ach!.. *l'horreur!*

— Pst! — uspokajał go Tadeusz — nie krzycz tak głośno. Namiestnikowa wróciła z teatru i będą pili herbatę w altanie, bo służba niesie światło i tace do ogrodu.

I nabrawszy spory zasób powietrza w płuca, zaczął dmuchać w rózek poduszki, która powoli wydymała się jak bania.

III.

Pomiędzy gałęziami tarniny widział Tadeusz drobną postać Teci, idącej szybko w stronę Węglińskiego lasku. Pragnął ją dogonić, przyspieszał kroku i znów zwalniał, gdyż po raz pierwszy może Teci wywoływała w nim ładne, estetyczne wrażenie. Smakował je i usiłował przedłużyć, zgłodniały, nie widzący oddawna nic, coby miało w sobie harmonię barw i linii.

Przed nim droga dość szeroka, lecz zarosła pasami trawy, zasłana była całą ukośnemi promieniami słońca. Po obu stronach ciemne mury tarniny, a za niemi tu i owdzie rozłożyste lipy lub grusze, wyciągające daleko zielone ramiona. Po prawej — niewielki punkcik blado-liliowy, lecz barwy liliowej czystej, niezbrudzonej żadną przymieszką innego cieniu.

To suknia Teci.

Płynie, rozwiewa się u dołu, lekka i przejrzysta.

jak olbrzymi kielich dzwonka. Nóg dziewczyny nie widać. Sunie po nad trawą, jakby w powietrzu, i nie czując się obserwowaną, ma wdzięczne ruchy podra-
stającej dziewczynki, łamiącej się kształtnie w li-
niach Androgyny. Idzie, a raczej płynie, w smugach
słońca, po nad zdźbłami trawy, z dużym kapeluszem
słomianym w ręku, jak ze złotą tarczą, która czasem
w powietrzu zakreśli duże koło. Wówczas zabłysną
atłasowe, żółtawe wstążki, pofruną i znów znikną,
opadając ku ziemi, jak skrzydła ptaka.

Lecz nagle Teczia stanęła i obejrzała się.

Dostrzegła Tadeusza i zwraca się ku niemu. Kła-
dzie pośpiesznie kapelusz, który tworzy złotawą au-
reolę dokoła jój bladój twarzy.

I czeka.

Tadeusz przyśpiesza kroku. Ta dziewczyna,
czekająca na niego wśród słońca i zieleni, sprawia mu
złudzenie. Czuje jakieś przyjemne uczucie, ogrze-
wające jego moralną istotę. Po raz pierwszy może
z pewną radością wita się z dziewczyną.

— Dzień dobry Teci... dzień dobry!

Wydaje mu się zdrowszą, różową i więcej ożywioną.
Lecz ona, już zafrasowana, pyta:

— A dawno pan mnie dostrzegł?

On uśmiecha się.

— O!... dawno!...

— A dlaczego pan na mnie nie zawołał? Ja idę
bardzo prędko. Babcia i doktor dla ruchu kazali mi

dużo chodzić... ale pan przecież nie potrzebuje się męczyć?... prawda?...

— Prawda! ale ja przypatrywałem się Teci, jak Teczka ładnie wygląda.

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie.

— Och!... mój Boże!... Pan znów zaczyna żartować... Taka stara sukienka... już ma dwa lata. Trzy razy w tym roku prana... Lila kolor to zaraz pełnie na słońcu...

— To też o wiele ładniejszy, skoro trochę spełnie...

— Tak! tak! ja wiem, że to teraz modne, tylko nie wszystko ładne, co modne.

Tadeusz nie próbuje nawet jej wytłumaczyć, dlaczego to słońce, ta zieleń i ona sama, liliowa jak dzwonek, miały w sobie urok i harmonię.

W bok skręca rodzaj wąwozu ciemnego i zacisznego, po którym migają plamy słoneczne.

Tadeusz obejmuje delikatnie Tecię i kieruje ją w stronę ścieżki.

— Chodźmy tędy... chłodniej...—mówi łagodnie.

Teczka bez wahania idzie z nim. W tej chwili dusza jej pływa cała w radości i szczęściu bez granic.

Weszli do wąwozu, Tadeusz posuwa Tecię naprzód.

— Niech Teczka idzie... ja idę za Tecią...

Lecz dziewczyna rzuca mu pytanie:

— A dokąd też ta ścieżka prowadzi?

On z głębi swój istoty, z zakątków jakiegoś mauzoleum, dobywa odpowiedź:

— Po co pytać? po co psuć sobie rzeczywistość? chwytajmy z terażniejszości to, co się wzięć da...

Milknie, nagle urażony w jakąś moralną ranę, którą to słońce, te słowa, ten wąż, pełen akacyi i paproci, i ta jasno ubrana dziewczyna w nim budzą. Teczka milczy i, westchnąwszy lekko, idzie naprzód, idzie ciągle, usiłując ochronić sukienkę od przydrożnych cierni. Pod rondem kapelusza nie widać prawie jej włosów. Jest mniejsza i drobniejsza niż Muszka, lecz stanik, uszyty bluzkowym fasonem, pokrywa dość zręcznie chudość jej ciała. Tadeusz umyślnie zwalnia kroku i teraz już bez ogródki, skalpelem swą bliznę moralną rozdziera. Muszka-Teczka... czyż w gruncie rzeczy to, co w Muszce ukochał, nie było ową harmonią barw, linii, jasną gammą odcieni, dopełniających zasadniczymi tonami otaczających ją dekoracyi?

Oto teraz, Teczka, z brzydkiego pokoju, z nad maszyny przeniesiona w słońce i zielen, ubrana w jasną i delikatną tkaninę, jest równie ładna, równie wdzięczna, jak hrabianka. Gdyby była lepiej odżywiana i karbowana włosy, nie byłoby chyba wielkiej różnicy. Pozostaje obojętność i stopień wykształcenia. Teczka ma czasem bardzo niezgrabne ruchy, prawda; ale za to często tak ładnie, tak sympatycznie patrzy,

wstaje, chodzi. Zresztą, wszystko zależy od ubrania, co zaś do wykształcenia...

I nagle Tadeusz pyta:

— Czy Tacia skończyła pensję?..

Tacia przystaje i, cała zaczerwieniona, odpowiada:

— Tak, proszę pana, skończyłam *konkwit* u pannie ormianek.

Sacré coeur, ormianki... to jedno! Ormianki uczą darmo, panie *Sacré coeur* biorą tysiące. .

Tadeusz jest coraz więcej zadowolony.

— Niech Tacia idzie!... — mówi, dając dziewczynie znak ręką.

Ona zrywa liść paproci, na którym perli się rosa, i wdzięcznym ruchem zasłania się przed promieniem słońca, który teraz dość brutalnie przedziera się przez gałąź.

Tadeusz, zdziwiony, patrzy na ten ruch. Gest Muszki!... jój podniesienie ręki, jój zakreślenie półkola wachlarzem paproci...

Stanowczo, wszystkie młode dziewczęta są te same. Zależy tylko, gdzie się znajdują. Muszka, ubrana w szkocką bluzkę i szyjąca dzień cały na maszynie, straciłaby swój majestat królewski i dziwaczny urok *professional-beauty*.

Tacia dnia tego nie mówi o babce, o panu Janczewskim, nie pyta się: „czy nie lepiej już raz wszystko powiedzieć”. Milczy i gra dalej swą rolę liliowej dziewczycy, sunącej wśród złota, słońca i wachlarzów

rosy. Idąc, ciągnie za sobą spojrzenie i wzrastającą sympatyę Tadeusza.

„W gruncie rzeczy dobra dziewczyna — myśli Wielohradzki — przebaczyła mi wszystko, i moje brzydkie postąpienie po otrzymaniu jój listu. Wszystko... Ta przynajmniej mnie kocha, och! mogę być tego pewnym...”

I znów woła głośno:

— Teci!...

Dziewczyna się zatrzymuje.

— Słucham pana!...

— Czy Tecia mnie kocha?...

Lecz cóż się to dzieje?

Tecia paproć z ręki upuszcza, drży, ogląda się dokola, otwiera nagle poblądłe usta.

Wielohradzki chwytą ją w objęcia.

— Cóż to?... co się stało?...

Tecia zaczyna płakać, kryje twarz w dłonie.

— Dlaczego Tecia płacze?

— Bo... pan się o takie rzeczy pyta, że...

— No i cóż?... pytam się, czy Tecia mnie kocha?..

Tecia wyrывa mu się z ramion i zasłania twarz rondem kapelusza.

— Ach Boże mój, Boże!..

Tadeusz wzrusza nieznacznie ramionami. Przypomina sobie, iż często ukradkiem całował tę dziewczynę: dlaczegoż więc teraz płacze, rumieni się, wstydzi?... Lecz z drugiej strony scena ta sprawia

mu wielką przyjemność. Widzi, iż Tecia, pomimo zewnętrznego podobieństwa z Muszką, zachowuje odrębne moralne cechy, i płochliwość tę dziewczęcą, której nie miała i nie mogła mieć panna Dobrojowska.

Rad więc przedłużyć tę scenę.

— Ha!... skoro mnie Tecia nie kocha...

Powtórny potok łez i wśród szlochania wyjęzyczne słowa:

— Ależ... jak babcię Kocham... Pan wie... że ja... bardzo nawet...

Nagle rozlega się straszny szelest łamanych gałęzi. Tecia przerażona się cofa.

— Cóż znowu?—gromi ją Tadeusz—niech Tecia idzie dalej... To pewnie pies, albo jaki chłopak.

Tecia ociera oczy.

Idą dalej. Szelest ustał. Nagle słychać głos kobiety, wołający:

— Mik!...

I znów łomot gałęzi, a potem zupełna cisza.

— A widzi Tecia, że to był pies — tłumaczy Tadeusz — niech Tecia oczy obetrze i przestanie płakać, bo widocznie, iż nie jesteśmy sami na tej ścieżce.

Idą więc dalej, i nagle ścieżka zakręca się, rozszerza i wreszcie jasną bramą wychodzi na drogę trochę staranniej utrzymaną i wysypaną drobnymi kamieniami.

Tadeusz zajmuje miejsce przy boku Teci i idzie, gryząc świeżo zerwaną trawę.

Na drodze widzi stojącą kobietę, której jasno-pielata spódnica niknie prawie na szarawem tle kamieni.

Lecz dokoła téj postaci kobiecej skacze, miga, skręca się czarna sylwetka olbrzymiego psa. Kobieta wyciąga ramiona, wysoko po nad głowę, powolnym, leniwym ruchem.

Pies szczeka i skacze, pragnąc dosięgnąć jéj dłoni.

— Jakaś pani! .. — szeptec Tecia.

— Więc cóż?—odrzuca Tadeusz.—To widocznie z téj willi, którą widać pomiędzy drzewami. Co za szkaradne domostwo!...

— Nie!... bardzo ładne!... — szeptec Tecia — takie wieżyczki!...

Tadeusz przypomina sobie willę nad brzegiem morza w Concarneau, tę willę, na którą patrzył, snując dziwaczne projekty. Ze złością więc powtarza:

— Szkaradne wieżyczki!...

Zbliżyli się już o tyle, że mogą rozróżnić dokładnie kolor włosów i szczegóły stroju owéj damy. Twarzy jéj jeszcze nie widać, bo głowę trzyma schyloną, poprawiając coś około obroży psa, który stoi teraz spokojnie, olbrzymi, majestatyczny, zwracając w stronę Tadeusza i Teci swój piękny łeb podpalany, ożywiony olbrzymiemi, żółtawemi źrenicami, łeb rasowców, Saint-Hubertów.

— Och!... jaki wielki pies!... — szepce Tecia.

Dama wyprostowuje się energicznie. Przywiązała rzemień dużego plecionego bata do obroży psa, i teraz zaczyna iść szybko naprzeciw Tadeusza i Teci, prowadząc psa za sobą.

Tadeusz w tej chwili dostrzega, iż damą tą jest Muszka, i przez błyskawiczną chwilę ma tysiące myśli i projektów krzyżujących się wzajemnie.

Gniew szalony ogarnia go. Traci przytomność. Widzi, że Muszka idzie wprost ku niemu, i równocześnie dziwi się zmianie, jaką w niej dostrzega. Jest, nie ubrana, lecz odziana, jak panna służąca. Ma na sobie szarą spódnicę, czarny króciuchny żakiecik, rodzaj fularu barwy niezdecydowanej, zapięty pod szyję, i na głowie męski kapelusik filcowy. Lecz co najwięcej uderza Tadeusza, to zmiana jęj twarzy, postarzenie nagle, brak zupełny pudru i aureoli włosów dokoła czoła i uszu. Włosy te, jakby zmoczone, gładkie, ściągnięte po chińsku w węzeł, giną pod rondem śmiesznego kapelusza. Muszka idzie dużemi krokami, odpychając spódnicę kolanami, rękę lewą trzyma w kieszonce żakietu, w prawej dzierży bat, na którym ciągnie psa.

Wszystko to dostrzega Tadeusz w jednej sekundzie i równocześnie stara się powziąć jakieś postanowienie. Lecz gdy Muszka jest już od niego o kilka kroków, pod jęj aroganckiem, zwykłym spojrzeniem zdejmuje szybko kapelusze i pochyla głowę. Ona za-

ledwie dostrzegalnie odpowiada mu na ten ukłon, zimna, sztywna, obojętna, ta sama, jaką ją nieraz widział schodzącą ze stopni kościoła lub siedzącą w łoży teatralnej.

I każde poszło swoją drogą.

Ona prowadzi na spacer psa, odziana nawpół po męsku w ten słoneczny, letni ranek; on idzie obok Teci, która pyta go z kobiecą ciekawością:

— Kto to taki?...

Głos ten przyprowadza Tadeusza do przytomności.

Spogląda na Tecię. Wydaje mu się bardzo ładną, młodziuchną, z troszką rozrzuconych włosów, wymykających się z pod runda kapelusza.

— To jedna z dam... — odpowiada — Tecia ją musiała widywać na majowym nabożeństwie u jezuitów.

— Nie!... — odpowiada Tecia — te panie zajmowały zawsze pierwsze ławki po prawej stronie, potem za nimi stawali ich lokaje, a ja siadywałam w kącie po lewej, przy wejściu do chóru.

Tadeusz głową kręci.

— Strasznie zbrzydła ta pani!... — mówi, wydy-mając usta.

— A!... tak?.. a co jój się stało takiego?

— Za mąż bogato poszła!... — odpowiada z ironią Tadeusz.

.

Gdy dnia tego Tadeusz, pożegnawszy Tecię na rogu ulicy Akademickiej, poszedł do biura, rad był z siebie niezmiernie. Spotkanie Muszki, którego się zawsze lękał, nie sprawiało na nim tak wielkiego wrażenia. Przypisał to obecności Teci i bezustannie teraz w pamięci porównywał postaci obu kobiet. Ta Muszka w śmiesznym kapeluszu angielskim, wlokąca na rzemieniu olbrzymiego psa, nie miała nic wspólnego z ową Muszką ubraną w batysty różowe i zamkniętą w konsze budki z białego muślinu. Tamta — był czar, uśmiech, wdzięk, poezya, elegancya; ta zaś — „koniarka”, o brzydkiej, grubiej cerze, oczach niewyspanych i podsiniących, o szorstkich, nieestetycznych ruchach.

„Kochałem w niej akcesorya, nie ją samą — myślał Tadeusz. — W oddaleniu nabrała w oczach moich indywidualnego czaru, lecz dziś, widzę jasno, widzę dobrze, widzę dokładnie...”

Wzruszył ramionami na samą myśl, iż Muszkę porównywał z Salammbó.

„Ona? w tej brzydkiej sukni, z tym fularem na szyi? ona — Salammbó? co znowu?”

Przesadzał teraz, o ile mógł, owo zbrzydnicie Muszki, w rzeczywistości niespokojny i drżący.

„Jak to dobrze, że teraz kocham się w Teci!..” — zakonkludował, siadając przed biurkiem.

Pół godziny siedział w ciszy i osamotnieniu. Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł Pozbitowski.

Skinął Tadeuszowi głowę i usiadł na sofie. Równocześnie prawie przez pokój przesunął się Kafthan, niosąc w ręku złożone w naleśnik papiery. Pozbitowski skinął ręką.

— Słuchaj, Kafthan, gdzie tak pędzisz? widziałeś Maleniego?

Olbrzym przystanął i zaczął gryźć wąsy.

— Nie... nie widziałem! — odburknął basowym głosem.

— No, to śpiesz się, bo Maleniowie jutro rano wyjeżdżają z powrotem do Wiednia. Jeżeli naprawdę chcesz być przeniesionym, *il faut vous remuer, mon cher*. Chociaż dlaczego ty chcesz być przeniesionym?

Blady uśmiech przesunął się po ustach Kafthana.

— To już moja rzecz! — wymówił, ku drzwiom zmierzając.

Lecz ktoś go za połę kurtki schwycił.

— Cóż to? masz przed nami sekrety? Kafthan?... Bój się Boga!... co się z tobą dzieje?...

Kafthan odwrócił się i uśmiech znikł z jego twarzy.

— Niech mnie hrabia puści... — wyrzekł cichym głosem.

Malewicz zanosił się ze śmiechu.

— Nie puszczę, aż na łonie mem złożysz tajemnicę twą...

We drzwiach ukazała się głowa woźnego.

— Jego Ekscelencya prosi pana Kafthana...

Kafthan rozpaczliwie się szarpnął. Malewicz puścił połę jego kurtki.

— Masz, Kafthanie, twój kaftan: idź do Ekscelencyi, to ci z niego kurtkę skroi...

Kafthan zniknął za drzwiami.

Pozbitowski ujął głowę w dłonie.

— Nie śmieję się tak! — wyrzekł płaczliwie — mam straszną migrenę, twój śmiech mnie drażni!

— *Pardon!* — rzucił z kurtuazją Malewicz — nie wiedziałem... ale ten Kafthan ze swemi tajemniczymi minami okropnie mnie bawi. Prawda, że ten idyota coś knuje? Podobno chce się przenieść do Wiednia. Dlaczego?

— Mówiłem mu właśnie — jęczał Pozbitowski — aby się zobaczył z Malenim.

— A!... dobrze, że sobie przypomniałem... o której godzinie ten obiad?

— O szóstej.

— Kto będzie z kobiet?

— Maleniowa i Orzecka.

— Dlaczego nie więcej?

— Jakże chcesz? gdzie? w tej małej salce na dole, w której kasyno pozwala nam przyjmować damy? I tak siądzie nas do stołu szesnaście osób. Będziemy ściśnięci tak, że łokciami nie będzie można ruszyć...

— A czy przystrojono trochę ściany kwiatami?

— Spodziewam się! I właśnie ztąd pochodzi moja migrena! Ten Dezydery sprowadził całą oranżeryę. Kazalem natychmiast połowę wynieść...

Położył się na sofie, jęcząc cicho.

— E!... baba z ciebie! — zakonkludował Malewicz.

Poszedł do swego biurka i zaczął przewracać na niem massy czystego papieru.

— Wiesz... Charłupko *przeskoczył* — zaczął znowu — zamianowali go ni ztąd ni zowąd *komisarzem*...

— Wiem — odparł Pozbitowski — to Orzecka wyprosiła u Maleniowej.

— Naturalnie... teraz trzeba *ferlakurować* Muszce. Niezadługo Charłupko zostanie starostą...

— Widziałeś Muszkę?

— Widziałem.

— Do twarzy jój małżeństwo i Wiedeń. Nabrała sportowego szyku. Zarzucałem jój zawsze, iż brakowało jój tego czegoś... co to... Teraz wszystko w porządku. Niema jak mężatka!...

Ożywił się, zapomniał o migrenie, usiadł na sofie i małe wąsiki pokręcał.

— Cóż to? — zapytał Malewicz — będziesz jój robił *kurę*?

— Nie teraz... jeszcze zawcześniej... za jaki rok, dwa. Wtedy, gdy się przeniosą do Lwowa. Sądę, że nie będzie wielkich trudności...

— Prawdopodobnie.

Zamilkli obaj. Tadeusz z pewną rozkoszą wsłuchiwał się w ich słowa. Zwłaszcza ostatnie zdanie Malewicza, owo „prawdopodobnie”, sprawiło mu wiele złej radości.

Malewicz wyjął z kieszeni pilnik do paznogi, przy którym wisiały miniaturowe nożyczki, i, wcisnąwszy je na palce, zaczął wystrzygać z papieru całe serye chłopczyków i dziewczynek trzymających się za ręce.

— Więc mówisz, że tak wyprzystojniała? — zapytał, wykrzywiając usta, zapracowany, pragnąc jaknajdelikatniej wyrzeźbić drobniuchne figurki.

— Kto? — zapytał Pozbitowski, śledząc ciekawie robotę Malewicza.

— No... Maleniowa...

— Według mnie...

Tadeusz z nagłą odwagą do rozmowy się wmięszął.

— Spotkałem dziś Maleniową — rzucił niedbale, kreśląc eśy na arkuszu papieru — i muszę wyznać, że zrobiła na mnie fatalne wrażenie. Zbrzydła, postarzała się, nabrała jakichś nieestetycznych ruchów, a przytem ubrana...

— Po angielsku — odparł Pozbitowski — to bardzo szykownie i w dobrym tonie.

— Być może — ciągnął dalej Tadeusz, a serce łopotało mu w piersiach jak ptak spłoszony — ale

pani Maleniowej angielskie mody nie do twarzy. Nie wiem, co zrobiła z włosami, ale dziś była uczesana jak pokojówka...

— Może świeżo *tub* wzięła — odrzucił Pozbitowski i natychmiast ku Malewiczowi rękę wyciągnął.

— *Tu as tort* wycinać z cienkiego papieru... weź gruby arkusz, urzędowy, i zrób im szersze stopy, będą się lepiej trzymać.

Wziął z rąk Malewicza nożyczki a z biurka duży arkusz.

I zaczął starannie, uważnie wycinać nowe szeregi laleczek, gdy Malewicz ostrożnie ustawiał koła białych, maluchnych postaci na czarnej ceracie sofy. Obaj ci „urzędnicy” obracali językami w ustach, przewracali oczami, przybierali miny małych dzieciaków, urządzających papierowej wesele.

Nagle Malewicz głowę podniósł i odstąpił na środek pokoju, przypatrując się swemu dziełu z zadowoleniem.

— *Ça y est...* — wymówił zacierając ręce.

Tadeusz udał wielkie zainteresowanie. Wmawiał w siebie coraz lepszy humor. Autosuggestya ta udawała mu się niezmiernie pomyslnie.

Od dni kilku wstawał wcześniej, towarzysząc Teci podczas jej rannych higienicznych przechadzek. Zaczął czuć się rzeświejszy, silniejszy fizycznie i moralnie.

— Teraz zróbcie mamy pod ścianami — zaproponował, przechylając się przez biurko.

— I wodzireja... koniecznie... — dorzucił Pozbitowski.

Tadeusz cofnął się, lecz Malewicz zwrócił się ku niemu i rzucił od niechcienia pytanie:

— Ten Radolt... bardzo musi być ubogi, co?

Tadeusz przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego właściwie Malewicz pyta go o stan finansów Radolta.

— Bardzo... — odparł prawie machinalnie.

— A... wiesz, gdzie mieszka? Możesz mi powiedzieć jego adres?...

— Po co? czy chcesz mu dopomóc?

Malewicz milczał chwilę i wciąż ustawiał lalki.

— Może — wycedził przez zęby.

Tadeusz się uradował.

— Zrobisz bardzo dobrze... Radolt jest bardzo zdolny i bardzo nieszczęśliwy. Mieszka przy ulicy Sobieskiego, numer dwunasty...

— Dziękuję ci...

Tadeusz zabrał się znów do kreślenia esów na papierze.

— Prosiłbym cię tylko... — wyrzekł z wymuszoną swobodą w głosie — ażebyś, widząc Radolta, nie wspominał mu... o naszej przedwczorajszej rozmowie, wiesz... *à propos* nowelki...

— O, bądź spokojny — odparł z kurtuazyą Ma-
lewicz — nazwisko twoje nie będzie nawet wymó-
wione.

I schyliwszy się nad kanapą, zaczął ołówkiem
rysować twarze i tualety wycinanym przez Pozbi-
towskiego lalkom.

Ranek mijał, w złoto słoneczne spowity, i jakiś
ptak, ukryty w ogrodzie, ówierkał głośno i gderliwie.

Całe strugi słońca wlewały się teraz do pokoju.

Tadeusz powstał i storę szybko zapuszczać zaczął.

— Nieznośny blask! — wyrzekł — niepodobna
pracować spokojnie...

I, usiadłszy przy biurku, na czystym arkuszu
rebus francuski komponować zaczął.

IV.

Nazajutrz nad wieczorem Tadeusz spotkał na placu Bernardyńskim Radolta.

Dziennikarz miał dwie plamy na zapadłych policzkach.

— Jak się masz!.. jak się masz!.. — wyrzekł szybko, podając rękę Tadeuszowi —.wiesz, mam ci powiedzieć ważną nowinę...

— Cóż takiego? straciłeś miejsce?

Radolt rzucił się niecierpliwie.

— Czy sądzisz, że mnie same *pechy* się tylko przytrafiają w życiu? Szczęśliwy tam bardzo w życiu nie byłem i nigdy chyba równocześnie dwóch szczęść nie widziałem... Ale stracić miejsce? Bój się Boga!.. a tożbym chyba bojkiem został i bryndzę zaczął sprzedawać, zawijając ją w moje manuskrypty...

Skierował swe wielkie czarne oczy w stronę placu Sobieskiego, gdzie świeciły się latarenki, przyczepione do straganów bojków.

— Choć... o ile byłoby mi lepiej, spokojniej w ich wysmarowanej masłem koszuli, niż w tym zakiecie, który musiałem dziś zasmarowywać atramentem... Bojko byłem... powinienem był nim zostać do śmierci. . A tak co?...

Dopiero teraz Tadeusz dostrzegł, że Radolt miał cień twarzy tych czarnowłosych chłopów, pochylonych nad straganami w oświetleniu smutnych laterek. Lecz był to cień cienia, ten szmat trójkątny zielonawego ciała, który zdawał się być delikatną osłoną jakiegoś niespokojnego i dziwnego ducha.

— Nie o to jednak chodzi... — ciągnął dalej Radolt — dostałem list od... Malewicza!

Tadeusz milczał, przygotowany do tej wiadomości. Zapytał jednak:

— Al... cóż on chce od ciebie?

Pisze do mnie dość przyzwoicie... Przypomina mi, iż jest moim kolegą szkolnym. Nazywa mnie swoim... podwójnym kolegą. Uważasz? delikatna alluzja do owiej sławnej nowelli... I kończy, zapraszając mnie na jutro, na godzinę piątą, do siebie...

— I cóż?.. pójdziesz?...

— Naturalnie. Powiem mu, co o nim myślę, śmiało, w oczy. Być może, iż zechce kupić odemnie powieść i wydać ją pod swoim nazwiskiem... Wówczas ja mu powiem: Panie hrabio... albo nie, powiem mu: mój Malewicz!... mój Malewicz...

Urwał, roześmiał się złośliwie, i machnąwszy ręką, dokończył:

— Już ja wiem, co mu powiem...

Ujął Tadeusza pod rękę.

— Chodźmy w stronę Łyczakowa.

Weszli na ulicę Piekarską, która teraz tonęła cała w dziwnym, szarawo-błękitnym blasku. Tu i owdzie zaczynały płonąć latarnie, które miały srebrne, czyste światło gwiazd, zawieszonych różańcem w przestrzeni.

— Jedno mnie cieszy... — podjął znów Radolt — to to, że jestem widocznie kimś, skoro taki pan hrabia liczy się z moją opinią. Wie, że jestem surowy i że omamić się nie dam: więc chce mnie ująć grzecznością i słodyczą. Ale takie rzeczy nie mają na mnie wpływu... Drwię z ich uśmiechów, tak, jak drwię z pogardy, jaką obrzucają moją zniszczoną okrywkę...

Podniecony, zgorączkowany, machał ręką, robił wrażenie człowieka podchmielonego.

Tadeusz, ze swym babskim usposobieniem, czyniącym z niego niepoprawnego gadułę, przechodził męki Tantalą, pragnąc dotrzymać tajemnicy i nie wspominać o możliwej propozycji pomocy ze strony Malewicza.

Milczał więc i laską po końcach butów uderzał, zdziwiony trochę tym nagłym ożywieniem się Radolta.

— Skoro taki wypadek mnie w życiu spotkał — mówił dalej Radolt — to aż nabieram chęci do pracy... Ręczę ci, że będę całą noc pisał. Dali mi właśnie do oceny „Historię historii cywilizacji”. Tysiąc stronic... mam to wszystko przeczytać i o-ce-nić! Rozumiesz? o-ce-nić i to przez jedną noc!... Machnę cokolwiek, zajrzę tu i owdzie, wykręcę się sianem. A przez resztę nocy napiszę nowellę... piękną nowellę... nie mistyczną, choć to teraz moda przyszła, ale jędrną, zdrową, chłopską... coś ztamtąd... od bojków...

Zsunął kapelusz z głowy, zacisnął pięści i szedł wielkimi krokami, roztrącając przechodniów.

— I zobaczysz... — ciągnął urywanym głosem — ja wybrnę... wybrnę, jak Boga kocham, wyjdę na ludzi... tō jest na takich ludzi, co to mają do swęj dyspozycyi czcionki i bibulę... nie wierzysz?...

Wielohradzki pokręcił głową.

— Dlaczego nie?... — wyrzekł układnie — skoro tylko wyrobisz sobie stosunki...

Radolt machnął ręką.

— Stosunki! — wrzasnął — co mi po nich? pluję na stosunki!... Ja, jeżeli się wyrobię, to tém o!... tém... patrzaj, ty filarze cesarsko-królewski!

Wyciągał w ciemniejącą przestrzeń swe wychudłe ręce, które wysuwały się z krótkich rękawów tuzurka chude i żółte.

Z energią przebierał w powietrzu palcami, na których żółciły się pozaginane suchotnicze paznogie.

— Tu, panie, moje stosunki!... tu, panie, moja protekcyja! — mówił. — Do cholery ciężkiej wszystkie obiecanki pomocy!...

— Jednakże — wtrącił Wielohradzki — bez stosunków i protekcyi ciężko na świecie ..

Radolt zachmurzył się i stracił fantazyę.

— Prawda, ciężko... — powtórzył, nagle z siłą opadły.

Szli ciągle w górę ku cmentarzowi; powoli jedna po drugiej gwiazdy zapalały się na niebie. Na dole, na ziemi, jak odblask słaby i nędzny, migotały latarnie gazowe, wstążkami światła w oddali brzegi ulicy znacząc.

Cisza zapadała coraz większa. Słyszać było dokładnie lekki stuk obcasów Wielohradzkiego i anemiczne szuranie zniszczonych podeszew Radolta.

I nagle w tę ciszę wpadł ochryply głos Radolta:

— Tadek... czy są też pomiędzy... *nimi* inteligentni ludzie?

Tadeusz zdziwiony podniósł głowę.

— Między... nimi?

— No tak..! w twoim *high-lif*'ie? ha?

Tadeusz zastanowił się chwilę.

Nigdy nie zadawał sobie podobnego pytania. Stopień inteligencyi tych, co go otaczali, był mu obojętny. Wystarczała porządna odzież i ładne maniery.

— No? co? — nalegał Radolt.

— Zapewne... — bełkotał Tadeusz — zapewne... muszą być... wykształceni... jeżdżą za granicę... Mallewicz był w Turcyi...

— Bo gdyby oni byli inteligentni, to kto wie... możnaby z nimi na seryo walkę rozpocząć — ciągnął Radolt.

Potrząsnął głową, jakby gotując się do téj walki.

— Polemika!... ach!... to jedno! to podstawa dziennikarstwa!... Gdybym mógł polemizować z ludźmi inteligentnymi, byłbym bardzo szczęśliwy!...

I nagle, przeskakując swoim zwyczajem z jednego przedmiotu do drugiego, zapytał:

— Tadek! czy ty widziałeś kiedy człowieka zupełnie szczęśliwego?... Tylko zrozum mnie dobrze: szczęśliwego, zadowolonego ze swéj roli społecznej, z téj odrobiny pożywienia moralnego i materyalnego, jakiej mu los raczył udzielić? Człowieka, który nie chciałby „dojść”, wybrnąć, który wszelkimi sposobami nie szukałby pozbycia się dawnéj skóry i wsunięcia się w inną, wygodniejszą. Powiedz, czy ty to widziałeś?

— Widziałem.

— Któż to taki?

— Młoda dziewczyna.

Radolt ręką machnął.

— E!... kobieta! .. to się nie liczy!...

Wielobradzki nie nie odpowiedział, tylko myślą uprzytomniał sobie ranną z Tecią przechadzkę. W wąwozie, pełnym paproci, Tecią zwróciła się ku niemu zarumieniona, z oczyma, błyszczącymi wielką radością.

— Taka jestem szczęśliwa! — wyrzekła półgłosem — och! taka bardzo szczęśliwa... Gdybym tylko mogła powiedzieć wszystko babce i mamie pana, i oddać ten garnitur panu Janczewskiemu... już nicby mi chyba do szczęścia nie brakowało! Prawda?

Teraz dopiero przypomniał sobie jój słowa, jój uśmiech, dźwięk jój głosu.

Ta—była szczęśliwa.

Nie pragnęła nic, materyalnie czuła się najzupełniej zadowolona i nie trawiła się myślą o krzywdzie socyalnej, jaka była jój udziałem.

Spojrzał ukosem na Radolta i nigdy może jego dawny kolega nie wydał mu się tak bardzo istotą „wykolejoną”, jak w téj chwili.

Szedł ciężko, jak chłop za pługiem, nędzny i strawiony gorączkową walką o byt w zaduchu i nikczemności miejskiej.

Ręce silnie zarysowane zwiesił beczynnie, zaginając palce haczykowato, jakby zdjęty ciągłą chęcią wydzierania innym ich zdobyczy.

Był widmem samowolnej nędzy, widmem groźnym i fatalnym, rzuconym podmuchem losu na bruk gnijącego w intelektualnym zastoju miasta. W zapa-

dłej piersi miał cały grób chłopskiej upartej rozpaczy, pomieszanej z burżuazyjną chęcią „dojścia”.

Duma pługowca kazała mu pogardzać protekcją, stosunkami, lecz w głębi jego duszy drżały całe morza pragnień rozporządzania czcienkami i płachtami dzienników, które w jego trupio-zapadłych oczach rządziły światem, opinią i losami ludzkości.

I szli tak długo obaj, milcząc już i tylko wpatrzeni przed siebie, obaj niezadowoleni i niechętni, wydzierając się duszami ze swych „ja”, które z mocą skorpionów do nich przypadły, i z którymi ciągle śmiertelne walki toczyli.

Tylko Radolt głośno wołał i, jako „źle wychowany”, otaczał się atmosferą jęku i złości; gdy tymczasem Wielohradzki ironią zatrzuwał się powoli, sącząc ten jad w swą ptasią duszę kobieco rozwiniętego mężczyzny.

Rozstawszy się wreszcie z Radoltem, Tadeusz powlókł się w stronę domu. Przechodził pod oknami kasyna. Mimowoli zatrzymał się i szukał okiem salki, w której odbywał się obiad wydany na cześć Muszki. Nie był pewien, czy były to okna, zasłonięte szczelnie roletami z szarego płótna i silnie oświetlone. Obszedł dokoła cały gmach i znów powrócił do tych dwóch okien, które ciągnęły go, jak magnes. Zatrzymał się na chodniku i zaczął zapalać powoli papierosa.

Nagle z bramy wyszedł Jurek Bodocki. Wielo-

hradzki uciekł szybko, porzucając niezapalonego papierosa.

Z bijącym sercem wpadł do swego mieszkania.

Wielohradzka szła przy lampie, zasłoniętej zielonawym abażurem.

Przy maszynie siedziała Teczka i pilnie zszywała jakieś kawałki jedwabiu.

Zobaczywszy syna, Wielohradzka dała znak ręką Teci.

— Niech Teczka przestanie... pan Tadeusz powrócił!...

Tadeusz miał ochotę pójść do swego pokoju, położyć się czempredziej i zgasić świecę.

Lecz przemógł tę chęć i zbliżył się uprzejmie do stołu.

— Przeczytam paniom gazetę — wyrzekł, sięgając po dziennik.

Lecz Wielohradzka zmarszczyła brwi z niechęcią.

— Nie... proszę cię... idź do siebie... my mamy bardzo pilną robotę... musimy dziś siedzieć długo w nocy...

Tadeusz upierał się, czując w duszy potrzebę moralną pozostania przez czas jakiś obok Teci i matki. Bał się swych myśli, wspomnienia nocnego Muszki, tych dwóch oświetlonych okien kasyna, które, jak oczy rysia, migotały przed nim w ciemności.

Wielohradzka wyciągnęła ku Teci rękę.

— Niech Teczia da mi te dwa kliny i niech idzie spać... Ja sama suknię skończę...

— Ależ... proszę pani... — oponowała Teczia.

— Niech Teczia idzie spać!... — powtórzyła dobitnie Wielohradzka.

Teczia cicho wysunęła się z pokoju.

Tadeusz gryzł wargi, wahał się wywołać nową scenę. Nerwy jego zaczynały znów drgać całe; lekkał się samego siebie.

Milcząc, skierował się ku drzwiom swego pokoju.

Teraz Wielohradzka pragnęła go zatrzymać, cała pobladała w świetle lampy.

— Dlaczego uciekasz? chciałeś mi czytać gazetę? — spytała.

Tadeusz pokręcił głową.

— Nie!... teraz nie mam ochoty... jestem zmęczony! — odparł, ujmując za klamkę.

Wielohradzka z pod okularów starała się dojrzieć twarz syna.

— Zapewne znów byłeś w restauracyi ze swoim... Radoltem...

— Nie... byłem z nim na spacerze.

— Nie wstyd ci wychodzić z takim obszarpancem?

Tadeusz usta wydał.

— Mamusia źle robi, lekceważąc Radolta. Zobacz mamusia, jak on się wybije. Niezadługo będzie redaktorem. Zobacz mamusia!...

Wielohradzka rzuciła na stół nożyczki z niezwykłą u niej złością.

— Być może... tymczasem jednak jest to osobistość kompromitująca, i proszę cię, ażebyś mi go nigdy do domu nie przyprowadzał... Rozumiesz?...

— Rozumiem. Dobranoc mamci!...

Nie było odpowiedzi.

Po raz pierwszy Wielohradzka nie życzyła synowi „dobrej nocy”.

Rozterka i troska o Tecię rosła w niej z dniem każdym. Owe słowa Tadeusza, wyrzeczone niedawno a tyjące się możliwego jego związku z Tecią, były dla niej uderzeniem piorunu. Przypuszczała płochosć, miłostkę, i uczciwość jój kobieca czuła się niezmiernie dotkniętą postępowaniem Tadeusza. Lecz tych kilka słów otwarły przed nią przepaść nędznej przyszłości, w której wegetować miał jój syn i jój wnuczeta. Łzy zaćmiewały jój oczy. Była to bowiem dziwna natura w tój kobiecie: mieszanina duchowo-religijnych aspiracyj i szalone przywiązanie do materyalnych warunków życia.

Z kawałków jedwabiu lepiała podszewki sukien, które zużywała, klęcząc na kamiennych flizach kościoła. Z kawałków protekcyi, posagu jakiej bogatej jedynaczki chciała ulepić synowi wygodne gniazdo, uświęcone i pobłogosławione Sakramentem małżeństwa. Tymczasem projekty jój rozbijały się w puch i niweczyła je nędzna postać ubogiej szwaczki, małej

dziewczyniny, którą Wielohradzka uważała za swą najemnicę. Tyle ofiar, nocy nieprzespanych i strawionych nad robotą dla zapłacenia garniturów frakowych i jedwabnych skarpetek Tadeusza, wszystko szło w niwecz, pozostawiając po sobie tylko galeryę długów.

Wielohradzka ocierała szybko łzy, płynące z pod podwójnej pary binokli, jaką miała na oczach. Drżące ręce klóły materyę, igła zakreślała krzywą linię.

Wzięła ze stołu czarną koronkę i zaczęła umocowywać odprówiający się dżetowe paciorki.

Jedna z jój łez spadła na czarną, przejrzystą tkaninę i załśniła się pomiędzy dżetami.

Stara kobieta ostrożnie wpięła w łzę swą igłę.

Łza rozplynęła się, a Wielohradzka, zdjęwszy z nosa binokle, przecierała je uważnie i tłumila łkanie, które zaczynało prawie rozpaczliwie wstrząsać jój piersi.

V.

Nazajutrz, w biurze, Tadeusz mimowoli śledził zachowanie się Malewicza.

Professional lover lwowski był widocznie nerwowo podrażniony.

Śmiał się, dowcipkował i co chwila odwoływał na bok Pozbitowskiego, Charlupkę i Bodockiego, z którymi coś szeptał, ściskając im ciągle ręce.

Koniarze kiwali głowami, zapewniali go tajemniczo, uspokajali, poczem rozchodzili się po to, aby za chwilę zejść się znowu i radzić w kącie tak, jak bengali, te ptaszki o czerwonych dzióbkach, rajcujące w kącie klatki i spowiadające się ze swych miniaturowych tajemnic.

Wielohradzki śledził z pod oka te wszystkie narady, nie biorąc w nich udziału.

Dzień był prześliczny, jesień nadciągała powoli, lecz już tu i owdzie drzewa w ogrodzie namiestnika przybierały odcienie złota i miedzi.

Wielohradzki wstał w wyborném usposobieniu.

Muszka w nocnych marzeniach wydała mu się jeszcze brzydszą i pospolitszą. Zresztą, jak u każdego neurastenika, autosuggestya grała tu olbrzymią rolę. Wielohradzki chciał widzieć Muszkę brzydką, i widział ją taką. I wstawszy, zażądał od matki wykwin-tniej bielizny, nowego krawata, rękawiczek i bronzowych jedwabnych skarpetek.

Wielohradzka, uszczęśliwiona, uczyniła zadość jego żądaniu. Namówiła go, aby wziął nowy zakiet i laskę ze złotą główką. Gdy przyszedł przejrzeć się w lustrze i tak jak dawniej uśmiechał się do siebie, mrużąc oczy i zaciskając usta, Wielohradzka nie posiadała się z radości.

— Nareszcie — myślała — z gustem ubrania powróci mu chęć bywania w świecie, w porządném towarzystwie... Dzięki Ci, Boże!...

Zawinęła mu w papier rogalik i cukier.

— Chcesz? — zapytała — odpruję ci krepę u kapelusza?

Lecz on szybkim ruchem powstrzymał jęj rękę.

— Nie! nie! mateczko!. . Niech mama zostawi... To jedyna moja obrona przed natrętnymi zaprosina-mi tych... państwa!

Rzucił to ostatnie słowo z wysoką ironią.

Wielohradzka podchwyciła szybko:

— Cóżby w tém było złego, ażebyś znów zaczął bywać w świecie?...

- Och!... taki świat!...
- Cóż chcesz... elegancki...
- Och!... taka elegancja!...

Zaczął się śmiać przeciągle, mając ochotę wygadać się przed matką o spotkaniu Muszki, o jej trywialnej przemianie; lecz należałoby przyznać się do rannych spacerów z Tecią, a tego Tadeusz uczynić nie chciał.

Zadowolnił się więc powtórzeniem kilkakrotnem:

- Och!... taka elegancja!...

Ironia ta nie opuściła go ani na chwilę, nawet w biurze. Wynajdywał teraz trywialne strony w obejściu Malewicza, Bodockiego, Pozbitowskiego. Z po za swojego biurka, w milczeniu, krytykował, śledził, czynił ironiczne uwagi. Zaczął nawet rysować karykaturę całej grupy, zbitęj w kącie, koło drzwi.

Stanowczo, burżuazya miała rację, mówiąc, że „kasynowcy” stajnią trącą.

Bezwiednie kreślił niezłą syntezę ich postaci. Kilkoma pociągnięciami pióra oddał długą, szkieletowaną sylwetkę Stania, drewnianą elegancję Malewicza, parobkowatą piękność Bodockiego. Zmysł jego krytyczny subtylizował się w tej formie.

I nagle na czystej ćwiartce zaczął kreślić syntezę Muszki „sportowej”, z psem olbrzymim, uczepionym na bacie. Lecz mimowoli nadawał jej dawne kształty Androgyny. Niezadowolony, podarł papier i znów

obserwował Malewicza. Przypomniawszy sobie wczorajsze nagłe zapytanie Radolta:

— Czy są między nimi ludzie inteligentni?

Co właściwie Radolt nazywał inteligencyą? Czy zdanie matury? czy chodzenie do uniwersytetu? Czy łatwość encyklopedyczną w rozmowie? Płasi umysł Wielohradzkiego pracował w tej chwili, zastanawiając się nad tą kwestyą. A on? Tadeusz? czy był inteligencyą. Zdawało mu się, że tak—przynajmniej twierdziła tak często Wielohradzka. Lecz czy inteligencya jego różniła się w czem od inteligencyi „koniarzy”?

Niezdecydowany, wysadzony z równowagi, kreślił wciąż po papierze gzygzaki i linie. Powoli z tych arabesek wysunęła się postać kobieca: Tercia z aureolą kapelusza, w fałdach rozbiegających się w przestrzeń sukienki. Lecz było to połączenie Terci i tej „pierwszej”, która szła przed nim w wąwozie nadmorskim, wśród srebra i zieleni. Piana włosów wysuwała się z pod runda kapelusza. Szybko Tadeusz podał znów papier i wrzucił strzępy do kosza. „Koniarze” wynieśli się teraz do biura Charlupki, i zupełna cisza panowała dokoła.

I tylko od czasu do czasu słychać było skrzyp butów Kafthana, który w sąsiednim pokoju porządkował szuflady swego biurka.

Według obietnicy danój Radoltowi Tadeusz znalazł się na placu Bernardyńskim o trzy kwadransy na piątą.

Zastał tam oczekującego na niego literata.

Radolt odziany był z widoczną starannością. Miał niebieską kretonową koszulę, szarą kamizelkę, pożyczony surdut, zbyt długie spodnie i ciemne skarpetki. Uczesany, umyty, zieleńszy niż zwykle, oczy miał dziwnie błyszczące.

— Ha? dziwisz się, że mnie widzisz tak wystrojonego? — zapytał z przymuszonym śmiechem. — Nie chcę, aby ten pan wyobrażał sobie, iż prócz nich wszyscy ludzie są brudni i obszarpani... Oni człowieka tylko cenią z powierzchowności... Na razie więc trzeba im zaimponować i zagrać na ich dudce... Inaczej niepodobieństwem będzie osiągnąć moralną przewagę.

Tłómaczył się tak, skrępowany i zawstydzony tą biedną elegancją, która uwidoczniła jego nędzę, wychudzenie i brak przyzwyczajenia noszenia całej odzieży.

Z fantazją jednak nasunął na ucho świeży cylinder i zawołał:

— Chodźmy!...

Poszli w stronę placu Maryackiego: Tadeusz — milczący, Radolt — ciągle rozgorączkowany i podniecający się widocznie dźwiękiem własnego głosu.

— Na każdą jego uwagę mam już gotową odpo-

wieź!... Ho! ho! . . niech on nie myśli, że to balotowanie kasynowe albo kwestye wyścigowe... Po raz pierwszy w życiu ten pan może posłyszysz głos, który mu wskaże jego obowiązki...

— Zkąd wiesz, o czem on z tobą chce mówić? — przerwał mu Tadeusz.

— Zkąd? — krzyknął Radolt — ależ to łatwe do odgadnięcia... Czuje we mnie nieprzyjaciela... lęka się mnie... chce mnie wyrozumieć, dyskutować zemną... usprawiedliwić się... Znam ja tę litanię na pamięć... Tryumf! tryumf dla mnie najwyższy to wezwanie!... Im więcej się nad tem zastanawiam, tém więcej tryumfuję!... Ha! ha!... liczą się ze mną... boją się mnie... Nareszcie!...

Doszli do rogu ulicy Kopernika.

Wielohradzki zatrzymał się na środku chodnika.

— Idź-że sam dalej, ja tu na ciebie zaczekam.

Lecz Radolt pochwycił go za rękę:

— Wiesz co, chodź ze mną do Malewicza. Będiesz świadkiem mojego tryumfu i jego upokorzenia.

Wielohradzki szarpnął się prawie gniewnie:

— Oszalałeś? cóż ja tam będę robił?

— Będiesz świadkiem starcia się dwóch kast... tragicznej potyczki boszej armii z tyimi, co noszą czerwone buty... chodź! chodź!...

Wielohradzki brzwi ściągnął, twarz mu pociemniała z irytacyi.

— Idź sam!... będę czekać tu na ciebie... nie siedź tylko długo...

Radolt pokiwał głową.

— Zawsze z ciebie zmoczona kura... Boisz się narazić... Sądzisz, że im nasobaczę i nawymyślami! Nie lękaj się... potrafię się zachować przyzwoicie, przyzwoicięj może niż oni.

Lecz Wielohradzki z najwyższym uporem zwracał się ku Wałom.

— Skoro chcesz mnie gwałtem zabrać z sobą — wyrzekł — uciekam!. czekać będę na ciebie na Wałach, na pierwszej ławce. Idź!... piąta już wybiła.

I zanim Radolt zdołał wyrzec jedno słowo, Wielohradzki oddalił się szybko, wywijając w powietrzu laseczką.

Wszedłszy w aleję Wałów, usiadł na pierwszej ławce, zajętej już przez dwie starannie ubrane żydówki. Wielohradzki, który był antysemitą zażartym, odsunął się na sam brzeg ławki. Odwróciwszy się od żydówek plecami, zaczął rozmyślać i zastanawiać się nad niekonsekwencyą swego postępowania.

Dlaczego właściwie zgodził się towarzyszyć Radoltowi? Dlaczego czeka na niego, narażając się, iż Malewicz może go zobaczyć w towarzystwie Radolta?

Związał się pewną przyjaźnią z Radoltem „na złość” sobie samemu i arystokracji. Upokorzenie Malewicza cieszyło go. Zapewne; lecz czy rozsądnie, było narażać się na nienawiść Malewicza? Mógł

przecież szkodzić mu i upokarzać go bez afiszowania się w towarzystwie Radolta.

Żydówki rozmawiały głośno, przeciągając dziwacznie samogłoski.

Wielohradzki, zdenerwowany, zatknął sobie palcem ucho. Lecz to niewiele pomagało. Skrzeszający głos przedzierał się z dziwacznością i dręczył go fatalnie.

„Jeżeli Malewicz dopomoże Radoltowi i dźwignie go z biedy... — zaczął myśleć znowu — stanie się to niejako za moją przyczyną... Prawda, zrobiłem plotkę, powtórzyłem słowa Radolta, ale plotka ta ma jaknajlepsze następstwa... Kto wie? może Radolt nie ma słuszności, twierdząc, że w tych ludziach niema odrobiny serca... Kto wie?...”

Zaczął powoli odgarniać laską liście, które już spadały z drzew, i zgromadzać je w maluchną mogiłę.

„To pewne... — zakonkludował — że u „nich” mężczyźni muszą być lepsi niż kobiety.”

Nagle ktoś dotknął jego ramienia.

Tadeusz odwrócił się i ujrzał Radolta.

— To ja .. — wyrzekł literat — to ja! .

Wielohradzki wstał z ławki i z przerażeniem najwyższym spojrzął na swego kolegę.

Radolt był trupio blady, z czoła spływały mu krople potu, rozwiązany krawat wisiał mu wzdłuż kamizelki.

— Co ci jest? co się stało?...

Radolt uczepił się jego ręki.

— Powiem ci później... chodźmy!..

— Gdzie? czy chcesz, ażebyśmy wstąpili do kawiarni?

Lecz Radolt głową potrząśł.

— Nie!... nie!...

— Odprowadzę cię do domu.

— Nie!... nie!.. nie chcę .. ja się tam zabiję!...

Drżały mu usta, ręce, nogi. Tadeusz, przerażony, usiłował posadzić go na ławce.

— Radolt!... oprzytomnij! Bój się Boga!.. Ludzie na ciebie patrzą!...

Lecz Radolt, jak małe dziecko, głowę tulił do ramienia Wielohradzkiego.

— Weź mnie ztąd!...—jęczał—weź mnie ztąd!... zaprowadź do siebie!... Och! gdybyś ty wiedział, co „oni” mi zrobili... gdybyś ty wiedział!...

Jedna z żydówek zbliżyła się ze współczuciem.

— Ten pan zasłabnął?... może co przynieść?

Kilku przechodniów zatrzymało się.

Wielohradzki, który unikał zawsze wszelkich scen ulicznych, podrażniony, zrozpaczony, uchwycił prawie brutalnie za rękę Radolta.

— Chodź do mnie!... — zawołał.

Radolt podniósł się z wysiłkiem i powłókł się za Tadeuszem, a tymczasem zebrany już tłum wymieniał uwagi:

— Co mu to? zemdlał?

— To nie .. może się trochę upił!

— E!... co znowu. Prędzój z głodu, bo blady, jak śmierć angielska...

— Ale tam... z głodu, taki kibic w cylindrze i lakierkach...

— A może mu ojciec umarł!

Tymczasem Tadeusz, lękając się nowego wybuchu rozpaczy ze strony Radolta, nie badał, nie pytał, lecz szedł szybko, wlokąc za sobą ten szmat człowieka, zgniecionego nagle jakąś przeciwnością. I mimo woli Tadeusz czuł pewną odrazę do Radolta, do tych jego publicznych i jawnych łez, bezsilności, tchórzostwa. Zdawało mu się, że Radolta okrył nagle trąd, że wlecze za sobą cień jakiś, chorobliwy i brzydki. Nie miał odwagi obejrzeć się i spojrzeć w twarz swego towarzysza. Biegł pod ścianą domów, patrząc z trwogą w dal uliczną, czy nie spotka kogo z „kasyńców.”

Ulica była prawie pusta i czasem tylko cicho środkiem przemknęła się kareta, sunąca delikatnie na gumowych kołach. Okna przeważnie kryła biel storów. Rozpoczął się powolny powrót z wód i wyjazd na jesienne polowania. Arystokratyczna część miasta miała wygląd eleganckiego cmentarza.

Nareszcie Wielohradzki i Radolt dotarli do bramy domu zamieszkiwanego przez Wielohradzkich. Tadeusz trwożne spojrzenie zagłębił w bramę. Nie chciał, aby stróż widział jego nowego gościa. Lecz stróż

siedział w swój izdebce, która była czysta, widna, okazała i miała nawet firanki muslinowe, zasłaniające okienka wychodzące na bramę. Przebiegli dziedzińiec i zaczęli wdrapywać się na wschody. W ciszy słychać było ich kroki i podciąganie nosem Radolta, który widocznie nie miał chustki. Tu, w tej klatce wschodowej, Tadeusz uczuł się bezpiecznym, wiedział, iż nikt nie zobaczy Radolta. I równocześnie z ustąpieniem tej obawy obudziło się w nim coś nakształt litości. Miał ochotę pożyczyć literatowi swój chustki, lecz prędko myśl ta ustąpiła inną: jak też matka przywita tego nieproszonego gościa, co jej powiedzieć, jak wytłómaczyć?

Niezdecydowany, otworzył kluczem drzwi przedpokoju.

— Wejdz — wyrzekł do Radolta, który stał u progu — zaczekaj chwileczkę, uprzedzę moją matkę!...

Wszedł do pokoju. Radolt pozostał w sionce.

Wielohradzka siedziała przy oknie, wszywając w pasek aksamitną spódnicę. Tęcia klęczała przy niej i kończyła obszywać jedwabnym sznurem brzeg spódnicy. Ametystowa barwa aksamitu płonęła cała w blasku zachodzącego słońca.

Wielohradzki zbliżył się do matki.

— Mamusiu! — wyrzekł przyciszonym głosem — pan Radolt przyszedł ze mną... niech mamusia poprosi go na herbatę...

Białe czoło Wielohradzkiej przecięła rasowa

zmarszczka. Gięst ręki, wyniosły i zimny, odpowiedział przecząco. Nie wyrzekła ani słowa, lecz widocznem było, iż zawrzała oburzeniem na tego „obszarpanego” intruza, który niedość, że zaciągał Tadeusza do podejrzanych miejsc zabaw i tanięj wesołości, ale teraz jeszcze swą cynicznie brudną postać pod dach jęj wprowadzał.

Lecz Tadeusz, nagłym instynktem zdjęty, pochylił się nad matką.

— Mamol!.. — wyszeptał — Radolta wielkie spotkało nieszczęście. . Nie mogłem go tak zostawić... Mdlął na ulicy...

Z czoła Wielohradzkiej znikła zmarszczka. Stara kobieta powstała natychmiast z twarzą w srebrze włosów, dobrą i nagle zainteresowaną. Aksamit fioletowy opływał ją dokoła, jak dostojna dalmatyka.

— Niech wejdzie! — wyrzekła z prostotą.

VI.

— Niech pan poczeka, dam panu jeszcze jedną chustkę!...

I dobrotliwie Wielohradzka wyjęła z drżących rąk Radolta zwiniętą w kłębek szmatkę, mokrą od łez i czarną i od smug fiksaturaru, którym sobie literat wysmarował obficie zwykle rozczochrane pasma długich włosów.

— Pani... mi... daruje... — jękał się Radolt, łkając coraz głośniej — pani mi daruje... ale .. ja... nie mogę się wstrzymać od łez...

— Niech pan płacze! — wyrzekła Wielohradzka. — Skoro panu będzie lżej na sercu, to pan nam opowie, co pana spotkało. Naturalnie, jeżeli to nie będzie niedyskrecyą z naszej strony wdzierać się w pana tajemnice.

— Och nie!... nie!... ja powiem... powiem... tylko teraz nie mogę... bo mnie lży duszą...

Ze drzwi kuchenki wysunęła się Tęcia z tacką, na której bielila się filiżanka.

— Proszę pani. . kwiat pomarańczowy!

— Dobrze, postaw na stole i podaj cukierniczkę.

I wszyscy troje, zgromadzeni dokoła siedzącego na krześle Radolta, tworzyli prąd sympaty i współczucia. Wielohradzka i Teczka krzątały się ze łzami w oczach, przerażone i smutne na widok tój rozpaczliwego nędzarza w wytartym tużurku, ocierającego oczy w końce rozwiązanego krawata. Tadeusz w hermetycznym zamknięciu mieszkania dozwolił sercu swemu na wydobyć się chwilowe ze skorupy egoizmu i co chwila pochylał się nad plecami szlochającego Radolta.

— No! no!... — uspokajał go — nie płacz... nie płacz... widzisz przecież, że jesteś między życzliwymi ci ludźmi!

Powoli łkanie umilkło, przeszedłszy w cichy jęk.

Radolt położył głowę na stole i tylko pod cienką tkaniną tużurka widać było różaniec jego kości pancerzowej, wstrząsany spazmem bólu. Cienie występowały z kątów pokoju i wydłużały się na powierzchni posadzki. Firanki okien przybrały dziwnie błękitną barwę.

Tadeusz usunął się do swego pokoju i, pociągawszy za sobą matkę, opowiedział jój pokrótce cały przebieg sprawy z Malewiczem. Naturalnie, zataił swoje gadulstwo. Wielohradzka pokręciła głową.

— Cóż oni mu takiego mogli zrobić? Przecież nie

dopuszcili się jakiegoś trywialnego czynu; ludzie tak dobrze wychowani... tak dobrze urodzeni... Ten Malewicz toć jedna z najdystyngowańszych rodzin... Pojąć nie mogę.. Ha, zobaczymy...

Delikatna sylwetka zarysowała się na progu.

— Proszę pani — wyszeptła Teczka — samowar się gotuje, szynkę ułożyłam na talerzyku, zapaliłam lampę... czy mam ją wnieść do pokoju?

— Tak! tylko uważnie, ażebyś nam nagle w oczy nie zaświeciła. Biedak napłakał się tyle...

— Dobrze, proszę pani, postawię z tyłu, po za nim, na komodzie... Dobranoc państwu!

Wyszła tak cicho, jak zjawiła się. Tadeusz poczuł nagle rozrzewnienie w sercu i chwilę na drzwi patrzył. Jasna smuga światła padła przez szczelinę. Tadeusz schwyił rękę matki i pocałował.

— Dziękuję mateczce... — wyszeptał.

— Za co?

— Że mamcia taka dobra...

Lecz Wielohradzka, która miała sama lzy w oczach, zaczęła śmiać się z udaną dobroduszością.

— Co też ty gadasz? to mój obowiązek!

Weszli oboje do pokoju.

Zastali Radolę, stojącego przy stole.

Był straszny.

Blady, opuchły, z czarnymi pręgami fiksatuaru rozmazanymi na białej masce twarzy. Nie płakał już

lecz drżał cały, tuląc ręce ściśnięte w kułak do zapadłej piersi.

— Chciałem państwa pożegnać! — wymówił z wysiłkiem.

Lecz Wielohradzka zbliżyła się ku niemu i zawołała prawie ze śmiechem:

— Co też to pan mówi? zostanie pan u nas na herbacie... Będzie panu lżej, weselój. Tadzio, zajmij się panem... ja zakrzętnę się koło herbaty.

Bez oporu Radolt zajął znów swe dawne krzesło i siedział teraz w milczeniu, oczyma zażawionemi śledząc Wielohradzką, która ze zdwojoną żywością zastawiała stół i zapuszczała rolety.

W półświatle lampy trójkąt jego twarzy, przecięty ciemną linią zsiniałych warg, miał fatalny wygląd planującej w przestrzeni mary. Tadeusz mimowoli doznał uczucia nerwowego przestachu. Był-że to człowiek żyjący? był-że to widmo, bielejące w cieniu?

Lecz Wielohradzka wniosła samowar i nagle miedź zabłysła hypnotyzującym światelkiem. Błędne źrenice Radolta uparcie śledziły wyniosłą postać stariej kobiety. Poczem zaczęły powoli toczyć się wzdłuż otaczających go przedmiotów. Widocznem było, iż ta ofiara fatalizmu oddawna nie wiedziała czem jest gniazdo rodzinne. Dym kawiarniany zasłaniał jasność lampy, płonącej na bieli obrusa, po środku okrągłego stołu. I łopotanie wichru i śniegu po szybach, dobrze osłoniętych czysto wypranemi frankami, dobrze

zakitowanych i okrytych warstwą ciepłą mchu, nie obilo się dawno o jego uszy, pełne zgrzytu i świstu moralnej i materyalnej wichury.

Gdy pociągnięty przez Tadeusza zasiadł do stołu przed gorącą filiżanką herbaty i nasmarowaną kajzerką, nowy potok łez zalał mu lica. Wielohradzka, stawiająca w tej chwili czajnik na wierzchu samowara, delikatnie, ostrożnie położyła swą piękną rękę na pochylonej głowie literata.

— Powiedz pan wreszcie — wyrzekła z macierzyńską troskliwością — jak się to stało? co oni panu zrobili?...

Szybko odsunąwszy się od stołu, ujawnszy kolana splecionymi rękami, wśród łez i jęku skarży się Radolt, opowiada, przerywa, kryje twarz w zmoczoną szmatę chustki lub ociera oczy w brzeg obrusa.

W milczeniu, zeszywniali ze zgrozy, z oczyma utkwionemi w opowiadającego, Wielohradzka i Tadeusz słuchają.

.

I przed ich oczyma przesuwa się cała scena fatalna, potworna, wskrzeszana teraz prostemi słowy, bez przesady i kłamliwych wykrętów.

Więc—wejście Radolta do mieszkania Malewicza. Przywitanie się dwóch dawnych kolegów, z początku zimne i chłodne, i stopniowe topienie się tego chłodu pod wzrastającą dobroduszością Malewicza. *Professional lover* zaczyna wdawać się w dyskusję z Radoltem i nagle pyta:

— Dlaczego mówiłeś pan, że nowelka, którą wydrukowało pewne pismo, nie jest mojego pióra, lecz została kupiona przeze mnie od Podgórskiego?

Chwilę Radolt miesza się i nie umie znaleźć odpowiedzi. Jakkolwiek był przygotowany na to pytanie, na walkę słów, na szermierkę zdań, na wygłoszenie dość brutalnej tyrady, to przecież grzeczny ton Malewicza, jego wykwintne maniery i ten sposób mówienia nawpół ironiczny, a przecież uprzejmy, odrazu wysadzają z siodła bywalca knajp i drukarskich, pełnych zaduchu izb mieszkańca. Gdyby Malewicz doskoczył doń z gniewem, furią, rzucił się nań gwałtownie, bojko mistyczny, jakim był Radolt, odpowiedziałby mu w tym samym tonie i uchwyciłby ster całej sceny bez najmniejszej trudności. Lecz Malewicz pyta z niechcenia prawie, z grzecznym wyrzutem: „dlaczego mówiłeś pan”, i mówiąc to, ogląda swe ładne, błyszczące paznogie. Radolt błdzi wzrokiem po rozwieszonej na ścianie zbrojowni, po gobelinach, zakrywających drzwi, zatrzymuje się na wysmukłej statuetce, stojącej na środku stołu.

W pokoju tym pachnie elegancki mężczyzną i wytworna kobieta. Radolt, piorunujący na zbytki i salony, mimowoli mruży delikatnie powieki. Jakże się kłócić w takiej atmosferze? rzucać argumenty zebrane w dymie taniój knajpy w tę przestrzeń zapełnioną artystycznymi cackami?

Radolt jest esteta, wie dobrze, co jest harmonia i dlatego jedynie na zapytanie Malewicza odpo-

wiada zdławionym głosem, któremu usiłuje nadać cechy pewnej buty:

— Bo takie jest moje przekonanie!

W lustrze, oprawném w wążkie srebrne ramy, widzi swą trójkątną, zielonawą twarz, synonim nędy i wyniszczenia. Przez szerokość stołu ma przed sobą piękny, czysty, biały kark Malewicza i dostrze ga w skróceniu jego kształtny profil i ironii' pełne oczy. Mówić o „zanikającej i butwiejącej kaście” czy to możliwe?

Malewicz milczy i nagle, podniósłszy głowę, znajduje się naprzeciw Radolta. Chwilę w czarne, rozszerzone źrenice korektora zatapia swe stalowe, chłodne, marzące oczy. I szybko, jakby recytując wyuczoną rolę, zaczyna mówić o ciężkich warunkach literackiego zawodu, o niezliczonych przeszkodach, jakie muszą znajdować się na drodze każdego rozpoczynającego ten zawód człowieka. I powoli ożywia się, głos jego, nabiera pewnych cieplejszych odcieni, giesty robią się okrągłejsze, przyjaźniejsze.

Powstał nawet i chodzi teraz wzdłuż pokoju, zatrzymując się czasem przed siedzącym wciąż Radoltem. I tylko teraz unika spotkania się ze wzrokiem swego dawnego kolegi szkolnego.

— Jeżeli ja... — mówi — na pierwszym kroku mam trudności i zawody, cóż to musi być pomiędzy tymi, którzy piszą dla centa, dla wywalczenia sobie kawałka chleba... Prawda?

— Prawda! — przyświadcza Radolt.

Chęć klótni, rozprawy gorącej opuściła go zupełnie. Atmosfera piżma, którym napojono gobeliny, i ten zbytek, tworzący ciszę kołyszącą do snu moralnego, w szalony sposób zaczyna działać na rozstrojone nerwy literata. Zagłębił się w fotelu, lecz nogi ze zbyt długimi spodniami ukrył pod serwetą stołu. Na chwilę jeszcze budzi się w nim usypiająca energia, wtedy gdy Malewicz stawia przed nim pudełko cygar.

— Dziękuję!... — odpowiada sucho i sam dziwi się, jak to niegrzeczne odezwanie się, źle brzmi wśród ścian tego miękkiego gniazda.

Lecz Malewicz mówi dalej. Od czasu do czasu rzuca słowo francuskie, widocznym jest jednak, iż stara się mówić przeważnie po polsku. I pyta, z kąd ta nienawiść szalona, jaką żywią dzisiejsi zwłaszcza belletryści do wyższego świata, który przecież może dla nich więcej uczynić, niż cała szara większość pseudo-inteligencji?

— Gdybyście nas znali!... gdybyście nas przynajmniej znali!... — woła, wzruszając ironicznie ramionami.

— Jednakże... — protestuje Radolt.

— Co? — przerywa Malewicz — jednakże? Znaćcie nas? jak? gdzie? kiedy?... Widzicie nas zdaleka i tworzycie sobie najfalszywsze o nas pojęcie. Widząc mnie, naprzykład, dlatego, że mam *mo rtimery*

wiedeński szyk i jestem czysto umyty, nienawidzicie mnie... Pan sam mnie nienawidzisz: przyznaj się pan, prawda?

Oparł się o stół, uśmiechnięty blado, kokietujący na zimno, tak, jak to czynił z kobietami w chwili miłosnej ekstazy.

Radolt uczeplił się ramion fotela i powtórzył z rozpaczliwym uporem:

— Nie!... Dlaczego miałbym pana nienawidzić? ale... takie jest moje przekonanie...

— A moje przekonanie jest, że pan jesteś nieszczęśliwy i wyjątkowo zdolny człowiek. Zawsze mnie pan interesowałeś... Nawet jeszcze w szkołach troszczyłem się o pana... potem znikłeś mi pan z oczu; dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, że dać się zmarnować panu, to rzecz zła i karygodna...

Radolt otworzył szeroko oczy. Ktoś nim się zajmował? troszczył się o niego? uznawał go za człowieka talentu?... Jasność zalała mu mózg, a gorąco rozsadzało piersi. Powstał z krzesła.

— Gdybym się też panem zajął, dźwignął pana, wysłał za granicę? ha? co? — pytał dobrodusznie Malewicz — cobyś pan na to powiedział?...

Po czole Radolta płynął pot. Cała jego moralna istota w tej jednej chwili przebiegła Kalwaryę przeżytych nędz i agonii. Opierając się o stół, wybełkotał:

— O... panie hrabio...

Malewicz odstąpił od niego kilka kroków i głos podniósł, wymawiając dobitnie każde słowo:

— Czy i wtedy jeszcze mówiłbyś pan, że Malewicz jest próżniak i skupuje gotowe nowelki do umieszczania pod swoim nazwiskiem?

Radolt, w ekstazie wyzwalającego się z więzów ptaka, odparł:

— O, panie hrabio!... ja byłbym ci wdzięczny całe życie!...

Malewicz w ręce klasnął.

I nagle z fałd gobelinów wystąpili czterej mężczyźni: Pozbitowski, Charlupko, Bodocki i młody Orzecki. Stanęli milcząc w czterech rogach salonu.

Przez purpurowe zasłony okien światło koralowe opływało twarz trupa Radolta, który, nie rozumiejąc jeszcze o co idzie, mimowoli, niezgrabnie kłaniał się tym ludziom.

— Biorę panów za świadków... — wyrzekł wolno i dobitnie Malewicz — iż ten pan miał ochotę uczynić ze mnie ofiarę *szantażu!*

.

Gdy Radolt skończył, oboje Wielohradzcy siedzieli, milcząc, jakby nagle groza zamroziła im na ustach słowa.

Lecz Radolt zaczął znów jęczeć i skarżyć się boleśnie:

— Boże mój!... — płakał — jutro ta cała historia rozejdzie się po Lwowie... Jestem zgubiony... Wszystkie pozory są przeciw mnie.. A! a! jak oni to zręcznie urządzili.. jak oni mnie podeszli... o!.. jak ja cierpię!...

Tarzał głowę po krawędzi stołu smutnym ruchem rozpaczającego chłopca. Nareszcie oba łokcie położył na stole i lamentował głośno, zawodził, jakby nad nim, nie miastowy sufit, ale strzecha chałupy krzyk jego żaloszny tłumila.

— A tom dobrze wyszedł... wdałem się z panami, i oto co ze mnie zrobili!.. A dobrze mi tak!.. Po co między nich lażłem! . Po co się dałem złapać na ich piękne słówka!.. Przyjacieli!.. interesował się mną!.. Och!.. co oni zamiast serc mają... pustkę?.. co oni zamiast serc mają?

I nagle porwał się z miejsca Tadeusz i zaczął szybko biegać po pokoju. Ogarnęło go szalone wzruszenie. Lecz nie pochodziło ono jedynie z żalu nad Radoltem, lecz i z téj budzącej się w nim, a na pozór uszpionej rozpaczy, jaką przeszedł sam niedawno z powodu zdrady Muszki. Jęk Radolta odbijał się w jego piersi zdwojoném echem. Zdawało mu się, że to on sam wyrzuca z głębi siebie te słowa.

— Po co pomiędzy nich lażłem? oto, co ze mną zrobili! dlaczego im zaufałem?

Ten drugi, blady, podobny do widma, skapanego w mgłę łez, to było tylko odlączenie się cząstki jego

własnego bólu i skryształizowanie się w pewną formę. Z szaloną egzaltacją wybuchnęły w nim wszystkie zasklepione rany i bóle. Nie mógł dłużej wytrwać w milczeniu. Zapragnął *sam* się żalić, nie przez usta Radolta. Zgrzytając zębami, na zapytanie: *co mają zamiast serca?* — rzucił głosem, w którym szemrało całe morze goryczy:

— Co? zamiast serca?.. Końską podkowę! bożka elegancyi! psa do polowania na dziki!.. *que sais-jel...*

Wielohradzka pragnęła uspokoić go giestem i słowy.

— Ależ, Tadziu!..

Lecz on przerwał jój szybko:

— Nie! nie!.. sama matuś widzi, co z *nas* ten piękny mamin świat zrobił!..

Nie płakał wszakże, tylko trząsł się cały, a oczy mu nagle pociemniały i zdawały się cofać w głąb głowy. Szerokim giestem ukazał na Radolta i uderzył się w piersi.

— O!.. niech mamcia patrzy!.. tak wygląda każdy, co się do nich zbliży! To są dzieła tych panów i pań!.. Uciekać! uciekać od nich na kraj świata!.. jak od morowój zarazy!..

Wielohradzka powstała z miejsca, oczy miała łez pełne.

— Mój Tadziu! proszę cię!.. błagam!.. uspokój się!..

Lecz on biegał wciąż po pokoju z głową podaną naprzód, roztrzucając meble, uderzając się o kanty krzesel.

— Nie!.. nie!.. nie mogę być spokojny... ja nigdy już spokojny nie będę... Zanadto przecierpiałem, ażebym mógł odzyskać spokój... a! nędznicy!

Teraz jego głos tłumił łkanie Radolta.

Egoizm jego brał górę nawet w chwili bólu i przytłaczał sobą wszystkie inne cierpienia.

Nagły łoskot powrócił go do równowagi.

Radolt, wyczerpany, osunął się zemdłony na ziemię.

.

Noc.

W pokoju Tadeusza pali się wstawiona w miszkę z wodą świeca.

Na łóżku leży Radolt rozebrany, okryty kołdrą, majaczący i skarżący się ciągle niewyraźnymi słowy.

Wielohradzka ostrożnie, delikatnie, przytrzymując jedną ręką szumiące fale jedwabnych podszevek, drugą zmienia na głowie literata leżący kompres.

Poczem szybko, cicho oddała się, przymykając lekko drzwi.

W pierwszym pokoju pali się lampa i koło zasłanej prześcieradłami sofy kręci się ubrany jeszcze

Tadeusz. Na pozór spokojny, ma jednak w zaciśnięciu warg nerwowy rozstrój i ból stłumiony.

Wielohradzka podchodzi do sofy i układa poduszki.

— Będziesz źle spał!.. — szepce, zwracając się w stronę syna.

Tadeusz macha ręką.

— Co tam!.. — odpowiada — gdybym był spokojny moralnie, przespałbym się doskonale na podłodze... Ale tak!

Wielohradzka siada na fotelu i przyciąga do siebie syna, patrzy w jego twarz ze smutkiem i niepokojem.

— Dlaczego ty ciągle myślisz o *tém?* — pyta.— To już minęło, stało się. Karta odwrócona, krzyż położony! Taka widać była wola Boska.

— Mama posiada chwalebłą rezygnację; ja jej nie mam.

— Moje dziecko! rezygnacya toć wynik konieczności. Co ci pomoże szarpać się i rzucać pioruny na... tych ludzi? Przedewszystkiém, ubliżając im, ubliżasz samemu sobie, ponieważ bądź co bądź... rodem do nich należysz. Ten biedny chłopak złorzeczy na... *dwór*, taka to już kolój i konieczność — ale ty, Tadeu? prawdziwie nie rozumiem chwilami, jak możesz tak zapominać o własnym swém pochodzeniu, o własnej swój godności!..

Prostowała się, odzyskiwała znów całą dystynkcyę wielkiej damy, lecz Tadeusz smutnym giestem przeciął jój dalsze słowa.

— E! proszę mamy... — wyrzekł, siadając na brzegu sofy — to są wszystkie piękne słowa... a rezultaty są inne i ciężkie do przebycia. Ja wiem jedno: mam dosyć bywania w wielkim świecie i pragnę odsunąć się jeszcze więcej.

— Dlaczego wszystkich tych ludzi podciągasz pod jedno miano? Pomiędzy nimi są ludzie wielkiej zacności i nadzwyczajnych zalet...

— Być może! ja jednak poznawać ich nie pragnę. Dosyć mi tego, co przeszedłem i...

Ujął rękę matki i dokończył:

— I co mamcia przeszła...

Oczy Wielohradzkiej zaszkliły się łzami. Po raz pierwszy Tadeusz, zamiast czynienia jój gorzkich wymówek, wspomniął o jój cierpieniu. Probowala jednak protestować.

— O... ja... — wyrzekła — ja w tój sprawie się nie liczę. To ty, moje biedne dziecko, ty przeszedłeś wiele...

Tadeusz, po dawnemu, osunął głowę na kolana matki.

— Tak... matucho!.. oboje przeszlimy smutne chwile. Ale niechże się to nie powtórzy... Odsunę się jeszcze więcej od nich... skończyły się prowadzenia kotylionów i wodzirejostwo! Niech im tam aranżuje

tańce kto chce... Ja mam dosyć... wolę siedzieć w domu.

Wielohradzka westchnęła. Serdeczna radość ogarnęła ją, gdy czuła znów głowę syna pokorną i łagodną, tulącą się do niej z ufnością, lecz troska o „karyerę” dławiła ją ciągle jak zmora.

— Czy to nam źle tak razem?.. — szeptał Tadeusz — będą mamci czytał w zimowe wieczory gazety, książki... Teczia nam zrobi herbaty... Panie będziecie szyły... Nie, daję słowo, takie ciche życie może mieć wiele uroku: zobaczy mama!

Wielohradzka smutnym wzrokiem spojrzała dookoła.

Ten biedny i czysty pokój wydawał się jęj w tęg chwili grobem, w którym Tadeusz dobrowolnie chciał się zagrzebać.

— I wie mama... — ciągnął dalej Tadeusz — ja, im więcej się zastanawiam, tęg więcej dochodzę do przekonania, że Teczia byłaby dla mnie doskonałą żoną, a dla mamy wyborną synową.

Ujął rękę matki i podłożył sobie pod głowę.

— Niech się mamcia nie gniewa... nie unosi... nie sprzeciwia. Ile razy mamcia mówiła, że kobieta powinna być cichą, łagodną, skromną! To są wyrazy mamy. Czy Teczia nie jest właśnie taką cichą, łagodną kobietą?..

— Tak! ale czy ta partya dla ciebie?

Tadeusz uśmiechnął się z ironią.

— Mamciu!.. najlepiej o „partyach” nie wspominać. Nie udają się nam owe „partye”; wiemy coś o tém...

I nagle wpadł w rozdrażnienie, porwał się od kolan matki i, siedząc na ziemi, zaczął się bić rękoma po głowie.

— Czego mamcia mi przypomina te brudy? czego?..

Wielohradzka przerażona pochwyciła go za rękę.

— Tadziu!.. co robisz? głowa cię rozboli!.. ja ci nic nie przypominam... Więc myślisz, że Tecia...

Aby go uspokoić, chwyciła się imienia Teci; lecz Tadeusz, wciąż rozdrażniony, mówił teraz szybko, urywanemi zdaniem, połykając słowa:

— Partya... to była partya... ta kokietka, ta bourgetowska panna... ze swym posagiem i z psianią... Partya!.. która wpędziła ich w długi.

I nagle zwrócił się ku matce.

— Ileż mamcia ma długów?

Nie mówił: ile „my” mamy długów, lecz: ileż mamcia, tak już przywykł wszystkie ciężary materialne spędzać na plecy matki.

— Co ci do tego! — Westchnęła Wielohradzka.

Lecz on uparcie nalegał, drapiąc nerwowo podłogę paznociami.

— Nie! nie!.. muszę wiedzieć! chcę wiedzieć, ile też mamcię ta stosowna dla mnie partya kosztowała...

— Och!.. proszę cię, nie mówmy o tém...

— Owszem, mówmy. To przecież jeszcze jedno dobrodziejstwo ze strony tych... państwa...

I wśród tej nocnej ciszy z ust Wielohradzkiej zaczęły padać drobne cyfry, nie nie znaczące wobec milionów poruszanych przez ręce ludzkości, lecz dzwoniące uparcie w ciasnej klatce skromnego mieszkania. Tyle Zimermanowi... tyle... I za każdą cyfrą twarz Wielohradzkiej przeciągała się, rysy ostrzały w świetle lampy. Tak! tak!.. tyle pieniędzy!.. piętnasty procent i wypłata na raty...

Tadeusz słuchał, lecz cyfry te nie przerażały go.

Kilkaset guldenów!... Pokręcił głową. Słyszał często Pozbitowskiego, Malewicza wyliczających cyfry swych długów. Była to inna litania, z tysiącami. Lekko więc porwał się z z ziemi i, ukląkłszy znów przy kolanach matki, śmiać się zaczął.

— El!.. nie takie to znów miliardy!.. — mówił prawie wesolo. — Całą zimę siedzieć będę w domu i wezmę się do przepisywania ról, skoro egzemplarzy teatralnych przepisywać nie mogę. Mamcia mi to wyszpera, tylko ostrożnie... Zobaczmy mamus, Tadzio też dopomoże do spłacenia długów, ożeni się z Tecią i będzie z wodzireja — ojcem rodziny!

Wielohradzka uśmiechnęła się blado i, pragnąc do reszty wprowadzić syna w dobry humor, odparła:

— Ha!... to widzę iż trzeba mi rozmówić się z Pikniewiczową. Niech oddadzą pieścionek panu Jan czewskiemu...

Lecz teraz Tadzio porwał się, jakby sparzony ukropem:

— Nie!.. nie!.. niech mamcia jeszcze oficjalnie nie występuje... Mamy czas...

Wielohradzka, uszczęśliwiona z tego braku stanowczości, przyświadczyła:

— Tak!.. tak!.. mamy dosyć czasu... Staraj się dobrze wybadać swe serce... Tecia także...

Tadeusz całował kolejno palce Wielohradzkiej z dziecinną, ładną pieśczołą.

— O jedno mamcią proszę... niech tylko mamcia nigdy nie nalega na mnie, ażebym powrócił pomiędzy „tych ludzi“ i kotyliony i prowadził. Nie mam ochoty wpaść kiedy w taką zasadzkę, w jaką wpadł ten biedny Radolt...

— Och!.. — zaprotestowała Wielohradzka — tobie nigdy coś podobnego wydarzyć się nie może.

Wielohradzki głową kiwał.

— Kto to wie... z nimi nie można być bezpiecznym i spokojnym.

Przez pokój, jak niewidzialny nietoperz, przesunął się cichy jęk Radolta.

Wielohradzka przytuliła do siebie syna, jakby chroniąc go od powiewu téj skargi.

— To... on z chłopów? — spytała szeptem.

— Tak!...

— To nic dziwnego, że tak niewytrzymały na moralne cierpienie. Fizyczne zniesie łatwiej... widziałam to nieraz na wsi...

I znów przez pokój przebiegł jęk, jakby zawo-

dzenie baby nad zgłodniałą na przednówku „gazdziną”.

Nazajutrz rano Tadeusz wszedł do biura ze stałym postanowieniem poróżnienia się z Malewiczem.

Radolt leżał bezprzytomny, i wezwany doktor zapisał długą litanie lekarstw i okłady z lodu na wierzch głowy.

Tadeusz spał źle, sofa miała zepsute sprężyny, rano—nie mógł umyć się w swym pokoju, przytém musiał biedz po doktora, do apteki. Wszystko to wprawilo go w jaknajgorsze usposobienie. Pragnął więc na Malewiczu pomścić, nie jego postępek z Radoltem, ale swoje niewyspanie i utrudzenie.

Usiadł przed biurkiem z hałasem i natychmiast kopnął nogą kosz pełen papierów, który się znajdował obok krzesła.

Malewicz siedział już przy swém biurku i podniósł głowę z nad książki, którą czytał. Zobaczywszy Tadeusza, głośno i wesoło zawołał:

— Jak się masz!.. dobrze, żeś przyszedł.

• Wielohradzki mimowoli skinął głową i zaciął usta.

Malewicz powstał z miejsca i szybko ku niemu podszedł.

— Wiesz, co się stało? — zapytał — ten infamis Radolt chciał urządzić szantaż... Należy, ażebyś

wiedział, jak się rzecz miała, gdyż przed tobą właśnie ten pan ośmielił się oskarżać mnie o kradzież literacką...

Zbliżył się zupełnie do Tadeusza, wytworny, grzeczny, uprzejmy, błyskający białą ślicznych zębów — pan w każdym calu — starający się podbić swym wdziękiem i zjednać sobie teraz jaknajwiększą ilość przyjaciół.

Chodziło mu bardzo o Tadeusza. Znał jego wadę plotkarską, wiedział, że Wielohradzki może być najlepszym kolporterem tej całej sprawy. Zwłaszcza pomiędzy ludźmi, z którymi żył Radolt, Tadeusz mógł opowiedzieć historię szantażu tak, jak ją chciał mieć opowiedzianą Malewicz, a hrabicz-autor pragnął zjednać sobie zarówno plebs jak i całą wyższą sferę towarzystwa lwowskiego. Powoli nabierał coraz więcej autorskiej pretensyi i chciał, aby rehabilitacya była głośna i szybka. Sprytem swym odgadł wewnętrzne usposobienie Tadeusza. Pochylił się ku niemu i ujął go delikatnie pod ramię.

— Chodź! — wyrzekł uprzejmie — opowiem ci tę całą scenę...

Wielohradzki, ociągając się, powstał. Nie chciał być nadto brutalnym. Czuł rękę Malewicza przyjacielsko obejmującą jego ramię. Ręka ta była niezmiernie giętka, ale silna jak stal.

Zaczęli obaj chodzić po brzegach dywanika, przecinającego szarą linię posadzkę pokoju.

Malewicz półgłosem opowiadał scenę, którą miał z Radoltem. Eskamotował zresztą niektóre szczegóły. Powtarzał ciągle: *entre nous* i powiększał swą serdeczność względem Tadeusza.

Ten ostatni, z początku nadęty i kwaśny, powoli stawał się niezdecydowanym i miękł w téj niepewności, jaką go ogarniać zaczynała.

Zapewne—nauka, jaką Radolt odebrał, była ciężka, lecz czy nie zasłużył na nią, rozgłaszając ową potwarz, tak ubliżającą Malewiczowi? Posądzić autora o podpisanie się pod cudzém dziełem było to samo, co uczynić go złodziejem. Malewicz z bocznej kieszeni żakietu wydobyl manuskrypt nowelli, brulion pokreślony i mozolnie widocznie pisany. Podsuwał go pod oczy Tadeuszowi. Wielohradzki przyznał, iż było to pismo Malewicza. I natychmiast hrabia pochwycił go tryumfalnie za rękę, wołając:

— *Tu vois!.. tu vois!...*

Tadeusz zaczął protestować. Wszakże on nigdy nie wątpił w prawdziwość słów Malewicza. Wiedział dobrze, iż nowellę pisał hrabia, a nie Podgórski. I na zapytanie Malewicza, czy widział Radolta, odparł wymijająco:

— Tak... krótką chwilę...

Malewicz nie puszczał ręki Wielohradzkiego.

— Przypuszczam... — wyrzekł — iż teraz chyba przestaniesz znać się z tym człowiekiem. Żaden

z nas mu ręki nie poda... Nie sędzę, ażebyś chciał się wyróżnić.

Tadeusz dwuznacznie wzruszył ramionami, lecz Malewicz nalegał gorąco.

— Teraz powinniśmy trzymać się wszyscy razem i nie dać temu proletaryatowi literackiemu zjeść nas swemi potwarzami i szantażami. *N'est-ce pas?*...

I Tadeusz, patrząc w ziemię, odparł:

— *Certainement!*

Malewicz uściskał go kilkakrotnie za rękę i tryumfująco zabrał swój brulion, który rozłożył na sofie.

— Pójdę teraz do Kafthana... pokażę mu manuskrypt i opowiem rzecz całą.

Wyszedł.

Tadeusz powrócił do biurka zły i osowiały. Rad był, że nikt go nie widział spacerującego pod rękę z Malewiczem. Przypomniał sobie nocną rozmowę z matką, postanowienie unikania tych ludzi. W głębi jego duszy tkwiło jeszcze przekonanie, że Malewicz postąpił źle, lecz już z drugiej strony Radolt powoli tracił swą rolę ofiary. Malewicz miał rację mścić się za rozsiewanie nieuzasadnionej potwarzy. Zdrowy, tryumfujący, czysto ubrany i grzeczny hrabia przeważał szalę sympatyj na swą stronę.

Impulsywność bowiem Wielohradzkiego oparta była jedynie na materialnych wrażeniach. Zmysły rozstrzygały o jego sympatyach i antypatyach.

Śluch, wzrok, węch... Estetyka jego była banalną estetyką Lemkego. To i to było piękne, tamto zaś — brzydkie. Nie widział nigdy tragicznego piękna w szpetocie. Wymuskanie linii i gładkość płaszczyzny podobała mu się przedewszystkiém. Chromolitografie miały dla niego wdzięk nadzwyczajny. Stanąwszy przed płótnami Van Gogha, odwróciłby się od nich ze wstrętem. Radolta jęk i twarz upiora, pobladłego od wewnętrznej walki z marą porządku społecznego, wydawała mu się brzydką w porównaniu z prześliczną cerą Malewicza. Nieporządek i nieład, jaki obecność Radolta sprawiła w jego pokoju, dopełniały wrażenia.

Wróciwszy do domu, zastał matkę i Tecię przeżalone nowym atakiem spazmatycznego płaczu, z jakim przebudził się Radolt z półsnu, w którym był pogrążony. Doktor miał powrócić nad wieczorem. Trzeba było iść znów do apteki. Słowem, nie mówiono o nikim i niczém, tylko o Radolcie. Tadeusz uczuł się usuniętym na plan drugi. Ogarnęła go zazdrość, którą chciał jednak pokonać. Z kwaśną miną wszedł do swego pokoju i zbliżył się do chorego. Radolt nie spał. Odziany w nocną koszulę Tadeusza, przystrojona małoskórskim haftem, na białém tle poszewki robił wrażenie trupa.

— Wyciągnął rękę, którą Tadeusz uściskał.

— Byłeś na mieście? — zapytał chrapliwym głosem — cóż mówią?...

Tadeusz ramionami wzruszył.

— Nic nie mówią! — odparł wymijająco.

— Widziałeś tego... człowieka?

— Kogo?

— Pana hrabiego.

— Nie... nie widziałem...

— A!... nie przyszedł do biura?

— Nie.

Radolt uniósł się na łóżku i oczy szeroko otworzył.

— Dlaczego?... czy nie może strawić swego tryumfu? czy wstydzi się tego, co uczynił?

Głowa mu opadła na poduszki.

— Ja na jego miejscu wstydzilibym się bardzo... — dokończył gasnącym głosem.

Tadeusz kręcił się koło półeczek i przekładał książki. Postanowił milczeć i nie przyznawać racji ani jednej, ani drugiej stronie. Neutralność wydawała mu się najwygodniejszą do zajęcia pozycją. Zaduch, panujący w pokoju, dławił go. Wziął z toaletki wodę kolońską i nacierał sobie skronie. Poczém buteleczkę schował w kieszeń kurtki. Teraz szukał pod łóżkiem pantofli.

— Pozwolisz, że się przebiorę? — zapytał z kurtuazyą wielkiego pana.

Radolt śledził jego ruchy smutnemi oczyma.

— Czy nie jesteś u siebie? — zapytał wreszcie półgłosem.

Milczeli obaj, czując, że nici sztucznej sympatii, jaką okoliczności związały pomiędzy nimi, rwać się zaczynały kolejno. — Przeze drzwi wsunęła się głowa Wielohradzkiej.

— Nie śpi pan? — zapytała stara kobieta — dam panu filiżankę bulionu.

Radolt porwał się i chciał protestować.

— Cyt!.. — przerwała mu Wielohradzka — kto to widział starszych nie słuchać! Wypije pan Franciszek bulion, zje kawałek kury... Siły powrócą, a z nimi ochota do życia...

Zniknęła we drzwiach, i za chwilę słychać było szczęk porcelany i szkła w ciemnej głębi kuchenki.

Z oczu Radolta zaczęły płynąć dwie strugi łez.

— Twoja matka... to święta... — wyrzekł, ocierając oczy po chłopsku, rękawem koszuli.

Tadeusz milczał. Nawet ta pochwała matki podnieciła jego zazdrość. Do tej chwili żył wyłącznie sam w myślach i czynach swjej matki. Teraz ten drugi zabiera mu część macierzyńskiej opieki.

Korzystając z wejścia matki, która wniosła bulion na tacy cynowej, pokrytej serwetą, Tadeusz wyszedł do pierwszego pokoju.

Zastał w nim Tecię, przesypującą liście pomarańczowe z jednej torebki w drugą.

— Co Tecia robi? — zapytał z pewną suchością w głosie.

— Oczyszczam liście pomarańczowe... w aptece tak niedbale je utrzymują...

— A!.. czy to dla mnie ta troskliwość ze strony Teci?

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

— Cóż znowu! przecież pan, dzięki Bogu, zdrow i nie potrzebuje uspokajać swoich nerwów. To dla tego biedaka... Żeby pan wiedział, jak on dziś rano płakał, to się serce krajało...

Tadeuszowi zaczęły się trząść ze złości wargi.

— Ja także nieraz płakałem... — wyrzekł z goryczą — a pannie Teci nawet na myśl nie przyszło gotować mi ziółka na uspokojenie nerwów...

Tecia spojrzała na niego zdziwiona.

— Ile razy pan był smutny, tyle razy i ja byłam bardzo smutna... — odparła z prostotą — nie mogłam pana pocieszać, bo... wtedy... pan mnie od siebie odsunął... Nie śmiałam... Ale przecież, skoro pan tylko się do mnie zwrócił, ja zaraz przyszedłam...

— Ta! ta! ta!.. — zaśmiał się ironicznie Tadeusz — wszystkie kobiety jesteście te same! Nowe sitko na kołku!.. *C'est du propre!*.. Winszuję gustu!..

Zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami. Trzymał ręce w kieszeniach kurtki i zaciskał tak pięści, że aż paznogie mu w dłoń weszły.

— Z tém wszystkiém widzę... — zaczął znowu — widzę, iż jestem tu zbyt czyny. Obie panie nie macie czasu zająć się mną i dać mi chociażby szklanek her-

baty!.. Uciekam!.. Tecia powie mamie, że idę do cukierni na herbatę... Panie tymczasem uspokójcie nerwy tego pana...

Na swą domową kurtkę wsunął palto letnie i porwał kapelusz.

— Żegnam panią! — wyrzekł z ceremonialnym ukłonem — *adieu!*..

Wyszedł, stawiając nogi jak indyk, nadęty i napuszony.

W tej samej chwili Wielohradzka wyszła z pokoju Radolta, niosąc próżny talerz i kawałki bułki.

— Co to? Tadzio wychodzi?

— Tak, proszę pani! — odparła półgłosem Teczia. — Pan Tadeusz powiedział, że idzie do cukierni na herbatę...

— Dlaczego?..

— Ja nie wiem, proszę pani!...

Wielohradzka spojrzała podejrzliwie na młodą dziewczynę.

Przypuszczała, iż pomiędzy Tadeuszem i Tecią zaszła jakaś scena miłosna. Daleką bowiem była od przypuszczenia, iż Tadeusz dławił się w tej chwili śmiesznem i dziecinnem uczuciem zazdrości.

Tadeusz pierwszy podsunął Radoltowi myśl wyjazdu na wieś.

— Dobrze zrobisz, wyjeżdżając ze Lwowa... o! na czas jakiś! — wyrzekł, zatrzymując się przed fotelem, na którym siedział teraz Radolt owinięty w pled, drżący i zziębły, pomimo szafiru i złota panującego w przestrzeni.

Radolt potrząsnął głową.

— Nie mogę... nie mam pieniędzy... Zresztą jutro mam już zamiar wyjść. Pójdę do redakcyi... nie wiem, kto mnie tam w korekcie zastąpił... muszę powrócić na dawne stanowisko.

Tadeusz spotkał rano Dolińskiego, który uwiadomił go o postanowieniu redaktora: odprawienia Radolta, jeżeli zjawi się w redakcyi, i odebrania mu miejsca korektora.

— Uważasz pan!...—mówił satyryk—tak się Radolcisko zabrało tym szantażem, że redaktor o nim słyszeć nie chce. Ja go tam bronilem, bo to dyabli wiedzą, jak było. Ta-że z takimi kibicami, jak te hrabiowie, co to mądre szelmy za ręce się trzymają, niewiadomo nigdy, co to jest prawda, a co nie. Chciałem nawet satyrę napisać o téj historii, ale mi ją mój redaktor też obciął i nie pozwolił...

I kiwając głową dokończył:

— Według mnie Radolcisko przepadł... i nie ma co ludziom się na oczy pokazywać!

Toż samo myślał i Tadeusz. W głębi duszy lękał się jeszcze, aby Radolt nie doszedł prawdy i nie

dowiedział się, że to on właśnie był przyczyną téj sprawy. Kilkakrotnie bowiem Radolt wyrzekł:

— Gdybym choć wiedział, kto mu moje słowa powtórzył...

— Cóżbyś mu zrobił? — zapytał Tadeusz, nadrabiając fantazyą.

— Uszy-był mu obciął...

Radolt bowiem pragnął teraz koniecznie jakiegoś zemsty, jakiegoś głośnego czynu odwagi, który mógłby go odrazu zrehabilitować i sympatyę ludzką zwrócić w jego stronę. Marzył o spoliczkowaniu Malewicza w teatrze lub na ulicy. Czuł jednak, iż na to nie stanie mu odwagi. Dręczył się więc, bił z własnymi myślami, w jednej chwili przeżywał tysiące chwil własnego życia.

Tadeusz, znudzony, zmęczony, wstał i, wyszedłszy do drugiego pokoju, do matki się zbliżył.

— Niech mamcia mu radzi, aby na wieś do rodziców sobie pojechał... — wyszeptał, pochylając się nad siedzącą przy oknie Wielohradzką.

Stara kobieta złożyła trzymaną w rękę robotę.

— Co też ty mówisz!... — wyrzekła półgłosem.— On nie ma siły, nie zniesie podróży... niech się biedak jeszcze trochę wzmocni...

Tadeusz brwi zmarszczył.

— Owszem... Radolt jest dość silny, a świeże powietrze zrobi mu dużo dobrego... Ja mamcią pro-

szę, niech mameczka go dłużej nie zatrzymuje u nas. Ludzie nareszcie się domyślą i... jeszcze gotowi pomysleć... że... byliśmy z Radoltem w zмовіе.

Wielohradzka powstała przerażona:

— Co też ty mówisz, Tadziu!.. co też ty mówisz?!..

— Och!.. — odparł niedbale Tadeusz. — Mameczka nie zna ludzi i nie wie, do czego oni są zdolni: pojmuje mamcia, jak taka rzecz może mi zaszkodzić i zepsuć karierę!..

Rzucił ten ostatni wyraz prawie tryumfująco, wiedząc, iż matka nie zdoła się oprzeć podobnemu argumentowi.

I w gruncie rzeczy wierzył w to, co mówił. Owo zniknięcie Radolta dziwiło wszystkich. Lwów wrzał od plotek i przypuszczeń. Jedni sądzili, iż Radolt utopił się ze wstydu, inni przypuszczali, iż go zaaresztowano. Cała spleśniała bezsenność małego miasteczka objawiła się teraz w błyszczącej zuchwałości.

I tylko Malewicz tryumfował teraz w apoteozie swego zwycięstwa, pokazując się wszędzie, na spacerach, w teatrze. Mieszczanstwo śledziło z zacięciem wyraz jego twarzy. Pokazywano go sobie, szepcząc „to ten.” I wielka jego uroda, szyk, nieposzlakowany krój odzieży, ładne maniery, a zwłaszcza imponująca pewność siebie, pociągały tłum, tak, jak pociągnęły Tadeusza. Gdy pewnego wieczora w dzienniku ukazała się znów nowelka jego pióra pod tytulem „Sonata księżycy“, przyjęto ją z sym-

patyczném uznaniem. Stanowczo, Radolt był pobity i pogrzebany. Nikt go nie bronił, bo nawet jego knajpowi przyjaciele zamilkli. I zaczęto sądzić jego postępek coraz surowiej, coraz ostrzej. Owo zniknięcie było najlepszym dowodem jego winy. Nikt nie stał teraz po stronie człowieka, który chodził po ziemi bez skarpetek, kryjąc swe bosc nogi w podarte obuwie.

VI.

Wszystkie piękne postanowienia Tadeusza rozwiązywały się w puch.

Nie biega wprawdzie z wieczoru na wieczór, rzekł się zupełnie stanowiska wodzireja, lecz nie czyta owych gazet wieczorami, przy lampie, tak, jak to matce obiecywał.

Z nadejściem zimy ogarnia go anemia, a z nią silne bóle newralgiczne całej lewej połowy twarzy. Bierze ciągle antypirynę, która pogrąża go w lekki stan ekstazy. Pomimo starań matki nie chce odzywać się należycie, grymasząc ciągle, jak panna na wydaniu. Je tylko pieczone jabłka i sery rozmaite. Godzinami całemi leży nieruchomy na łóżku, wpatrując się w sufit. Jakaś głucha uraza i chęć ujawniania owój urazy nurtuje go bezustannie. W biurze zamyka oczy i pochyla się na sofę, znudzony i rozmarzony gorącym, jakie w całym gmachu panuje. Jak przez sen słyszy szmer głosów Pozbitow-

skiego, Malewicza, Bodockiego, opowiadających o nowej śpiewacze operetkowej, którą sprowadzono z Warszawy. Słowa ich dobiegają uszu jego, jakby z po za jedwabnej zasłony. Gdy później przywlecze się do domu i, zjadłszy obiad, ułoży się ubrany na łóżku, głosy kolegów biurowych brzęczą delikatnie dookoła jego twarzy. Przestał zajmować się Tecią i tylko czasem, gdy matki niema w domu, przyciąga ku sobie splecioną dziewczynę i przysuwa swą twarz do jej twarzy. Siedzi tak długo, nieruchomy, zapatrzony w przestrzeń, a Tecia blednie i czerwienieje, nie mogąc sobie wytłómaczyć téj przemiany.

Wielohradzka kilkakrotnie prosiła go o udanie się do lekarza, lecz on kiwał ręką niedbale, mówiąc:

— Po co?

I z uporem histerycznej kobiety akcentuje wszystkie objawy swój anemii i newralgii, tak, jakby widok chorego Radolta podziałał nań i poddał mu chęć naśladownictwa.

Z początku było tak rzeczywiście, lecz powoli zniechęcenie i spleen ogarnął go w szalony sposób. To ciche życie, które zdawało mu się możliwem, a nawet pożądanem, obecnie dławilo go i męczyło fatalnie. Nie miał jednak siły ani chęci powrócić do dawnego chaosu. Gdy przypomniał sobie gwar, hałas i światło salonów, mimowoli cofał się i mrużył oczy. I tak, niepewny, wahający się, zmęczony i niechętny

włókł się teraz przez życie, nie mając ochoty nawet jeść dla podtrzymania egzystencji.

— To nie życie... to wegetacya — mówił sam do siebie, wzruszając ramionami.

Tymczasem Wielohradzka z bohaterstwem walczyła z powodzią długów. Spłacała raty z najwyższym wysiłkiem, lecz zaległa za komorne i w sklepie, w którym brała podszewki i tak zwane „dodatki“, dług jój rósł z przerażającą szybkością. Teczka pracowała dniami i nocami, dźwigając prawie na własnych barkach cały ciężar roboty. Obie kobiety schudły, zbladły, nie dosypiając nocami, wstając równo ze świtem. I w tém zbliżeniu się w pracy, zbliżały się powoli ich serca i dusze. Dopomagając sobie wzajemnie, walcząc ze zморą snu przy świetle lampy, zanurzały się bezwiednie w atmosferę wzajemnego przywiązania i ufności. Teczka oddawna czuła się już niewolnicą serdeczną matki Tadeusza; lecz, nieśmiała i cicha, lękała się objawów swego przywiązania. Zaprzedała się tylko w niewolę pracy i wynikami jój chciała dowieść tego, co w głębi serca czuła. Wielohradzka zaś, od chwili pobytu Radolta, poznawszy brak egoizmu i serdeczność nędzarza, mimowoli część téj sympatyi, jaką w niej obudził korektor, przeniosła na Teczka. Znalazła w niej bowiem tę samą wygórowaną wrażliwość, dobroć i wdzięczność. Wśród walk materyalnych, trosk powszednich, jakie przechodziła, zapragnęła

teraz jakiej stałej, pocziwój, dziecięcój miłości, którój od Tadeusza spodziewać się nie mogła. I patrząc na tę głowę dziewczęcą, schyloną nad robotą z taką energią, z taką siłą, wytrwałością i zaparciem się siebie, Wielohradzka czuła, iż serce jój taje, i że ta dziewczyna, która może nie była „partya“ dla jój syna, jest „partya“ dla jój zmęczonego i żadnego przywiązania serca.

Całowała teraz Tecię w głowę na dobranoc i żegnała ją tak, jak Tadeusza, mówiąc:

— Śpij z Bogiem i dobrze!..

Pokorne pochYLENIE głowy dziewczyny, jój nieśmiały pocałunek, złożony na ręce, rozrzewniał ją i napełniał pociechą.

— Dobrze... dobre dziecko!... — mówiła patrząc, jak Tecią znikającą w drzwiach, ślaniając się ze znużenia i braku spoczynku.

Mimo to jednak z pewną trwogą oczekiwała z ust syna nowój wzmianki o zamiarze ożenienia się z Tecią. Gdyby tu szło o zaprzękanie jój własnego życia w wieczną szarotę i niewolę, nie zawahałaby się ani na chwilę; lecz pozwolić Tadeuszowi zaślubić Tecię zdawało się jój—zamknąć rajskiego ptaka do klatki i nałożyć mu na skrzydła wiekuiste pęta.

Pewnego styczniowego ranka srebrno było i białe od śniegu i mrozu.

Tadeusz siedział przy swém biurku rozmarzony gorącym, które buchało z rozpalonego pieca. Wycią-

gnął nogi, wsadził ręce w kieszenie od spodni i znu-
dzonym, szklanym wzrokiem powitał wchodzącego
Pozbitowskiego.

— Mam do ciebie prośbę — wyrzekł „koniarz“,
zbliżając się do Wielohradzkiego.

— O co chodzi? — zapytał Tadeusz, przybiera-
jąc jeszcze więcej znudzoną postawę.

— Zastąp mnie dzisiaj na inspekcji.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam wielką ochotę być na tom-
boli w teatrze...

Wielohradzki skrzywił się, ziewnął i, wyciągając
ręce w górę, odpowiedział:

— A ja nie mam ochoty nudzić się za ciebie
w téj przeklętej budzie...

Pozbitowski wszakże nalegał:

— Och! możesz mi oddać tę przysługę... Zresztą
to tylko zamiana. Skoro przyjdzie twoja kolej, ja
ciebie zastąpię.

— Nie! nie mogę!

— Ależ... dlaczego? Ty wszakże na maskaradę
nie idziesz?

— *Qui sait!*

— Cóż znowu! mówileś, że jesteś w żałobie.

— Żałoba moja się skończyła. Właśnie wybie-
rałem się dzisiaj na tombolę.

— Słowo?

— Słowo!

Sam nie wiedział, dlaczego się upierał, dlaczego chciał popsuć Pozbitowskiemu zabawę. Powtórzył owo „słowo” prawie machinalnie. Gdy się opatrzył, było już zapóźno.

Pozbitowski ku drzwiom zmierzał.

— Pójdę poprosić kogo innego... Tylko pamiętaj, gdybyś na tombolę nie przyszedł, pomyślę, że to *un parti pris de la part...*

Wyszedł.

Wieczorem Wielohradzki po wypiciu herbaty, zamiast położyć się jak zwykle, zaczął krzątać się po swoim pokoju.

— Mameczko—zapytał—czy mam czystą frakową koszulę?

Wielohradzka, siadająca właśnie do pracy, aż drgnęła z podziwu, słysząc to zapytanie. Tacia również podniosła głowę z najwyższem zdziwieniem.

— I nie jedną, ale sześć czystych znajdziesz w swojej szafce—odparła po chwili Wielohradzka.— Ale dlaczego mnie o to pytasz? czy idziesz na jaki wieczór?

— Och! — jęczał Tadeusz — gorzej niż na wieczór..., *muszę* iść na tombolę!

— Dlaczego musisz?

— Dałem słowo.

— Komu?

— Och! to cała historia!

I stękając i jęcząc, przerywając sobie co chwila wydobywaniem krawata, rękawiczek, lakierowanych półbucików, zaczął Tadeusz opowiadać swą przygodę z Pozbitowskim.

— W ten sposób muszę iść na tę przeklętą tombolę... — zakończył, ze złością rzucając zdjętymi butami.

Wielohradzka milczała przez chwilę, wreszcie odezwała się niepewnym głosem:

— Może to i dobrze... rozerwiesz się trochę...

Za całą odpowiedź Tadeusz roześmiał się ironicznie.

Zresztą już był gotów i wyszedł ze swego pokoju strojny, ładny, elegancki, pachnący. Dawny *wodzirój* zdawał się powstawać z mogiły. Błady był tylko i jakby niewyspany. Ziewając, zbliżył się do stołu i stanął obok Teci.

— Żeby mamcia wiedziała, jak mi się spać chce..

— To nie idź, dlaczego się masz przymuszać? Gdyby to jeszcze na wieczór do namiestnika albo do jakiej wpływowej osobistości, rozumiem konieczność przymusu... ale nie na tombolę...

— Powiedziałem już mateczce, że muszę zrobić prosty *acte de présence*. Wrócę za godzinę. Dobranoc!

Ziewnął raz jeszcze, pocałował w rękę matkę i zawahał się chwilę przed Tecią.

— Dobranoc pannie Teci!...— wyrzekł, kłaniając się dziewczynie z galanterią.

— Dobranoc panu! — odparła Teca, szukająca w tej chwili pomiędzy stosem skrawków nożyczek. Oczy jej zdawały się unikać wzroku Tadeusza, usta ułożyły się w podkówkę, ręce wykonywały machinalne, bezmyślne poruszenia.

Wielohradzka także opuściła głowę i nie patrzyła na syna.

Zdejmuje ją trwoga, czy Tadzio nie zażąda kilku guldenów, tak jak to zwykł był dawniej czynić, gdy bywał w „świecie”. Kasa jej wyczerpana nie może znieść podobnego wydatku.

Lecz nadspodziewanie Tadeusz nie prosi o pieniądze. Ziewa, połyka trochę antypiryny, przegląda się w lustrze i nareszcie wychodzi, nowe *frou-frou* we fraku, pozostawiając po sobie smugę odurzającego zapachu doskonałej wody kolońskiej i leciuchną woń terpentyny, którą na lato frak jego zwilżony został.

Idzie wolno przez ulicę, nie śpiesząc się, dobrze owinięty w długi płaszcz z peleryną, który spada masą czarnych fałd niemal do kostek. Szapoklak zsunął cokolwiek z czoła i pomimo zimna czuje co chwila uczucie podskórnych płomieni, przebiegających mu wzdłuż karku, policzków i czoła. Niezwykle ożywienie panuje na ulicach miasteczka. Tombola, na której bilety będą sprzedawać „aktorki”, wyprowadza śpiący tłum z uspienia. Oprócz aktorek będą

damy z towarzystwa. Siedzą w łóżach, kokietując, plotkując i flirtując na wszystkie strony. Wejść można łatwo. Bilety tanie. Kostium zlatany z perkalu, szychu i brudnego atlasu. W kontramarkarni możliwa zamiana wytartej odzieży na lepszą, to samo i co do kaloszy. W dawniej sali sejmowej, wąskiej kiszce obstawionej staremi dekoracyami, tańce. Wiele uciechy estetycznej i materyalnej. Powoli kulawe szkapę *einspännnerów* wiozą pary krakowiaków o wytłuszczonych kierezyach. Tu i owdzie *Carmen* wysiada, pokazując nogi obleczone w bawełniane różowe pończochy. Gaz na ulicach płonie żółto i chorobliwie. Czasem przemknie karetą z masą futra na koźle i kominami kapeluszy służby. Po za karetą czepiają się małe chłopaki, międzynarodowa armia, odziana w mundur biedy i lekkomyślności. Inni, na chodnikach, krzyczą na stangretów:

— Batem go! batem go!...

I nagle pędzi coś jak kula, migocąc czerwonym światelkiem. Jakiś zapóźniony bicyklista sunie na rowerze przez środek ulicy.

Ulicznicy, dojrawszy go, pędzą za nim, krzyżąc sakramentalne lwowskie:

— Wa-ryat! wa-ryat!...

Cieniuchne ich głosiki piszcza, forsują nutę. Podniosły ją teraz o oktawę. Te dwa tony przeraźliwe natychmiast znajdują echo. Maski, jadąc w sankach, podejmują ton skwapliwie.

— Wa-ryat! Wa-ryat!...

Cyklista pędzi jak szalony, wreszcie znika. Śnieg zaczyna padać, i teraz dzieciaki lecą w podskokach, chwytając fruwające płaty w powietrzu. — Lo-dy! — wrzeszczy jakiś malec pół bosy, pół nagi, wirujący jak cień nieuchwytny wśród jasnych smug światła, płynących z okien niezamkniętych jeszcze sklepów.

Wielohradzki, jak ślimak w skorupę, zaszywa się w fałdy swego płaszcza. Ciepło mu w nim i dobrze. Radby zatrzymać go w sali, lecz chęć dawnego eleganta przeważa nerwralgię. Zrzuca więc płaszcz w kontramarkarni i wchodzi na balkon pierwszego piętra, trzymając, zwyczajem francuskim, ręce w kieszeniach spodni.

Przed nim, jakby w kotlinie obramowanej ścianami o rozpadlinach łóż i galeryi, kręci się już kilkadziesiąt osób, deptając podłogę brudną, zalaną całą potokami błota i roztopionego śniegu. Wśród czerni palotów i fraków męskich nikną nędzne kostiumy masek i biaława żółtość obnażonych ramion. Podniesiona kurtyna ujawnia scenę ujętą w czerwone płótna proscenium i paludamentów. Scenę obstawiono dekoracyami jakiegoś starego pałacu dożów o wyblakłych i biednych złoceniach. W środku puf duży, sceniczny, zasmarowany bielidłem rąk aktorskich. W pufie palmy i draceny, nędzna roślinność, więdnąca w atmosferze gazu i zaduchu. Na prawo, na lewo, pod złożonemi festonami dekoracyi, stoliki, na

których płoną świece w kandelabrach. Przy nich aktorki, którym od czasu do czasu widać głowy ciemne lub jasne, pochylone nad tacami lub koszykami pełnymi małych zwitków papieru. Tłum otacza stoliki, pochylając i śmiejąc się, robiąc głośne uwagi. Czasem przemknie arystokratyczna postać „kasy-nowca” i zatrzymuje się przy stoliku. Wówczas ciekawość tłumu wzrasta. Płomienie świec kołyszą się gwałtownie. Tłum wymienia głośno cyfrę złożonych pieniędzy i zwykle wzrusza ramionami, dziwiąc się skąpstwu „tych panów”. Tłumu tego nawet miliardy Rotszylda nie zadziwią. Jest drwiący, zuchwały, błagierski. Zwłaszcza maski w kostiumach świecących szychem, tryumfują trywialną werwą bohaterów anonimowych — i całe szare, pomimo barw jaskrawych swych łachmanów, kręcą się zuchwale pod deszczem nut, które umieszczona na galerii orkiestra sypie bezustannie z rykiem trąb i hukiem chińskiego kapelusza.

Na samym końcu sceny wznoszą się schody, prowadzące do dawniej sali sejmowej, schody brudne, ciemne, zaśniewane całe i oślizgłe. I po tych schodach, jak kaskada bezbarwna, pomimo tęczy kolorów, przesuwają się bezustannie fala ludzi, idących bezmyślnie z jednej sali do drugiej, oślepionych blaskiem gazu, ubezwłasnowolnionych przez owece błędzenie bez celu.

Wielohradzki, stojąc na środku balkonu, patrzył

wciąż na dół, nie mogąc w pierwszej chwili wśród tej arlekinady rozróżnić odrębnych sylwetek lub jakichkolwiek linii. Zwłaszcza czarne dna cylindrów i szapoklaków dominowały, głuszając temi drobnymi płaszczyznami wszystkie inne wypukłości i punkty. Lecz powoli zaczynał rozpoznawać przy pierwszym stoliku czarną postać Pozbitowskiego obok, w różową gazę odzianej, drugiej naiwnej teatralnej. Nieco dalej jedna z lwowskich kokotek, ubrana w purpurowy strój Mefistofelesa, odcinała się linią bioder, obciążniętych purpurowymi trykotami. Środkiem sali szło czterech mężczyzn, trzymając się pod ręce. Wszyscy mieli na twarzach peruki a maski na włosach. Fraki mieli włożone odwrotnie, toż samo koszule i kamizelki. Wielohradzki przymknął oczy, nie mogąc znieść widoku tej monstualnej przemiany. Jakaś krakowianka, z bardzo tłustemi i lśnięcemi rękami, z chusteczką w ręce, spacerowała sama, poprawiając co chwila brudną, niebieską atlasową maskę. Wielohradzki śledził ją wzrokiem przez chwilę. Była niska, krępa i widocznie biedna, bo buciki jój, jakkolwiek starannie oczyszczone, były wykrzywione i bez formy.

Gdy przechodziła koło łoża kasynowej, z po za firanki wysunęła się długa trupia ręka i uszczypnęła dziewczynę w nagie ramię. Wielohradzki poznał rękę Melunia Orlickiego. Dziewczyna zatrzymała się i zaczęła krzyżeć, lecz na przodzie łoża poja-

wił się Malewicz i zaczął śmiać się głośno, patrząc na nią z wysokości i bawiąc się widocznie jej gniewem. Wielohradzki powoli z łoży kasynowej wzrok przeniósł ku innym łóżom, i ogarnęło go dziwne uczucie.

Od półtora roku przeszło nie widział *tych ludzi* zebranych razem, wystrojonych i zbitych w pewien klan — odsuniętych od reszty społeczeństwa, jakby siatką *garde-feu* niewidzialnego.

Wszyscy byli na swych dawnych miejscach. Stara pani Bodocka tronuje w łoży namiestnika. Cztery panny hrabianki siedzą rzędem jak egzotyczne ptaszki, owinięte białymi płachtami balowych narzutek. Łoże pierwszego piętra zajęły wszystkie znaczniejsze rodziny arystokracji galicyjskiej, i Wielohradzki widzi całą kolekcję Muszek, odzianych białą, lila, błękitno, na tle ciemno-purpurowego obicia ścian. Niektóre były już mężatkami; torsy, ich owinięte aksamitem lub jedwabiem, zamiast lekkiej gazy, wysuwały się tak samo chude i dziewicze z poza aksamitnej linii balustrady. Tu i owdzie ciemniał błam futrzanej rotundy lekko na ramiona zarzuconej, lub delikatnie fryzowały się w przestrzeni srebrne kędziory angory, formujące tło, na którym odcinała się węzowa, wązka sylwetka dystygowanój postaci kobiecój. I te piękne kształtne głowy, nosy proste, oczy duże i jasne, ręce drobne, karki silne a delikatne — migotały wśród fałd aksamitu, atlasu,

puchu futer, piór i śnieżno-białych plastronów koszul, bielejących wśród czerni aksamitnych kołnierzy frakowych.

Niewielka przestrzeń dzieliła tych ludzi od szarego tłumu, snującego się na dole, lecz przestrzeń ta wydała się Tadeuszowi olbrzymią.

Były to dwa światy, które nie miały ze sobą nic wspólnego.

Jeden błędził wśród śniegu, błota i pozlepianych łachmanów, drugi eteryzował się na wysokości kilku metrów z błyskotliwością zawieszzonego w powietrzu brylantowego naszyjnika.

Tadeusz odwrócił się teraz i patrzył na lewą stronę sali, patrzył powoli, z żalem dobrowolnego wygnança, widzącego zdaleka wewnątrz Raju.

I w pierwszej łoży, dotykającej ścianą balkonu, ujrzał Orzecką, silnie otuloną w okrycie z aksamitu heliotropowego, bogato zasnutę złotym haftem.

Śmiejąc się, młoda kobieta zwracała głowę w głąb łoży.

Ktoś tam stał, jakaś druga kobieta, bo z po za ściany wysuwała się ręka w jasno perłowej rękawiczce, trzymająca przepyszny wachlarz z czarnych piór strusich.

I nagle kobieta ukazała się cała, odziana w amarantowy cieniowany aksamit, zasypyany deszczem dżetu.

Światło gazu zagrało w perełkach dżetowych

i w splotach włosów, zapalając wszędzie migocące złote iskierki.

Chwilę kobieta zdawała się gorzeć cała w świetle tych iskier, w śniegu tego światła, aż powolnym, jakby zmęczonym ruchem osunęła się na krzesło, odwracając się plecami w stronę balkonu.

I teraz Tadeusz miał przed sobą trójkąt ciała o gorącej karnacji, ujęty w dwie linie amarantowego aksamitu i trzecią, górną, uformowaną z lekko wijących się drobnych włosów rudziej a raczej miedzianej barwy.

Tadeusz usta zaciął aż do krwi.

O kilka kroków, przedzielona trampoliną balkonu, siedziała Muszka, lecz nie ta „sportowa”, w męskim kapeluszu i w angielskich trzewiakach bez obcasów, lecz dawna Muszka rudowłosa, elegancka, strojna w kask swych fryzowanych włosów.

Do oczu Wielohradzkiego nabiegła purpurowa fala. Chwilę zabrakło mu oddechu. I cała rozpacz zawodu wybuchła w nim z szaloną gwałtownością. Po raz drugi przeszył wzrokiem spokojny i marmurowy kark Muszki, która teraz lornetowała głąb sali swoją aluminiową, błyszczącą lornetką. Tadeusz porwał się ku wyjściu. Wybiegł na korytarz, potrącając bohaterkę, odzianą w świeżą suknię beżową i pantofle filcowe. Zbiegł ze wschodów i wpadł do sali. Prędko jednak opamiętał się i zatrzymał jeszcze

pod werendą balkonu. Nie chciał, aby Muszka dostrzegła go w tłumie tego „drugiego świata”.

I znów powrócił pod drzwi balkonu, których otworzyć nie śmiał. Stał więc niepewny i wahający, aż spłoszył go gwar głosów kobiecych na korytarzu prowadzącym do łóż. Rzucił się na lewo i znalazł jakieś przymknięte małe drzwiczki. Po za niemi drzemał strażak. Drabina wązkich wschodów pięła się pod górę. Strażak, zbudzony nagle, z podziwieniem patrzył na groźną minę Tadeusza. Chcąc skierować się w jakąkolwiek stronę, Wielohradzki zaczął szybko pięć się po wschodach.

I nagle wpadł w zaduch, krzyk i szalone gorąco. Znalazł się na paradyzie, po którym snuły się całe kłęby masek, maszynistów, strażaków i służby teatralnej. Zaraz przy drzwiach Wielohradzki potknął się o krakowiankę z chusteczką w ręku, o wykrzywionych bucikach.

Rzuciła się ku niemu i porwała go za poję od fraka.

— Żnam cię! .. — zawołała piskliwie.

Wielohradzki wyrwał się z jój olbrzymich rąk i znów zbiegł ze wschodów. Na dole przywitał go zdziwiony wzrok strażaka. To go rozdrażniło do reszty. Co chwila słyszał ryk trąb orkiestry teatralnej. W rozdrażnieniu potęgował to wrażenie słuchowe do wycia szalejącego orkanu, który go pędził przed siebie bez celu i możności wydobycia się z tego za-

kiętego koła. I znów znalazł się u wejścia do sali. W oddali dostrzegł czerwone trykoty Mefistofelesa i czwórkę mężczyzn idących tyłem, strasznych potworów o nieruchomych, uśmiechniętych maskach. Cofnął się i upadł na jakąś miękką i ciepłą masę. Był to stos odzieży rzuconej na ziemię przez służbę kontramarkarni. Wielohradzki pośpiesznie wyjął z kieszeni numer papierowy.

— Proszę o mój płaszcz... — zawołał prawie rozpaczliwie..

Lecz czekał długo na przeciagu i zimnie, co chwila bowiem wchodziły teraz maski cokolwiek strojniejsze, owinięte w koronki i jedwabie. Służba w kontramarkarni traciła głowę, rzucając podawaną jej odzież na ziemię, gdyż na szaragach miejsca już nie było.

Wreszcie podano płaszcz Wielohradzkiego.

Klnąc i złorzecząc, odział się nim i skierował ku wyjściu. W chwili gdy wszedł do przedsionka, ogarnął go żal serdeczny. Zdawało mu się, że pozostawia za sobą coś mu bardzo drogiego.

Znalazłszy się pod kolumnadą, Tadeusz stanął jak wryty. Patrzył bezmyślnie na zajeżdżające kolejno sanki, z których wysiadały teraz maski cokolwiek strojniejsze, owinięte w atlas i tanie koronki. Pod kolumnadą, pomimo zapalonych latarni, panował szarawy, brzydki półcień. Za to ulica cała była żółta od światła, które płynęły z okien gmachu teatralne-

go, a zwłaszcza z kawiarni, zajmującej prawy parter teatru. W żółtawej tój powodzi rysowały się sylwetki mężczyzn, odzianych w palta i kalosze, dążących w stronę teatru lub wchodzących do kawiarni. Były to olbrzymie cienie chińskie, ukazujące się na wzór sylwetek wyciętych z czarnej blachy po za zasłoną mgły przejrzystej i wilgotnej.

Tadeusz stał ciągle na progu przedsionka, gryząc nerwowo wargi. Dopóki był w gmachu teatru, wmaślał w siebie chęć ucieczki, lecz, stanąwszy na progu kolumnady, nie czuł dość siły, aby się oddalić i powrócić do domu.

Jakiś mężczyzna w czarnem dominie przemknął obok niego, potrąciwszy go prawie ramieniem. Z pod długiego płaszcza jedwabnego wysunęły się nogi odziane w czarne spodnie i długie berlacze. Tadeusz, uczuwszy popchnięcie, z całą furią zwrócił się w stronę biegnącego mężczyzny.

— *Brute!*... — zawołał głośno — *Brute!*...

Lecz maska znikła w przedsionku, nie zwróciwszy uwagi na wykrzyknik Wielohradzkiego.

Tymczasem Tadeusz powoli zaczynał decydować się do opuszczenia swojego stanowiska. Postąpił kilka kroków, lecz nagle zajeżdżające sanki, które zatoczyły się z fantazyą na chodnik, obryzgały go ciemnym roztopionym śniegiem. Jak kot zmoczony, parsknął Tadeusz i znów cofnął się do przedsionka. Znalazł się przed okienkiem kasy, które matową,

lekką oświetloną szybką znaczyło się w przestrzeni.
Na szybce przyczepiono kartkę z napisem:

*Domina i kostiumy charakterystyczne
świeże i gustowne do wynajęcia.
3 piętro — numer drzwi 48.*

Banalny umysł Tadeusza w jednej chwili powziął również banalne postanowienie: włożyć domino, maskę i wejść niepostrzeżenie do sali. Kto wie -- może nawet zbliżyć się i powiedzieć Muszce kilka słów prawdy, napiętnować jój czoło. . pogardą...

Machinalnie sięgnął do kieszeni fraka i wyjął mały pugilaresik. Zaczął liczyć odebraną rano pensję. Wystarczy mu na wynajęcie domina, a wreszcie zostawi zegarek, płaszcz, ale domino mieć musi. I coraz więcej podniecał się w swojej egzaltacji. Widział się już w czarnym płaszczu, zbliżającym się ku Muszce. Przez chwilę patrzeć będzie tylko na nią przenikliwie. Co jój później powie, sam nie wie, ale czuje, że wyrazy cisną mu się do ust z prze-rażającą gorączką.

Biegnie na trzecie piętro, lecz tam gubi się w labiryncie ganków otaczających dziedzińce. Jakaś dziewczyna stoi oparta o balustradę i pluje na dół, w przepaść ciemną, którą ma pod nogami.

Wielohradzki zbliża się ku niej.

— Przepraszam panienkę! — mówi jak może najspokojniejszym tonem — gdzie tu są domina do wynajęcia?

Dziewczyna odwraca swą głowę oskubanego ptaka i odpowiada:

— Ta na czarnym korytarzu, u Nanci!...

— A! .. a gdzież ten czarny korytarz?

— Ojéj!... --dziwi się dziewczyna—pan nie wie, gdzie czarny korytarz? ta-że każdy dzieciak zna, gdzie czarny korytarz.

Wreszcie decyduje się pokazać Wielohradzkiemu kierunek ganku, prowadzącego do owego czarnego korytarza.

Wydostawszy się w rodzaj ciemnego i wilgotnego wąwozu fatalnego, oblepionego śniegiem, dostrzega Tadeusz jaśniejszą smugę światła, padającą z jakichś drzwi otwartych.

Kieruje się ku téj smudze i słyszy zmieszany gwar głosów.

Wchodzi w tę żółtą jasność i gwar cichnie. Przed nim — jama niewielkiego pokoju oświetlonego kilkoma dymiącymi kinkietami.

Na łóżku, na stołach, na wieszadłach, rozłożone jak puste manekiny, świecą się kostiumy dziwaczne, upstrzone trochę galonów i srebrnych frendzli. Tu i owdzie wydobywa się szmaragdowa plama atlasu, lub wątpliwa białość jedwabiu. Na ziemi wała się tęcza pstrokacizny arlekińskich kaftanów. Wyso-ko — na szubienicy wieszadeł — sterczą płaskie kapelusze z płaczącymi gałęzmi rozfryzowanych piór strusich.

W kącie piec z otwartymi szeroko drzwiczkami czerwienieje piękną barwą rozpalonych węgli. Koło niego stoi nieduży żyd, odziany w długie buty, surdut i czerwony szalik wełniany.

— A ja mówię pannie Nanci, co maskarada kiepska jest... Byłem na sali... Same łatyrady...

— E!... — odpowiada z/po za wieszadeł jakiś cichy głos kobiecy — to się wie, że maskarady nigdy udać się nie mogą... Od piętnastu lat zawsze jedno i to samo...

Wielohradzki staje na progu i oczy mruży.

— Cicho!... upomina żyd — panno Nanciu, jakiś gość przyszedł.

Z po za wieszadeł wysuwa się suchotnicza postać niemłodej kobiety. Suknia wisi na niej jak worek. Okręciła się dużą chustką wełnianą i smutnym niechętnym wzrokiem patrzy na Wielohradzkiego.

— Pan sobie życzy? — pyta, kaszląc lekko.

— Proszę o domino!

— Białe? różowe? niebieskie? — pyta kobieta i długie jój palce w wełnianych mitynkach przerzucają całe stosy zwiędłych atlasów.

— Nie... — mówi Wielohradzki, wchodząc do pokoju — proszę mi dać czarne domino, zupełnie czarne, świeże i dystyngowane.

Kobieta kręci z zakłopotaniem głową.

— To będzie trudno... wszystko takie zniszczone...

Żyd z pod pieca uznaje za stosowne wtrącić swoją radę.

— Daj panna Nancia wielmożnemu panu czarny domiń z *Balu maszera* — panna Nancia wie, ten, co to pan Rubirato podarł i opluł ze złości przeszłej żymy...

Nancia szuka jeszcze chwilę, wreszcie wyciąga duże czarne morowe domino z wielkim kapturem.

— Pan może przymierzy? — pyta, zbliżając się do Tadeusza.

Wielohradzki kładzie na łóżku swój klak i płaszcz i naciąga domino. Gorączka go opuszcza powoli. Ten zimny, brudny, ciemny pokój, pełen łachmanów, ta suchotnica, której chude kościste biedne palce czuje dokoła siebie, jak palce w ruch puszczonego szkieletu — działają na jego nerwy w uspokajający sposób. Sala balowa, Muszka, wydaje mu się bardzo daleka. Chwilę ogarnia go znużenie i chęć zdercia z siebie domina, które, zbyt obszerne otula go szelestem czystego jedwabiu. Nasuwa jednak kaptur na głowę i kryje się w fałdy mory, jak ślimak w skorupę.

Nancia dobywa z szuflady kawałki czarnej wstążki.

— Przypnę panu kokardę na lewym ramieniu — mówi nawłócząc igłę — pan Robirato podarł to domino ze złości, wtedy gdy grał w „Balu maskowym.” Dałiśmy tu tę łatę, ale zbliżka widać doskonale, że to inna mora. Zasłonię kokardą... to będzie polityczniej.

Powoli, mozolnie przyszywa kokardę i podaje Wielohradzkiemu maskę.

Tadeusz kładzie maskę na twarz, i wypukłe jego oczy odrazu zostają udręczone tą fatalną baryerą, która je przyciska.

— Może wykrajać większy dziury? — proponuje żyd w czerwonym szaliku.

Lecz na korytarzu dają się słyszeć piski, chichoty i śmiechy.

Nancia szybko uprzęta porozrzucane kostiumy i poprawia światło lamp.

Wielohradzki, nie chcąc być widzianym w tej kuchni tajemnicy, pyta szybko, zdjęty znów gorączką:

— Ile się należy?

— Piętnaście guldenów...

— Dobrze!... proszę oto pieniądze. Zostawię tu mój płaszcz i za godzinę przyjdę po niego!..

Wychodzi i na korytarzu mija całą bandę podrostków, zmierzających ku jasnej smudze światła.

— To ci szyk maska!— odzywa się jeden, potrącając Tadeusza.

— Zostaw go, to jakiś z grandy!...— mówi drugi, rechocząc cicho.

Lecz inni dopadli już drzwi i wołają:

— Panno Nanciu, panno Nanciu, daj nam panna kostiumy dzikensów z Hafrykanki!..

Wymawiają „Hafrykanka”, szczerząc prawie z wysiłkiem to *H* nieszczęsne.

Tadeusz ucieka szybko, ocierając fałdy swojego domina o mury, z których wilgoć kapie. Wydostaje się na ganek i tam, zdaleka, w ciemni, widzi sylwetkę dziewczyny ciągle plującej w czarną przepaść dziedzińca. Mija ją i zbiega do sali. Miesza się z tłumem masek, i nie może się oprzeć wzruszeniu. Nie czuje się bynajmniej odosobnionym i zamaskowanym. Przeciwnie, zdaje mu się, że wszyscy go poznają i pokazują sobie, drwiąc z jego przebrania. Drży z zimna, a natomiast twarz płonie mu pod naciskiem maski. I oczy jego, trwożne i zmęczone, biją powiekami, jak motyle skrzydłami. Światło je dręczy, maska uciska. Przed sobą Wielohradzki widzi ciągle jakąś masę zbitą, wśród której nie zrozumieć nie może. Kaptur z chrzęstem nieznośnym zasłania mu uszy. Z dźwięków orkiestry słyszy od czasu do czasu ryk trąby lub brzęk blachy. Tłum prowadzi go, niesie, pcha naprzód. Chwilowo olśniły go świece zapalone w kandelabrach ustawionych na stole, przy którym siedzą aktorki. Ten bukiet jarzący, wykwitający nagle po nad morzem głów ciemnych, oślepił go. Cofa się ku łóżom parterowym i opiera się o ścianę. Pragnie odpocząć, lecz ktoś go ciągnie za kaptur. Odwraca się i dostrzega, że to Malewicz, nie poznawszy go, pragnie rozerwać się i zabawić, dokuczając maskom. Odchodzi więc wolno, wpada znów w wir tłumu i napróżno wykręca głowę, chcąc dojrzeć lożę Muszki. Za nim, przed nim drepczą maski, popycha-

jąc się trywialnie, wymyślając sobie, sypiąc koncepty, równie brudne, jak ich pończochy i rękawiczki. Wielohradzki, pozbawiony woli, osłabiony, oślepy, idzie naprzód, wdrapuje się na schody prowadzące do sali sejmowej, błąka się po bufecie, powraca znów do sali i płynie za procesyą masek, które, coraz więcej rozzuchwalone, piszczą, krzyczą, tworząc straszny, potworny akord, bijący w górę tryumfującym wrzaskiem rozhukanych zwierząt.

Wreszcie Wielohradzki wydostaje się z sali i zaczyna krążyć po korytarzach łóż parterowych, w których prawie niema nikogo i lampy palą się pół jasno.

W kącie widzi Melunia Orlickiego, z którego twarzy opada powoli tynk i róż, ujawniając żółtą cerę zasuszonej mumii. Stary lowelas z nadzwyczajną czułością trzyma za rękę krakowiankę w wykrzywionych bucikach i z chusteczką w grubych palcach.

— Aniele mój! czy ty mnie kochasz? — pyta stary „koniarz” z nieporównaną intonacją w drżącym ze starości głosie.

Wielohradzki cofa się i wchodzi na balkon. Spogląda na łożę Muszki i znów nerwy jego drgać zaczynają.

Muszka siedzi ciągle, odwrócona plecami do balkonu, i rozmawia z Orzecką, która objada się smażonymi owocami, z łakomstwem rozpieszczonej kotki. Trójką ciała Maleniowej bieli się ciągle w ramach akssa-

mitu i gorącej linii włosów, przybierając teraz śliczne różowe tony, właściwe skórze brunetek; Wielohradzki wpija wzrok w tę jasną plamę, tak powabną w wycięciu sukni. Patrzy, i cała odwaga opuszcza go. Czuje się śmieszny i głupi w tym dominie wypożyczonem z garderoby teatralnej, które jakiś uszmin-kowany śpiewak podarł, a on podniósł i wdział na siebie, zakrywszy „łatę” kawałkiem zwiędłej wstażki. I w tym odzieniu miał ochotę zbliżyć się do *niój*, do pani Maleniowej, odzianej w aksamit amarantowy, królewsko piękny, błyszczący tajemniczymi srebrnymi refleksami.

Ktoś jest w głębi łoży, bo Orzecka wyciąga rękę z pudełkiem cukierków. Może Maleni. I krew zbiega do serca Wielohradzkiego na myśl o pokaznej wielkopańskiej postawie dygnitarza cesarsko-królewskiego. I w tej samej chwili ta łoża wydaje mu się odosobnioną od innych łoż, czémś większém, wspanialszém, bardziej arystokratyczném...

Nagle mężczyzna w łoży powstaje i zbliża się ku Orzeckiej; Wielohradzki poznaje Pozbitowskiego. Jakies uczucie ulgi ogarnia go na myśl, że Maleni nie znajduje obok się Muszki. I widzi, że Muszka podnosi się także, wyciąga rękę po płaszcz, który Pozbitowski jej podaje. Mózg Wielohradzkiego przeszywa błyskawica.

Odchodzi!

Porywa się i on ze swego miejsca i prawie bez-

wiednie biegnie na korytarz. Chce znaleźć się teraz blisko niej, przyjrzyć się jój twarzy. Na korytarzu spotyka się nagle z Pozbitowskim, który sam wychodzi z łoży. Wielohradzki, oślepiiony przez swą maskę, potrąca kasynowca i prawie bezprzytomnie, nie zmieniając głosu, mówi:

— Przepraszam cię!

Pozbitowski chwyta go za fałdy domina.

— Wielohradzki? — pyta ze śmiechem.

Tadeusz, który nigdy jeszcze nie miał na sobie domina, nie umie się wykręcić.

— Ja!.. puść mnie!..

Lecz Pozbitowski chwyta go jeszcze silniej.

— Nie! nie!.. mam ideę... musisz mi pożyczyć swego domina...

— Cóż znowu?

— Na chwilkę! Proszę cię!.. pójdę zaintrygować Melunia Orlickiego. To stary idyota.., trzeba koniecznie *lui faire une farce...*

— Jednakże...

— Niema jednakże... schowasz się tu do łoży, a ja powrócę za dziesięć minut i oddam ci domino. *Que diable!* możesz mi oddać tę przystługę...

I szybko Pozbitowski otwiera drzwi do łoży Orzeckiej i Muszki i wrzuca w ciasną klatkę łoży prawie nieprzytomnego Wielohradzkiego.

— *Mesdames!*..—mówi po francusku—ta maska to dobrze wam znajomy pan Wielohradzki. Zgodził

się pożyczyc mi swojego domina na pięć minut. Biegnę zaintrygować Melunia. Wy tymczasem przechowajcie w swój łoży Wielohradzkiego do mojego powrotu.

Orzecka z wielkiej radości rozsypała na ziemię smażone owoce.

— Tak!.. tak!.. — zawołała, śmiejąc się rozkosznie — idź pan, my będziemy lornetować do waszój łoży. Trzeba zobaczyć *la tête que fera Melunio*, gdy mu pan powiesz o...

Przerwała, śmiejąc się dwuznacznie.

— Pan wiesz o czym chcę mówić... — dokończyła, kryjąc swą ładną twarzyczkę za koronką przesłicznego Louis XVI wachlarza.

— Wiem!.. wiem!.. — uspokajał ją Pozbitowski, zdejmując z Wielohradzkiego domino. — *Enfin*, jestem gotów i mam teraz minę jakiegoś pana z Rady dziesięciu...

Uklonił się nisko paniom, swobodny zupełnie pod dominem i kagańcem maski.

— *Mesdames!*..

Wyszedł, szeleszcząc fałdami domina, olbrzymi w tém długim odzieniu, które spadało mu zaledwie do kolan, z najeżonym hełmem kaptura po nad wązkiem białawém pasmem czoła.

W łoży, koło drzwi, przyklejony do ściany, pozostał Wielohradzki. Zdawało mu się, że razem z tém dominem zdarto z niego wszelką odzież i wystawiono

go na urągowisko publiczne. Widział przed sobą tylko jasny otwór łoży, jamę świetlaną, w której majaczyły różowawe kręgi balkonów i złotawe plamy światel gazowych.

Wówczas powoli podniosła się z krzesła Muszka i, otuliwszy się futrem, iść ku niemu zaczęła. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków, a Wielohradzkiemu wydawało się, że ta olbrzymia postać schodzi ku niemu z bajecznej odległości po świetlanej smudze dziwacznego oświetlenia. Szeroki kołnierz rotundy, kołnierz niebieskich lisów o barwie niepewniej i chorobliwej kotów angorskich, chowanych w ciepłarniach bogatych apartamentów, tworzył dookoła jęj szyi i ramion puszystą aureolę, w której grały białawe światelka. I tylko z tego srebrno-błękitnego puchu wykwitowała jęj głowa, cała także złota i ruda od światła przebijającego kędziory i zapalającego tryumfalny ogień we wnętrzu brylantowej gwiazdy, drżącój wysoko, niemal w przestrzeni.

Szła dość szybko, lecz Tadeuszowi zdawało się, że idzie ku niemu całe lata, i że on, patrząc na nią, przeżywa epoki oddalone, o których dawniej nie miał nawet wyobrażenia. Przycisnął ręce do ściany i stał jak żak szkolny, złapany na gorącym uczynku jakiejś psoty. Ona doszła ku niemu i wyciągnęła obie ręce.

— *Enfin!* — wyrzekła prawie przez zaciśnięte zęby.

Wielohradzki na te wyciągnięte ręce kobiety patrzył, i przejęło go zdumienie i trwoga.

Oczekiwał pogardy, chłodu, obojętności, ale nigdy tój jakiejś fatalnej namiętności, rozbudzonej i niecierpliwój, którą ujawniały te dwie wyciągnięte kuszaco ręce, ładne, kształtne, opięte w jasno-perłowe długie rękawiczki i ozdobione złotemi kołami, tak, jak ramiona niewolnicy egipskiej.

Muszka, widząc, iż Tadeusz stoi nieruchomy, osuwa się na krzesło, znajdujące się w głębi łoży. Oddziela się w ten sposób od reszty sali i, rozrzucając zręcznym ruchem rotundę, tworzy rodzaj parawanu, po za którym kryje się w całości. Głowę nawet pochyła i wsuwa w masę futra. Energicznym ruchem wskazuje Wielohradzkiemu drugie krzesło, stojące przy drzwiach. Tadeusz siada, milcząc ciągle, dusząc się zdenerwowaniem i zapachem fijołków i futra, który nagle przepelnia kąć łoży. Po nad głową Muszki, w lustrze zawieszonym na ścianie widzi odbicie kawałka sali i kilku łoż parterowych. Nie chcąc spotkać się ze wzrokiem Muszki, patrzy uparcie w lustro i dostrzega czerwone trykoty kokotki, wijące się jak płomienne węże na tle czarnych paltotów i domin...

Tymczasem Maleniowa mówi szybko, głosem urywanym, pochylając się cokolwiek w stronę Tadeusza:

— A!.. nareszcie! nareszcie!... ale gdzie pan by-

łeś? co się z panem działo?... Kilkakrotnie przyjeżdżałam z Wiednia do Lwowa prawie umyślnie dla pana, i nigdzie pana spotkać nie mogłam. Raz jeden w lesie... wtedy, gdy towarzyszyłeś pan jakiś pannie... Dlaczego pan nie starałeś się ze mną zobaczyć?... Czy Concarneau pozostawiło tak niemiłe wspomnienie? Czyś zapomniał — *enfin, voyons* — powiedz pan prawdę!

Wielohradzki patrzył ciągle w lustro, lecz z uwagą wsłuchiwał się w słowa Muszki. Nigdy jeszcze nie mówiła do niego tak bezładnie, otwarcie, takim głosem zmęczonym, a mimo to wstrząsającym do głębi. Nigdy nie odsoniła tak swego niepokoju i jakiegokolwiek moralnego wzruszenia. I natychmiast Tadeusz zaczął odzyskiwać władzę nad samym sobą i czuć, że teraz po jego stronie jest wyższość pokonanéj i zdławionéj łzami namiętności. Nie zdawał sobie jednak jeszcze sprawy z tego zmienionego stanu rzeczy, tylko instynktownie przybrał ton chłodnego sarkazmu i kłójącej ironii.

— O!... — bąknął prawie nieśmiało — niepotrzebnie pani wspomina Concarneau... zdaje mi się, że niedobrze jest mówić o snach... gdyż... to przeszkadza ich urzeczywistnieniu.

Gdy wymówił ostatnie słowo, odetchnął: tak wiele wysiłku kosztowało go to banalne zdanie, które zaczerpnął z jéj własnego dykcyonarza. Pa-

trzymał wciąż pilnie w lustro i mrugał oczyma ze zbytego wyteżenia wzroku.

— Mówię o Concarneau... — zaczęła znów Muszka — gdyż widzę, iż pan o nim zapominasz... A ja nie chcę, ażebyś pan zapomniał... nie chcę... rozumiesz pan?...

— Jeżeli zapomniałem, nie moja w tym wina — odparł Tadeusz.

— Ale dlaczego? dlaczego? co się stało? powiedz pan, co się stało?...

Tadeusz szybkim ruchem przeniósł wzrok z lustra na twarz Muszki. Chwilę nie widział nic, oślepiony blaskiem brylantów, wreszcie zaczął dostrzegać linie jej ust, które teraz drżały nerwowo.

— Jakto, co się stało?... — zapytał zdjęty najwyższém zdumieniem.

— Naturalnie!.. przecież to było ułożone, iż zobaczymy się znów we Lwowie...

Patrzyła mu prosto w oczy, i on pod tym wzrokiem zaczął się mieszać i tracić chwilową pewność siebie.

Nie śmiał wspomnieć o jej małżeństwie z Malenim. To, co dla niego było przeszkodą niepokonaną, dla niej zdawało się nie istnieć nawet. Wobec tych danych, czyż mógł robić jej gorzkie wymówki za to, że nie chciała czekać, aż on, Wielohradzki, oświadczy się o jej rękę?

I znów, tak jak dawniej, wtedy jeszcze, gdy

była panną Dobrojowską, przepych jęj stroju, tryumfalna jęj uroda, bogactwo, które ją otaczało, zaczęło wytwarzać dokoła nięj świetlany nimb, który oślepiął jego istotę. Aksamit, futro, brylanty, ręce kształtne i wąskie, rasa całego ciała, zapach doskonałych perfum — składały się na całość tęg kobiety, wypełniającej sobą horyzont jego myśli i wzroku. I znów, zwykłą asocyacją idei, osunął się Wielohradzki na swą własną moralną i materyalną nizinę, i nędzna szafka, w której bielilo się trochę wytworniejszję a już cerowanęj bielizny, czernily się trzy czy cztery kamizelki, surduty, smockingi, zarysowała się jako jedyny dostatek, jedyny kapitał, jaki mógł przeciwstawić przepychowi Muszki. Przyłączyło się jeszcze przekonanie, iż przepych ten głównie płynie ze związku jej z Malenim, jednym z najlepiej cenionych wyścigowców na terenie dyplomatycznego *Steeple-chase'u* i osobistym przyjacielem arcyksiążąt wiedeńskich.

Czy Wielohradzki mógł wobec tego wystąpić ze śmieszną pretensją nieziszczonych zamiarów matrymonialnych? W tęg chwili przejęła go groza na samą myśl tęg śmiałości, z jaką dawnięj dążył do podobnego celu. Zkąd mu przyszła ta myśl? jak mógł przypuszczać? .. pozwolić matce zapożyczać się, brnąć w toń długów dla niemożliwęj chimery?

Spuścił oczy w ziemię i nie śmiał patrzeć w twarz Muszki. Czuł ją blisko przy sobie, nerwową i rozgo-

rączkowana, w powijaku futra, które wydawało gorącą woń. Twarz ta, tonąc w cieniu, prawie czarna, pokreślona liniami oczu i ust, przecięta bielą zębów, wydawała mu się upiorem, którego lękać się należało.

— Mówiono mi... — szepce Maleniowa — iż usunąłeś się pan od bywania w świecie... Podobno jesteś pan w żałobie. Dzisiejsza jednak obecność pana na tomboli *prouve le contraire*. Nie chcę badać przyczyn, które pana zatrzymywały daleko od nas, ale chcę, ażeby ta dobrowolna banicya skończyła się... Ja pozostaję na cały karnawał we Lwowie, mąż mój będzie lawirował między Lwowem i Wiedniem. *Il a ses devoirs*, ja zaś pragnę odżyć w atmosferze mego kochanego Lwowa... Czy pan wiesz? to śmieszne, ale ja Lwów kocham! kocham!...

Przeciągnęła ręką po czole i dodała szybko:

— A może nie Lwów, może...

Ręka jój opadła znów i zginęła w fałdach futra.

— Sama nie wiem, co mówię... mam widocznie gorączkę...

Zamknęła oczy i przechyliła w tył głowę.

— Mam gorączkę!... — powtórzyła i pozostała tak z wpeł otwartymi ustami, tonąc prawie cała w srebrnym puchu futra.

Nagle zaszeleściła suknia Orzeckiej.

Młoda kobieta, która przez cały czas rozmowy Wieloradzkiego z Muszką dyskretnie odwrócona lor-

netowała zawzięcie lożę kasynową, wstała nagle i zbliżyła się ku Maleniowej.

— Pozbitowski skończył swe intrygi—wyrzekła wesoło — i powraca do nas. Za chwilę tu będzie.

Wielohradzki powstał z krzesła i przycisnął się do ściany. Był serdecznie wdzięczny Orzeckiej za tę interwencję. Czuł, iż powinien coś uczynić, odpowiedzieć harmonijnie na gorączkową nerwowość Muszki, nie był w stanie jednak znaleźć nic stosownego. W miarę jój podniecania się on chłódł w jakimś smutku szarym i prawie beznadziejnym.

Tymczasem Orzecka szczebiotała, opierając się o ścianę, wesoła, rumiana, kształtowała w swój jasnej sukni. Jedną ręką gładziła powoli futro Muszki, drugą ładnym giestem położyła na poręczy krzesła, z którego wstał Wielohradzki. Była uosobieniem kobiety bezzmysłowej i bezmózgowej, ładnej figurynki, ściśniętej doskonale dopasowanym rzymskim gorsetem. Z wielkim wdziękiem zaprosiła Wielohradzkiego na szereg wieczorów, które odbyć się miały w jój domu.

— Mam nadzieję... — zakończyła — iż obejmiesz pan dawne stanowisko naszego *conducteur de cotillon*. Nikt nie był w stanie pana zastąpić. Żalowano powszechnie, iż pan zmuszony byłeś przestać bywać w świecie... Sądzę jednak, że teraz żaloba skończona, i że mogę liczyć na pana... Wszak prawda?

Wielohradzki za całą odpowiedź skłonił się z wy-

soką kurtuazyą. Nie miał siły odmówić. Postanowił jednak napisać do Orzeckiej i zastawić się brakiem czasu, albo chorobą matki.

Czar jednak wielkoświatowy już wniknął w jego żyły i zaczął wypełniać jego istotę. Z łoży do łoży płynęły teraz te nieuchwytnie prądy, łaskocące wykwintem codziennęj bez troski. Cały rok Wielohradzki odwykł od upijania się elegancyą i szykiem i wystawą zbytku. Uczuł, iż w głowie mącą mu się myśli, serce bije słabo pod balową kamizelką. Obok siebie miał znów Muszkę — i ta myśl, że to nie panna Dobrojowska, lecz pani Maleniowa znajduje się o kilka kroków, zaczynała mu być obojętna. Była to... Muszka i to mu wystarczało.

Pozbitowski otworzył drzwi łoży i, śmiejąc się, zaczął zdejmować domino. Zaintrygował Melunia Orlickiego, który na korytarzu flirtował z krakowianką w wykrzywionych bucikach. Opowiedział mu wiele faktów z jego przeszłości i teraźniejszości (sekretów Poliszynella), które wprawiły starego kasynowca w głębokie rozmarzenie. Obecnie siedzi w głębi łoży na ławeczce i, pukając palcem w czoło, powtarza:

— Kto to być może? — dumny i rad, że on jeden z całej bandy był wreszcie intrygowany przez jakąś przyzwoicie odzianą maskę.

— A teraz, ty — mówi Pozbitowski do Wielohradzkiego — uciekaj i nie pokazuj się w sali. Melunio przyczepi się do ciebie i nie da ci spokoju!...

— I tak miałem zamiar powrócić do domu .. —
odpowiada Wielohradzki, owijając się w domino.

Koronki czarne spadły mu do koła szyi, która, obrzeżona wyłożonym kołnierzem koszuli, rysuje się biała, delikatna, z cokolwiek błękitnym refleksem. Głowa jego, kształtna i ładna, w tych fałdach czarnej mory i gipiury nabiera wdzięku kobiecego, trochę chorobliwego i sztucznego. Maleniowa patrzy teraz na Tadeusza z dziwną, a dawniej nigdy nie okazywaną wobec ludzi śmiałością. W głębi jej oczu migocą dwa światelka. Tadeusz kłania się i wychodzi, nasuwając na głowę kaptur.

— *Charmant garçon!*—mówi swobodnie Orzecka, zajmując dawne miejsce na przodzie łoży.

Muszka nie odpowiada, tylko pozostaje w głębi na krześle i przechyla głowę, topiąc ją powoli w fale futra.

.

Wielohradzki powraca do domu.

Przez drogę stara się nie myśleć. Gwizdże nawet przez zęby, idzie prędko, otulony w płaszcz, przez opustoszałe ulice, ciemne, pełne śniegu i śliskiego błota. Czasem zadzwonią zdaleka sanki i przemkną gdzieś w odległej uliczce. Zresztą, cisza grobowa. Czarne mauzolea domów, okryte białymi całunami śniegu, majaczą wśród nocnej ciemni.

Wielohradzki prawie biegnie wśród tej pustki.

i ciemnicy, a wiatr rozwiewa mu szeroko pelerynę płaszcza. Wielohradzki czuje, iż obok niego, jak cień natrętny, jest cały kłęb wspomnień, myśli, nierozwiązanych zagadnień, które pędzą za nim i przybierają kształty konkretne. Nie chce jednak zwracać się ku nim, ucieka, zaciskając zarazem węzeł moralny, wiążący go z tém wyodrębnieniem się pewnych form jego istnienia. Ciągnie za sobą tę falangę jak stado tajemniczych ptaków.

Dopadł do domu, zadzwonił. Biały murzyn, odziany wiatrem, dzwoniący zębami, otwiera mu leniwie. Lecz Wielohradzki nie zastanawia się, jak zawsze, nad ustawieniem wywrotnem całej drabiny społecznej. Zapomina nawet dać stróżowi ową tradycyjną „szóstkę”.

Pnie się teraz po wschodach, podnosząc fałdy płaszcza. Stróż wraca do legowiska i wsuwa się w ciepły jeszcze barłóg. Wielohradzki ostrożnie otwiera drzwi, i gorąco panujące w mieszkaniu napędza mu krew do głowy. Przy stole siedzi Teczka i szyje, przysunąwszy lampę prawie na sam brzeg stołu. Wielohradzka, znużona, śpi ubrana na łóżku, osłoniętem parawanem. Słysząc jej oddech ciężki, trochę astmatyczny.

Teczka, ujrawszy Tadeusza, przykładła palec do ust.

— Sza... nie budź pan mamy... niech odpocznie!...

Tadeusz cichutko zbliża się ku dziewczynie i chwyta ją w swoje objęcia. Teraz on jest rozgorączkowany i nerwowy. Gorąco całuje oczy, usta, szyję Teci, która, cokolwiek zdziwiona, broni się instynktownie przed temi pocałunkami, w których odczuwa coś sztucznego.

— Może pan napije się herbaty? — pyta szeptem, uwalniając się z objęć Wielohradzkiego.

Lecz on przyciąga ją znów ku sobie i całuje nerwowo, całuje, nie ją, nie Tecię, ale jakąś abstrakcyę, potrzebę miłości. I nagle zwraca się ku drzwiom swojego pokoju, porzucając niemal brutalnie dziewczynę, która traci równowagę, chwieje się, opiera o stół i wreszcie pozostaje nieruchoma, z wypiekami na twarzy, z oczyma szeroko otwartymi, jakby pod wpływem jakiegoś groźnego widziadła.

Tymczasem Tadeusz, wbiegłszy do swojego pokoju, przedewszystkiem przekręca klucz w zamku, i to dwukrotnie. Chce pozostać sam ze swojemi myślami, jakkolwiek nie wie, gdzie i w jakim porządku myśli te ma skierować. Chwilę kręci się po pokoju w świetle przyćmionéj lampy, palącey się wysoko na półeczce. Nagle siada na łóżku, ciągle owinięty płaszczem, i kurczy się, jak zziębła na wiosennej grudzie wrona. Chce myśleć, lecz nie umie. Całą farandolę wrażeń, przeczuć przyszłych wrażeń ma pod swoją, cokolwiek spłaszczoną, czaszką. Postanowienie jedno wyłania się z tego chaosu. Nie powie

matce o spotkaniu Muszki. Czuje, iż o panie Dobro-jowskiej mógł mówić swobodnie, o pani Maleniowej nie należy. Kłamstwo i tajemnicę już ma na ustach zaciśniętych nerwowo. Dojmujący ból przeszywa mu prawe ucho i policzek. Newralgia wieczorna porywa go w swoje szpony i kładzie kres niepewności i ułudzie wrażeń oderwanych. Zrywa się z łóżka i, jęcząc cicho, pije dwie łyżki antypiryny, zmieszanej z akonityną, poczem powoli do snu się gotuje.

VII.

— Druga figura z cieniem!.. z cieniem!.. *pardon!*..

Jak na skrzydłach czarnych, trzepiących się dziwacznie, pędzi Wielohradzki pomiędzy dwiema liniami tańczących.

Trzymanym w ręce szapoklakiem przecina powietrze. Ślizga się po posadzce z gracyą młoděj baletniczki, a biały krawat jedwabny, szeroki, w guście krawatów z 1830 roku, ma przekręcony trochę na bakier.

— Pary z prawěj!... z pra-a-a-wěj!... — powtarza, otwierając usta, jak nowe wrota.

— Dobrze!... dobrze!... nie krzycz!... — mityguje jego zapal Charłupko, któremu owo „z prawěj” wpadło w samo ucho, jak bąk, nagle w ciasną przestrzeń wrzucono.

Lecz Wielohradzki, jak wódz w czasie walki, waleczny i nieustraszony, biegnie dalej, rzucając swoją komendę rozpaczliwym teraz tonem. Nikt go

nie słucha w tym finale kadryła, finale wesołym i troszkę podnieconym wyborną kolacją, spożytą przy małych stolczkach w profuzyi śnieżystych kiści bzu i pęku róż, rozsypanych w przestrzeni.

Wielohradzki w tój barwnój alei, którą tworzą dwa rzędy tancerzy, ukwieconych również masą bzu i róż, przesuwa się ze zwinnością jaskółki. Dawna anemia znikła. Policzki wypełniają gorączkowe rumieńce. Jest on jak kobieta światowa, chętnie oddychająca sztuczną atmosferą balu. Pierś jego rozsadza rozkoszne uczucie aktora, powracającego po dłuższej przerwie na deski sceniczne. Pomimo oporu i nieuwagi ze strony tancerzy, zajętych flirtem, kwiatami, miłością, plotkami, manewrowaniem szapoklakami lub wachlarzami, nie umie gniewać się i, zatrzymawszy się chwilę na środku sali, ociera pot z czoła bledo-zieloną chusteczką jedwabną.

— *Grand rond!*... — woła zdesperowany, opuszczając myśl urządzenia figury z „cieniem”.

Rond formuje się powoli wśród śmiechu i wrzawy. Panie w szerokich, fałdzystych na dole sukniach, rozkładających się na posadzce na wzór kosztownych parasoli, podają ręce taneerzom. Ci, w krawatach stendhalowskich, we frakach o aksamitnych kołnierzach, przypominają karykatury *Rostignac*’ów. Krótko ostrzyżone przy skórze włosy, śpiczaste przycięcie brody i wąsów, nie harmonizuje ze stylem stroju. Lecz już tu i owdzie pokazuje się twarz gładko ogo-

lona, włosy przyczesane i zlepione fiksatuarem. Światło kinkietów i świec, gorejących w kandelabrach wśród płaskich liści roślin, migoce błotnistymi plamami na powierzchni tych balzakowskich głów. Z ramion kobiet opadają suknie i rękawy olbrzymie, u łokci ściągnięte wstążkami. Gdzież talie prababek z tradycyjną w pasie bransoletką? Włosy bramują twarze pasmami dziewczemi, twarze pokryte kremem Simons'a i pudrem Sarah Bernhardt. Oczy, zafarbowane indyjskim błękitem, usiłują mieć romantyczny chłód i sztuczną egzaltację, lecz błyszczą nerwową żywością krwi szybko płynącej.

I pod falami róż i bzu, które spadają, więdnąc, z gałęzi pajaków, zaczyna płynąć w takt piosenki Carmeny cała farandola tych panów i pań, przebranych maskaradowo, komponujących swoje głowy, twarze, ciała — na wzór niedawno jeszcze wyszydanych Lucyanów Rubeupré. To, co było brzydkie, teraz jest piękne, lecz właściwie teraz jest brzydkie, bo czysty i wypływający z warunków epoki styl *zmodernizowany* przez paryskich krawców i fryzjerów stracił swój kryształ i wdzięk, stając się brzydkim hermafrodytą.

Wielohradzki podaje rękę swąj tancerce i miesza się z całym gronem. Prześliczna blade-błękitna sukienka Dory Hohensteigen-Higmeringen, obramowana ciemnym futrem, lekkimi fałdami gazy dotyka go, jak skrzydła olbrzymiego motyla. Księżniczka,

uprzejma i doskonale wychowana, uśmiecha się do swego tancerza, uśmiecha się do swego *vis-à-vis*, uśmiecha się do dam siedzących pod ścianami, do róż, do swiateł, do siebie w lustrze, do całego świata, i do swego własnego życia. Ma lat osiemnaście ta wiedeńska, biała, różowa, przepysznie zbudowana, prześliczna, pachnąca, z twarzą klasycznie wdzięczną, z szyją łabędzią, z ramionami atłasowymi, z dołkami na buzi, na szyi, na gorsie, na łokciach. Jest to usobienie beztroski kobiecój, luksu społeczeństwa. Rada z siebie, ze świata, uznająca, iż tak, jak jest — jest dobrze, i żełona, Dora, i jój siostra, Mitzi (mniej ładna, lecz jeszcze weselsza), powinny zawsze pozostać młode, wdzięczne i szczęśliwe.

I odrazu Dora zagarnęła dla siebie berło królowej karnawału. Jój wiedeński szyk, trochę rubaszny, lecz błyszczący, tualety oryginalne, a zwłaszcza łatwość obejścia, przy wielkiej napozór prostocie, pociągnęły wszystkich. Siostra jój, Mitzi, pozostała w cieniu. Wiedziano, iż była „zakochana” w jednym z arcyksiążąt i że ten starał się właśnie o pozyskanie zezwolenia na swój ślub z panną Hohensteigen-Higmeringen. Lecz Dora była wolna. Bezwiedna jój kokieterya, prawie naiwna, roztaczała się dokoła na wszystkich i dla wszystkich. Urodzeniem i stanowiskiem była tak wysoko, iż zdawało się jój, że *nic*, żaden flirt z c. k. koncepspraktykantem bezpłatnym namiestnictwa poniżyć jój nie może. Odrazu chętnie

zaczęła tańczyć z Wielohradzkim, który, proszony przez Orzecką, księżniczkę uczynił „wodzirejką” i dał jej miejsce adjutanta przy swym boku. Dora z wesołą radością przyjęła tę rolę i natychmiast zaczęła ją grać na seryo. Zajmowała się przyborami do kotyliona i wczasy figur tanecznych często interwencją swoją czyniła wiele zamieszania i nieporządku.

Wielohradzki czuł teraz ciągle jej drobną ładną rączkę w swój dłoń, lecz dotknięcie tej ręki nie wywierało na nim wcale wpływu magnetycznego.

Była to wesoła, dobra ręka poczciwego kolegi, lecz nie ręka kobieca, pełna elektrycznych prądów. Dwukrotnie już na tych wieczorach tygodniowych u Orzeckich tańczył z księżniczką, i zawsze po za jej główką powabną i wdzięczną szukał czegoś, inną twarzą i inną głową, która zdawała się teraz unikać jego spotkania.

Muszka Maleniowa, jako mężatka młoda i żona dygnitarza, ustąpiła teraz berła panińskiego wdzięku księżniczce. Na pierwszy wieczór u Orzeckich nie przysłała wcale. Wielohradzki uczył łód w sercu, widząc, iż dwunasta wybiła, a Maleniowie nie przybyli. Wir taneczny jednak ciągnął go koniecznością przymusu. Księżniczka szczebiotem swoim i dowcipami tworzyła dokoła niego miłą dziewczęcą cieplarenkę. Niemniej przeto błędził po apartamencie wśród lasu fraków i fali sukien jak zbląkany. Zdawało mu się,

iz Orzecka śledzi go z pewną złośliwością w swych piwnych, okrągłych źrenicach. Przybrał więc maskę pozornego obojętności i gorliwie zajął się kotylionem.

Orzeccy, niebogaci, lecz żyjący z wysiłkiem nad stan, przepychem akcesoryów i nadmiarem kwiatów pokrywali szczupłość apartamentu i niezbyt wykwintne umeblowanie salonów. Znać tu było przejście armii tapicerów, świeżo upięte portyery, zbyt nowe lustra, całe regimenty złożonych krzesełek o czarnych atlasowych poduszkach. Lecz gospodyni domu, zarumieniona jak wiśnia, dziecięcą wesołością i zakłopotaniem witała swych gości. Po raz pierwszy otwarła swe salony i widocznem było, iż działa z trwogi, aby cokolwiek nie zdradziło ich braków i kłopotów pieniężnych. Ztąd — zbytek w kolacyi i winach, moc światła i kwiatów, przepych w akcesoryach kotylionowych.

Bawiono się doskonale, i Wielohradzki, który odwykł od widzenia kręcących się bezmyślnie splątanych par po środku salonu, doznawał chwilami zawrotu głowy na widok téj masy ciemno-kolorowej, wirującej z jakąś rozpaczliwą elegancją po blond tafli lśniącej posadzki.

Prędko jednak oswoił się z tym widokiem. To szaleństwo balowe weszło mu już poprostu w krew; oddychał pełną piersią w atmosferze wędnących kwiatów i rozgrzanych ciał kobiecych. Przez chwilę

zamknął oczy i wciągał w siebie tę woń, jak suchotnik pierwsze ciepłe, rozkoszne prądy budzącej się wiosny. Rzempolenie orkiestry balowej, zamiast drażnić mu nerwy, działało na niego uspokajająco. On, który nie mógł znieść turkotania maszyny, na której szła matka lub Teczka, słuchał chętnie skrzekliwych tonów polek lub piszczenia miaukliwego straussowskich walców. Newralgia jego peryodyczna, zjawiająca się zawsze z nadejściem nocnych cieni lub w gorącu, zniknęła. Pozostał tylko lekki szmer wzdłuż szczęka, który był mu miły. I teraz, gdy jeszcze na drugim wieczorze ujrzał wchodzącą Muszkę, zaczął się dziwić sobie, jak mógł tak długo wytrzymać w odosobnieniu, nie korzystając z możności choćby chwilowego wydostania się z nędzy życiowej, w jakiej przebywać był zmuszony. Właśnie dnia tego, rano, matka po raz pierwszy zażądała jego pensyi biurowej, i on przyznać się musiał, iż wydał ją na wynajęcie domina i rozmaite inne akcesorya balowe. Miał wprawdzie jeszcze w kieszeni kilka guldenów, ale zataił tę wiadomość, chcąc kupić sobie świeży krawat i rękawiczki. Wielohradzka, słysząc odpowiedź syna, zbladła: widocznie liczyła na te pieniądze na spłacenie długu lub na bieżące wydatki. Nie zrobiła mu ani słowa wymówki, lecz, milcząc, z czołem przeciętem głęboko zmarszczką, wyszła do kuchni, gdzie pozostała długą chwilę zamysłona i nieruchoma. Wieczorem, widząc, iż Tadeusz ubiera się we frak

i gotuje do wyjścia, spytała go prawie sucho, bezdźwięcznym głosem:

- Idziesz na bal?
- Tak, proszę mamci.
- Do namiestnictwa?
- Nie, do hrabiostwa Orzeckich.

Dodał ów tytuł „hrabiowski” do nazwiska Orzeckich dla pogłaskać dumy matki. Lecz ona, wbrew swojemu zwyczajowi, nie okazała mu rozradowanej twarzy w złotym świetle lampy przyściemnionej abażurem. Miała ciągle ten wyraz troski powszedniej, trywialnej, codzienniej, która je jak skorpion, gryzie duszę jak miał węglowy — palce. Teci również zdawała się być zgnębioną nawalem roboty karnawałowej, przeróbkami przeszłorocznych sukien, z których koniecznie należało zrobić nowe stroje. Przytem te dwie kobiety, stara i młoda, żyły się tak razem w tej ciągłej pracy, że zdawały się mieć wspólne troski, myśli, uczucia. Na czole Teci rysowała się ta sama zmarszczka, która złobiła czoło Wielohradzkiej. To samo smutne ust zacięcie i pochylenie głowy. Z tém wrażeniem jakiegoś powszedniego smutku i zziębnięcia moralnego wyszedł Tadeusz na drugi bal do Orzeckich. W salonie, przy dźwiękach muzyki odżył, a nadejście Muszki dopełniło jego metamorfozy. Muszka przesunęła się jak cień przez salon i zniknęła we drzwiach małego

pokoiku, który, zastawiony nieuniknioną japońszczyzną, nosił nazwę „małego salonu”.

W przesunięciu się tém pozostała w pamięci Tadeusza gorąca barwa rudego aksamitu, z którego zrobiona była suknia Muszki. W barwie téj mieściła się cała masa odcieni, począwszy od rubinowych refleksów, skończywszy na żółtawo-płowych blaskach. Podobnej barwy kosztowne futro bramowało dół sukni, jak wąż olbrzymi i wierny. Na głowie skrzyła się korona z rubinów. Dwie szelecзки z łańcuszków złotych, przetykanych rubinami, ściągały na ramionach stanik, z którego spadały olbrzymie bufiaste rękawy. I jeszcze w oczach Wielohradzkiego pozostało wrażenie olbrzymiego koła wachlarza ze złotych koronek i perłowej massy, unikat łączący materiał epoki Ludwika XVI z formą japońskich ekranów.

Przez cały prawie wieczór Muszka pozostała w „małym salonie”. Sprytem kobiecym odgadła, iż rywalizować z Dorą Hohensteigen Higmelingen jest dla niej rzeczą niemożliwą. Sytuacja jęj nie dozwalała flirtu i nadmiernego tańca. Obnosiła teraz wszędzie z sobą majestat dyplomatyczny swego męża i wiedziała, że ten majestat będzie zaporą nieprzełamaną w odzyskaniu dawnych sukcesów salonowych. Wolła więc zrezygnować sama i, nie popospolitując się w tanecznem gronie, stworzyć dokoła siebie rodzaj *cerclé*'u, w którym łatwo zająć może

królewskie stanowisko. Chciała zająć miejsce stariej pani Bodockiej w świecie dyplomatycznym i teraz już zaczynała grać swą rolę z nieporównaną zręcznością. W pierwszej chwili nastąpiło pewne zdziwienie, na widok, z jaką łatwością Muszka abdykuje z berła królowej balu, lecz prędko dokoła jój fotelu utworzyło się grono wesołych *causeur*'ów, tych, których dreptanie w tańcu nudzi lub męczy, i którzy, zblazowani na wdzięki dziewcząt, chętnie garną się w kąciuki, w których, jak sygnały łatwej rozmowy, powiewają wachlarze mężatek.

Wielohradzki, przykuty do sali balowej obowiązkaniami wodzireja, tańczył ciągle, lecz coraz więcej wykręcał głowę w stronę małego salonu, z którego chwilami dolatywały go wybuchy śmiechu Pozbitowskiego. W pauzach pomiędzy tańcami widział, iż wiele osób wchodziło do japońskiego pokoju, lecz on, zdjęty zwykłą nieśmiałością, wejść tam nie śmiał. Ludzie ci byli u siebie, pomiędzy sobą, rozumieli się i bawili doskonale wśród porozpinanych po kątach parasoli i fałszywych *kakemonosów* porozwieszanych na ścianach. Lecz on, oprócz tańca, nie miał z nimi nic wspólnego. I obwieszony, jak koń, chomątami kwiatów, orderów i szarf kotylionowych, zaczął w głębi duszy czuć głuchą nienawiść do *nich* wszystkich, tak jak wtedy, gdy w Paprotce czuł się odosobnionym Twardowskim, zawieszonym pomiędzy niebem i ziemią...

Z najwyższą pasją zaczął ustawiać pary do dalszego ciągu kotyliona, przerwanego dzięki Dorze, która, wbiegłszy do saloniku, nie mogła się zdecydować na opuszczenie tego wesołego grona. Wielohradzki stał tuż przy drzwiach, lecz nie chciał nawet na chwilę wejść do téj zalanej potokami czerwonego światła przestrzeni, wśród której odczuwał obecność Muszki.

I nagle, z pośrodką siedzących podniosła się Muszka i chwileczkę zarysowała się sama po nad całą grupą czarnych fraków, ostrzyżonych głów i powichrzonych fryzur kobiecych. Krwawe oświetlenie nadawało jój ramionom i twarzy żółtość kości słoniowej. Całe snopy purpurowych iskier płonęły w koronie jój rubinów. Wielohradzki stał przy progu zmieszany, nie mogąc się cofnąć, patrząc mimowoli na to błyszczące widmo, śmieszny w massie kwiatów, zwieszających mu się na piersi, z blade-zieloną wstęgą wodzireja, związaną na lewem biodrze w preten syonalny węzeł, odpowiedni dla prowincjonalnego tenora.

Muszka podniosła do oczu lornetkę, osadzoną na długiej ręczce, wysadzaną rubinowemi cyframi, i sekundę jedną patrzyła tak na Tadeusza z miną na wpół kokotki, na wpół wielkiej damy, przyglądającej się czemuś dawniej znanemu i uleciałemu ze zbyt krótkiej pamięci.

Wielohradzki odczuł wybornie śmieszność swój

sytuacji i arogancję tego spojrzenia. Odnalazł w niem pannę Dobrojowską, powiększoną rozmiarami pani Maleniowój. Cofnął się w tył, lecz Muszka w téj saméj chwili opuściła rękę i zginęła w tłumie powstających mężczyzn. Równocześnie we drzwiach zjawiała się księżniczka i, śmiejąc się, wyciągnęła jakby do lotu swe prześliczne ramiona.

— *Me voilà!*... — zawołała wesoło.

I w wirze walca dostrzegł jeszcze Wielohradzki, jak Maleniowa z królewską powagą przechodziła przez salon w towarzystwie Orzeckiej i stryja Dezyderego; Maleni bowiem bawił w Wiedniu. Wielohradzki, narażając się na upadnięcie razem ze swą tancerką, przesunął się jednym susem na drugi koniec sali, aby nie znaleźć się na drodze Muszki.

Pani Maleniowa wyszła z salonu i za chwilę Orzecka powróciła sama.

Maleniowa odjechała.

Równocześnie z jéj odejściem ogarnęło Wielohradzkiego podwójne uczucie. Doznał ulgi i uczucia opuszczenia. Bez werwy i imaginacji dokończył kotylicion, skrócił figury i przyspieszył zakończenie. Wyszędłszy na ulicę, szedł chmurny i zamyślony. Wzrok Muszki, jaki padł na niego z po za szybek lornetki, świdrował mu mózg i odnajdywał dawne, zastygłe już klisze. Tego rodzaju spojrzenie panny Dobrojowskiej nieraz już smagało Tadeusza jakąś litościwą ironią. Dlaczego jednak była inną w loży, tak banal-

nie podnieconą, niemal natarczywą? I znów w umyśle Tadeusza powstało pytanie dawne i nierozwiązane: „dlaczego?”

Wchodząc na próg mieszkania, zapomniał o możliwości zastania jeszcze Teci i matki przy pracy. Lecz matka spała ubrana, z kompresami z różanej wody na zboląłych powiekach.

Przy stole na zwykłym miejscu siedziała Tecia, schylona nad falbaną tiulową, w którą nawłóczyła pracowicie wążiuchne różowe wstążeczki. Chude palce dziewczynki bielaly wśród delikatnej tkaniny. Z pod abażuru lampy padał krąg światła na leżące na stole przedmioty i wydobywał zimny srebrny blask z naporstka i nożyczek. Na odgłos kroków Tadeusza, Tecia podniosła głowę. Pewna radość odbiła się na jej zmęczonej twarzy. Przeciągała teraz umyślnie tak długo nocne czuwanie, aby zobaczyć Tadeusza powracającego z balu. Obecnie spaceru ich poranne ustały z nadejściem zimy, a od pewnego czasu Tadeusz okazywał Teci dziwnie kapryśne i nierówne wybuchy czułości, to znów zupełnego zubożenia. Dziewczyna jednak zapamiętała jego gorące pocałunki w chwili powrotu z maskarady. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia przestrawu, uczuła wielką rozkosz, przypominając sobie tę chwilę. I pragnęła, aby się powtórzyła ta sekunda radości. Pracowała na nią noc całą, i gorącą myślą pragnęła ją sprowadzić jak promień wiosenny przyłot jaskółek.

Lecz dnia tego nadzieja Teci doznała zawodu.

Tadeusz, zdjęwszy w przedpokoju palto i kalosze, przesunął się przez pokój jak cień, jak Muszka, i zaledwie skinąwszy głową na uprzejme „dobry wieczór panu!” dziewczyny, zamknął się w swoim pokoju.

VIII.

— Ja kostium swój sprowadzam z Krakowa — wyrzekł Pozbitowski, naciągając palto na plecy. — Przy Floryańskiej ulicy jest hafciarz, który wyszywa wspaniałe kierezye. Będę miał na plecach koguta i dwie kury.

— Sukmanę będziesz miał białą? — spytał Malewicz.

— Nie... granatową atlasową, a ty?

— Ja białą sukienną!

— To źle, będziesz się wyróżniał.

— O to właśnie mi chodzi.

— O co? o co panu chodzi? — pyta po francusku Dora Hohensteigen-Higmeringen.

— O pozyskanie pani serduszka... — odpowiada w tymże języku Malewicz.

Ładna panienska wybucha śmiechem.

— Cóż znowu? jesteś pan przecież narzeczonym!

— Cóż znaczy? Zresztą ja mówię o pozyskaniu pani serca... nie mówię o oddaniu mojego.. To różnica!

Dora śmieje się i ,opiera kształtną nóżkę o podstawę pieca, który sterczy w rogu zimnej i zbyt widnej sali. Białe, długie zasłony zwieszają się melancholijne u olbrzymich okien. Jasno-perłowe ściany przecina gdziegdzie tafla luster.

I wszędzie kinkiety gazowe, wystygłe i zamarłe, całemi gronami zakurzonych winogron sterczą wśród téj zimnej pustki.

Pośrodku sali niewielka grupa ludzi, otulonych w palta, futra, rotundy i żakiety. Wszyscy zziębli, przeskakują z jednej nogi na drugą, mężczyźni, trzymając ręce w kieszeniach, kobiety, tuląc mufki do twarzy. Orzecka, w szarój angorze i popielatym, aksamitnym bereciku, najwytrwalej znosi chłód, zawsze pełna werwy, animuszu i dobrego humoru.

— Zaczniemy raz jeszcze... — woła — no! dalej, dalej...

I podaje rękę Bodockiemu, który, uderzając hołubca, sunie naprzód.

— *Miousic!*. — skrzeczy z pod pieca Pozbitowski.

Lecz już Charłupko mazurowym krokiem zmierza ku niemu i zręcznym ruchem przykłęka tuż u nóg księżniczki.

Panienka podaje mu rękę, odrzuca w tył mufkę, zawieszoną na wstążce, i biegnie na środek sali.

Cienki głos skrzypiec odzywa się z kąta nutą krakowiaka.

Charłupko wyprowadza księżniczkę i obejmuje ją wpół silnym ramieniem dobrze zbudowanego mężczyzny. Ona, wiotka i smukła, w swoim piaszkowej barwy zakiecie, wspina się na palce, pragnąc oprzeć dłoń na jego ramieniu. Za nimi ustawiają się inne pary: więc Starzycka z Malewiczem, druga panna namiestnikówna z Pozbitowskim, Musia Bordnicka z młodszym Baworkowskim, Orzecka z Boddockim, wreszcie, na samym końcu, czarna, wielka, tragiczna postać Kafthana, tańczącego z czwartą panną namiestnikówną. Jest to figiel Malewicza, lecz wielkie zdziwienie ogarnęło klan „kasynowców”, gdy zobaczyli pewien rodzaj zadowolenia na twarzy Kafthana w chwili ogłoszenia mu nazwiska jego tancerki.

Z boku, równając pary, jak oficer wobec mustrujących się rekrutów, galopuje Wielohradzki, ustawia, poprawia, daje instrukcje. Wszyscy słuchają go z nadzwyczajną uwagą. Niemala to bowiem partya do zagrania to „Krakowskie wesele”, które ma wpaść do sali resursy, w której ma odbywać się za tydzień bal na dochód Towarzystwa Magdalenek.

Stara pani Bodocka jest patronesą téj instytucyi. Naturalnie, wpływem swoim i stosunkami stara się uświetnić program tego balu.

Dwanaście par, złożonych z kwiatu *high life'u* lwowskiego, a raczej galicyjskiego, punkt z uderzeniem dwunastój ma wpaść z brzękiem podkówek, z szelestem wstążek i piór pawich, i odtańczyć krakowiaka ze „śpiewkami”. Pierwszą parę stanowić będzie Charłupko z księżniczką, której przypadła w udziale rola panny młodej. Od tygodnia zgrabna wiedenka uprawia się w *pas* krakowiaka i oberka i tańczy teraz doskonale, z nadzwyczajnym wdziękiem i brawurą.

Na Wielohradzkiego spadł ciężar ułożenia tańca i całego baletu. Teraz Tadeusz nie myśli nawet o wymawianiu się od wzięcia udziału w podobnych zabawach. Owszem, porywa go jakiś szal. Odżywa tylko wśród balowej wrzawy. Nigdy tak chętnie nie uciekał z domu i nie śpieszył na bale. Zaczyna ubierać się dwie godziny wcześniej, tak wielką rozkosz sprawia mu sama myśl i przygotowania do nocnej zabawy. Nie odrzuca żadnego zaproszenia. Prowadził już tańce u Baworkowskich i Lubeckich. Lecz fantazyja jego wyczerpała się. Z trwogą widzi, iż nie jest w stanie utworzyć nowój kombinacyi, nakreślić nowój figury. Przeżuwa jeszcze dawne pomysły, strojąc je w girlandy przeróżnaitych nowości, lecz w gruncie

rzeczy dostrzega pustkę zupełną. Nazywa to brakiem natchnienia i zwała winę na matkę i na Tecię, które, jakieś chmurne i milczące, drażnią jego nerwy. Ucieka z domu i przedłuża teraz swoją obecność w biurze. Instynktem zgaduje nędzę i materialne kłopoty, które błakają się, jak cienie, wśród ścian mieszkania. On zaś, cały przejęty oderwanymi myślami, nie chce, nie może zastanowić się nad smutnem położeniem tych dwóch niewolnic, które egoizm jego za nim wlecze.

Z trudem najwyższym, w pocie czoła, zdołał Tadeusz złatać kilkanaście figur krakowiaka.

Po tej wyczerpującej pracy kilka dni chodził milczący, zmęczony, lecz, wbrew dawnemu zwyczajowi, Wielohradzka nie okazała mu zwykłego w takich razach współczucia.

Tadeusz wzruszył ramionami i zdecydował, że matka stanowczo robi się egoistką.

Z ówiartką papieru w ręce, zakreślona różnaitemi gzygzakami, biega Tedeusz po zimnej sali Towarzystwa Muzycznego, w której odbywają się próby krakowiaka.

Biega, cały siny od zimna, w długim, szarawym palcie, z barankowym, czarnym kołnierzem, które daje mu fantazyjną cechę jakiegoś chłopca w świecie, przebranego za dandysa.

Czapka karakułowa, lekko przechylona na ucho,

kryje mu całe czoło. Wełniane, brązowe, w kratę, z pomarańczową barwą, rękawiczki angielskie, niezgrabne, powiększają mu dziwacznie ręce i przedłużają palce.

Nareszcie ustawił równo pary i teraz sam wchodzi w rząd, obejmując szczupłą talię trzeciej panny namiestnikówny.

Chwila uroczystego milczenia, wreszcie głos Tadeusza wzbija się pod brudny i dawno nieczyszczony sufit:

— *En avant!* całe koło! ..

Z szelestem jedwabnych spódnic i szuraniem nóg, pędzą tańczący i na komendę Tadeusza zatrzymują się w miejscu.

Jeden tylko Kafthan zatacza się jak pijany, co wywołuje głośny chichot Malewicza i złośliwe uwagi młodego Baworkowskiego.

Teraz dwójkami, czwórkami schodzą się i rozchodzą ciągle pod komendą Wielohradzkiego, który, zgrzany, z paltem rozpiętym, lata, biega, skacze, woła, piszczy, zaklina, żebrze prawie o trochę uwagi.

Z brwiami zmarszczonymi, z ustami zaciśniętymi słuchają go uważnie panowie i damy, czując całą ważność roli, w jakiej publicznie wystąpić mają.

Godziny upływają za godzinami. Życie pędzi z bezpowrotną szybkością. Wielkie pytanie: co zro-

bileś z czasem? przechodzi bez wrażenia, bez echa.
Z okien pada sinawy cień zachodzącego słońca.
Skrzypce rzempolą z pod serca wiejskiego wydartą
piosenkę. Szmer jedwabnych spódnic i szuranie butów
zagłusza ją prawie, owijając w miejską cywilizacyjną
szarotę. Dusza piosenki ucieka i pozostaje szkielet
baletowego tańca.

IX.

Jak widmo fantastyczne i dziwaczne, tak teraz przesuwała się przed wzrokiem Wielohradzkiego Muszka wśród sal balowych.

Spotkał ją kilkakrotnie, nawet zdołał się jój ukłonić, lecz nigdy nie zamienili już z sobą kilku wyrazów, nawet kilku spojrzeń.

Maleniowa przechodziła teraz mimo Tadeusza, jakby nie знаła go wcale, jakby ten wodzirej, skaczący wśród całej falangi fraków, nie był jój nigdy prezentowany. Znów lodowata, zimna, wyniosła, obnosiła wśród salonów swą wielką piękność i rodowe brylanty Malenich z godnością nieruchomą drewnianego Buddy.

Nigdy w oczach jój nie zabłysł ognik ciekawej gorączki, jaką objawiła w ciasnej przestrzeni łoży. Przesuwała się koło Wielohradzkiego, jak koło lokaja, i znikła zawsze w buduarach, salonikach,

gdzie natychmiast otaczaną była zwykłym swym dworem *causeur'ów*.

Renoma jój tualet dziwnych i niechwytyanych z banalnych świstków żurnalowych rozchodziła się teraz szeroko. Komentowano każdy jój strój, uczesanie, sposób noszenia bransoletek i wachlarza. Na ślizgawce zjawiała się z małą jaszczurką, uczeponą na złotym łańcuszku, tuż przy jój szyi.

Włosy jój, ucerwienione kataplazmami z *Henné*, nabierały teraz prześlicznej złotawo-rudój barwy. Tworzyły dokoła jój twarzy rodzaj świetlanej aureoli i nadawały jój czar, którego niepodobna opisać. Równocześnie rysy za pomocą elektrycznego masażu wyciągnęły się i jeszcze więcej wyszlachetniały. Stawała się teraz powoli kusząco piękną. Patrzyła z pod przysłoniętych rzęs, uczernionych umiejętnie i kunsztownie. W spojrzeniu tém znać było wielką i silną wolę, chwilowe może osłabienie pod wpływem namiętności, lecz osłabienie to skrywane silnie w najgłębszych tajnikach jój charakteru. Gdy przechodziła przez salon, pozostawała po niej smuga niepokoju nadzmysłowego, coś jakby z przejścia upiora wśród nocnej ciszy. Nie zapominała się nigdy, nawet wśród najlżejszój rozmowy, i potrafiła prowadzić ją w ten sposób, że to partner jój, a nie ona, rzucał w przestrzeń lekkie słowa i drażniące myśli. Z całą swobodą i cudowną intuicyą weszła w rolę męzatkki i nigdy nie miała w sobie sympatycznego załę-

knienia nowożeńców. Z mężem obchodziła się obojętnie i zimno, lecz z pewnym rodzajem szacunku. Widocznym jednak było, iż szacunek ten głównie jest oparty na czci dla wysokiego dyplomatycznego stanowiska, które zajmował Maleni. I była tak bardzo przejęta wielkością tego stanowiska, iż nie dopuszczała napozór nawet do niewinnego flirtu.

Postępowanie jój było *correct* w całym słowach tego znaczeniu. Ciągnęła za sobą *massy*, uwielbienie tłumu, lecz zdawała się nie czynić żadnego wysiłku, aby to uwielbienie pozyskać. I tak, jak umiała nosić brylanty, tak samo potrafiła już zaznaczyć swą odrębną wartość moralną wobec świata. Zdawało się, że wzięła za dewizę „*ne touchez pas à la reine*” i, zastawiwszy się tarczą tej królewskości, od pierwszej chwili czyniła wszystko, aby nawet cień podejrzenia nie przesunął się po jój imieniu.

Zdawała się nie spostrzegać, iż ten jój chłód i wyniosła poprawność działają podniecająco na każdego *professional lover'a*, który się do niej zbliżył. Wśród gorączkowej wesołości i dziwacznej atmosfery podniecenia, jaką dokoła siebie wzbudzała, nie śmiała się nigdy, z głową cokolwiek spuszczoną na piersi, z ustami nawpół rozchylonemi. Zdawała się analizować, badać tych ludzi, myśleć o nich całe zagadkowe światy. W gruncie rzeczy

jednak nie myślała wiele, tylko czuła, iż wzięcie udziału w ogólnej rozmowie zatraci w niej czar wyodrębnienia. I zdawała się szydzić, być z nimi, lecz nie ich, uciekać duchem w chwili znudzenia, powracać i krążyć dokoła, jak ptak widmem nocem spłoszony. Ci wszyscy „koniarze” i jej rówieśnice nie zdawali sobie dokładnie sprawy z tego, co czuli w jej obecności, lecz, gdy odeszła, gdy była od nich daleko, powracali ciągle myślą do jej postaci, do wyrazu jej ust rozchylonych, płowych barw jej sukien i jej milczenia, ciągnącego ku sobie, jak tafla stojącej wody.

Tymczasem w karecie, wiozącej Maleniową w stronę mieszkania Dezyderego, który młodą parę „na karnawał” pomieścił u siebie, młoda kobieta, otulona w puch futra, siedziała napozór spokojna i zmęczona.

Lecz szczęki jej zaciskały się nerwowo tak silnie, że usta wyginały się w podkowę fatalnego grymasu. Był to jedyny objaw, iż nerwy w niej nie zmartwiały zupełnie, i kobiecość, zbudzona małżeństwem, nurtowała teraz bogactwo sił jej młodości.

Powóz się zatrzymał i w świetle latarni stojący przy drzwiczkach lokaj oglądał już martwą maskę swjej pani, zwykłą maskę egzotycznej lalki otulonej w delikatną miękkość jedwabnego, podbitego pluszem kapturka.

.

Moralnie była to najdoskonalsza i typowa panna, dobrze wychowana i dobrze urodzona. Nie była ona ani lepszą ani gorszą od tych, które razem z nią tańczyły kotyliona. Wiedziała, iż na świecie jest nędza, i że ci, którzy mają dużo, powinni być „miłosierni”. W wielki post robiła powijaki i włóczkowe kaftaniki dla ubogich dzieci. Lecz to, co posiadała, *należało się jój* wedle jój pojęcia. Z nowych prądów nie znała ta kobieta nic i znać nie chciała. Czytała Lottiego, Bourgeta, Stendhala i tych autorów polskich, którzy u nas funkcję podobną w literaturze spełniają. Przerzuciła raz „Eve future” Villiers de l’Isle Adam’a, i nie zdziwiła się nawet, że nic nie rozumiała z tych genialnych myśli. Gdy była we Włoszech, Botticelli i Piotr del Santo pociągnęli jój wzrok czystością prawdziwego artyzmu, lecz nie zatrzymała się przed nimi, gdyż całe towarzystwo szło podziwiać woskowe gabinety naśladowców Rafaela. Ciągnęły ją ku sobie tęsknice ruskich piosenek, lecz zadawała gwałt swój duszy, udając, że lubi... Masseneta.

I we wszystkim i zawsze ta kobieta czyniła sobie przymus ciągły, bezustanny, regulując (teraz zwłaszcza) swe słowa, ruchy, czyny, stroje, niemal myśli, do składu galeryi widzów, która ją otaczała.

Kolory lila i blado-zielony sprawiały jój oku przyjemność. Wzrok jój lubował się w tych barwach, lecz wygnała je ze swój tualety, gdyż były

za mało... imponujące. Wszystkie jej stroje składały się z kombinacji rudawo-złotej, tak, jak jej włosy, które zmusiła do odblasków gorącego kruszcu, błyszczącego w promieniach zachodzącego słońca. I często, znużona krwawą spalenizną swego stroju, szukała oczyma jakiegś blado-liliowej sukni i oczy jej odpoczywały, a cała istota nabierała pewnej harmonii i spokoju.

Z miną królowej i władczyni była niewolnicą swjej własnej podłości, lękliwiej, płaszcząc się przed potworem „konsyderacyi” światowej.

Ujęta niewolą konwenansów, obnosiła z sobą trupa siebie samej, maryonetkę nakręconą według pewnej modły, i ten trup, ta lalka zrosły się już tak dobrze z nią samą, iż ona nawet czuć przestawała, co było w niej fałszem a co prawdą.

Nie mając ani okruszyny wiary, modliła się długo i często, nawet wtedy, gdy była sama. Czytała gorliwie modlitwy, nie pozwalając ani jednej własnej myśli przesunąć się przez umysł. Z uczuciem ulgi zamykała książkę i wstawiała z klęcznika już zupełnie obojętna i mistycznie wystygła, przekonana, iż w chwili modlitwy była zupełnie *correcte* i zachowywała pozory szczerości.

Widziała przed sobą życie długie i wygodne, jak drogę słoneczną i dobrze utrzymaną. Ona, na koźle *mail-coach'a*, powoziła czwórką materyalnego, dyplomatycznego, światowego i moralnego powodzenia.

Mąż jój od czasu do czasu kierował lejce lub podcinał leniwszego rumaka. Za nią, jak dwór królewski, ciągnęły inne ekipaże karyerowiczów, biegnące także do celu Wszechzadowolenia. Lecz ona trzymała ciągle czoło téj wyścigowej linii i nie miała nigdy zamiaru dać się wyprzedzić komukolwiek na galicyjskim torze. Raczej przejechać po trupach, niż pozwolić się zdystansować w tém *steep-le-chase*. Nie lubiła Wiednia, gdyż tam wobec arcyksiężniczek musiała schodzić na plan drugi. Woląła wypełniać ciasnotę parafialną Lwowa majestatem swój piękności i stanowiska.

W gruncie rzeczy była to natura zmysłowa i prosta, ładnie artystyczna, lecz spaczona w kierunku aryzmu banalnością powszednią. Dobrojowscy byli świeżo upieczoną arystokracją galicyjską. Pochodzili z małomiasteczkowych łąków. W Muszce gorzał temperament dobrze rozwiniętej rusinki, mozolnie doprowadzonej do anemii dobrobytem i pozorem cywilizacji.

Niemniej przeto w trupie téj kobiety-karyerowicza żyła kobieta prawdziwa, żywa, pełna jeszcze sił niezamarnowanych i chcących być spożytkowanymi w jakimkolwiek kierunku. Nieprzytępione pracą intelektualną, rwały się w stronę zmysłów i budziły w niój przecucie wielkich a niedozwolonych rozkoszy. Lecz nawet i w takich chwilach Muszka pamiętała o godności dyplomatycznej, jaką mąż jój piastował.

Nie mogła i nie chciała poniżyć się do zbliżenia z kimś¹ nie należącym do jęj świata. Ostrożność tę przed wystawieniem na śmieszność Maleniego dyktowała jęj pycha i ambicya wygórowana.

Tadeusz nie należał właściwie do „świata” i nie liczył się.

Dlatego téż...

X.

Rozpacz ogarnęła Tadeusza na myśl o zbliżającym się balu.

Nie miał kostiumu, a codziennie słyszał w biurze i na próbach o cudach, jakie miały być wyszyte na kierezyi Pozbitowskiego, o butach Malewicza, o brzękadłach Kafthana.

On jeden pomiędzy nimi wszystkimi nie zajął się swym strojem, i to go doprowadziło do rozpacz. Kilkakrotnie już chciał pomówić w tej sprawie z matką, lecz Wielohradzka, zgnębiona jakaś i chmurna, nie zachęcała go ani słowem do rozpoczęcia tej rozmowy.

Raz nawet, gdy Tadeusz, z pewną nieśmiałością, zawiadomił ją o wzięciu udziału w owym krakowiaku, o którym teraz cały Lwów mówił, Wielohradzka wzruszyła ramionami i zacięła usta, szyjąc z podwójną gorliwością.

— I cóż? — pytał Tadeusz, przybierając swe

dawne kocie miny — mameczka nie cieszy się, że Tadzio przed starą panią Bodocką zaaranżuje krakowiaka.

Wielohradzka milczała chwilę, wreszcie odparła:

— Cieszę się... ale...

— Ale co?

— Ale myślę, co począć.. Zimermanowi nie zapłaciłam dwóch rat... Żyd dość grzeczny, ale dziś bardzo stanowczo zapowiedział mi, że dłużej czekać nie będzie.

Wielohradzki porwał się z krzesła i zaczął szybko chodzić po pokoju. Ta nędza materyalna doprowadzała go w tej chwili do szaleństwa. Czuł, iż stracił w matce sprzymierzeńca swych pierwotnych uciech. Zły i gniewny, ze zmarszczką na czole, nie chodził, lecz biegał po wąskiej szufladzie pokoju, jak zwierzę zamknięte w klatce. Nagle zbliżył się ku matce i stanął przed nią.

— Mateczko. . — wyrzekł, hamując się z wysiłkiem — ja muszę być na tym balu, ja muszę mieć kostium!...

Wielohradzka nie podniosła oczu, nie przestała szyć, lecz powieki jęj szybko migotały, jak spłoszone motyle.

— Ja... przyrzekłem pani namiestnikowój!... — kłamał Tadeusz, widząc matkę nieruchomą i nie entuzjazmującą się bynajmniej na stanowczy ton jego mowy.

— Przynależem pani namiestnikowej, a co ważniejsza, tańczę z jedną panną namiestnikówną. Mama rozumie, że nie mogę zrobić afrontu i w ostatniej chwili powiedzieć, iż nie mam sobie za co sprawić kostiumu.

.
— Dzień dobry pani! — mówi, nie wstając z miejsca. — Pani daruje, że nie wstałam, ale się ugrzewam. Stara jestem.

— Proszę, niech pani Pake siedzi — uspokaja ją Wielohradzka i zaraz przystępuje do kwestyi zaciągnięcia nowej pożyczki, tak, jakby chciała odrazu z serca swego zrzucić ciężar, który ją przytłacza.

Lecz pani Pake kiwa głową i marszczy się cała, jak stara cytryna.

Nowa pożyczka?... to trochę trudno... ta jeszcze nie spłacona... Przytem ona wie, że Wielohradzka jest bardzo godna osoba, tylko, że ma duże długi, i to po rozmaitych miejscach. Jakże pani Pake może jeszcze pożyczyć?

Wielohradzka, przeziębła chłodem, panującym w sklepie, stoi widocznie znużona i wyczerpana. Opiera się o kontuar i nie widzi nawet, że subjekt podsuwa jęj trójnożny zydelek.

Pani Pake kładzie i zdejmuje mitynki, kiwając wciąż głową.

— Mnie pani żal — mówi znów powolnym głosem, a słowa jęj padają w zimną ciemnię sklepu, jak krople wody na lodową powierzchnię — ale co pani mi

daje za gwarantowanie? Pani nie ma żadnych nieruchomości.

— Mam meble...—wtrąca nieśmiało Wielohradzka — mam maszynę...

— Ech! — odpowiada lekceważąco stara żydówka — meble, to jak meble... co tam za wartość?... a maszyna? pani ma Singerówkę? a co to teraz znaczy? byle stróż dostanie Singerówkę na raty!... Ajaj!

Siedziała wciąż skurczona po za kontuarem i za ledwie czubek jój głowy było widać. Słysząc było tylko jój głos leniwy i matowy. Wielohradzka oparła się teraz obiema rękami o kontuar i czuła się coraz więcej znużoną i zziębłą.

— Ale ja pani co powiem... — podjęła znowu żydówka — mnie żal, że taka godna osoba z paskudnymi takimi żydami, jak Zimmerman, się opędza.. ja od pani nabędę wszystkie długi i pani mnie weksel podpisze.. od téj pory pani będzie mieć ze mną do czynienia...

Wielohradzka doznała olśnienia.

Było to jój marzeniem pozbyć się tych drobnych dłużników, przed którymi teraz zaczynała się kryć i lękać się ich zjawienia. Z wdzięcznością spojrzała na szal, w którym się kryła jój wybawicielka.

— Ale się pani musi na coś zgodzić...—ciągnęła pani Pake—ja pani meble i maszynę zajmę i do pani użytku zostawię... To dla pewności dla moich sukcesorów... bo ja pani wierzę, ale to dla sukcesorów...

Wielohradzka brwi zmarszczyła.

Wejście urzędników, opisujących meble, taksatora, téj całej czarnej bandy, stanowczo kompromitowało ją w oczach całego domu.

— Te panowie...—mówiła pani Pake—przyjdą sobie raniutko, i to po jednemu, ażeby nie było gwałtu i żeby ludzie w kamienicy nie wiedzieli. Po co kto ma wiedzieć? Nawet stróż nie będzie wiedział, do kogo oni idą...

Wielohradzka uspokoiła się. Skoro nikt nie będzie wiedział, co jój szkodziło przejść tę prostą formalność?

— Pani mi spiszc, co komu winna, a ja się z nimi ułożę... — ciągnęła — później pogadamy o procent...

— A da mi pani Pake trochę gotówki?

— No!... a ile pani potrzebuje?

— Siedemdziesiąt guldenów.

— Aj, aj!... takie wielkie pieniądze... I na co to pani, kiedy ja długi zapłać?

Wielohradzka nie odpowiedziała ani słowa. Wstyd jój było przyznać się, że za te pieniądze chce sprawić kostium krakowski synowi.

— Ja dam pani pięćdziesiąt, pani mi da podpis na sto i zapłaci mi pani ratę co miesiąc po dziesięć guldenów... Dobrze?...

— Dobrze!... — odparła Wielohradzka.

— Niech pani mi te liste dłużników napisze. Subjekt! daj wielmożnej pani pióra i papieru, a prędko.

Za chwilę Wielohradzka, siedząc na zydelku, spisywała zziębłą ręką:

Zimmermanowi.	guld.	240
W rynku za podszewki.	„	23
Na Krakowskiej za pasmanterye	„	8
U lampiarza	„	3
U szewca	„	14
Za nici, igły, fiszbiny	„	2—40 cent.

I dalej szła ta litania długa, nieskończona, znacząc dzień po dniu coraz większy upadek nędzy powszedniej.

Wielohradzka pracowicie przypominała sobie te drobiazgi i od czasu do czasu wzrok jęj zaćmiony zatrzymywał się w kącie, w którym czerniła się chustka okrywająca panią Pake i jaśniał wązki pasek jęj czoła.

W kącie subjekt, przyzwyczajony do scen tego rodzaju, z chłodną obojętnością przypatrywał się wytartym tumakom Wielohradzkiej i dziwił się w duszy: dlaczego pani Pake wchodzi w taki duży interes z taką bardzo „znędzoną” osobą?

Gdy Wielohradzka w pół godziny później wyszła ze sklepu, niosła paczkę, w której znajdował się granatowy atlas i purpurowy aksamit.

Przeszła ulicę i wszedłszy do sklepu, w którym sprzedawano szych i świecidła, kupiła znaczną ilość blaszek, złotych nici, świecideł i frendzli.

Znużona i zziębła powróciła do domu.

Stare żydówki siedziały ciągle przed bramami domów lub na stopniach sklepów, odziane w perłowe bindy i z garnkami węgla, ukrytymi w fałdach szerokich spódnic.

Na środku ulicy krzyczały dzieci o płomiennych ustach i czarnych jak onyksy oczach. I tylko słońce teraz prawie znikło zupełnie i znaczyło się zaledwie bladą żółtą plamą. Po ziemi kłęby pary marzły i z liliowych robiły się sine.

W oddali, na rynku, na ratuszowym zegarze biła powoli czwarta godzina.

XI.

Nigdy jeszcze z takim niepokojem nie ubierał się Tadeusz, jak w dniu balu kostiumowego.

W wigilię przymierzył buty, a w czapce z pawiem piórkami jadł obiad i pił herbatę. Mówił, że to dlatego, aby włosy uleżały się dobrze pod barankiem i aby przyzwyczał się do noszenia tego stroju z fantazyą i z chłopska. Był w doskonałym humorze, lękał się tylko, czy matka i Teczka wykończą haft kierezyi na czas i czy haft ten będzie dosyć bogaty.

Teczka nie kładła się już czwartą noc z rzędu. Oczy jej zapuchły od ciągłego patrzenia na świecące nici, a palce miała nabiegłe krwią i obrzmiałe. Widząc jednak, jak gorączkowo Tadeusz pragnął, aby jego kostium był najpiękniejszy, postanowiła dogodzić jego kaprysowi i wszelkimi siłami starała się zadowolnić jego wymagania. Wielohradzka niewiele jej pomagała z powodu swych osłabionych oczów. Cały więc ciężar pośpiesznego zrobienia kostiumu spadł na Teczka.

Lecz rozkochana dziewczyna dumną i szczęśliwą była z téj misyi, szczęśliwą podwójnie, gdyż Tadeusz siadywał teraz przy niej często i długo. Wprawdzie nie mówił nic, a gdy matka wyszła, nie korzystał tak, jak dawniej, aby dręczyć ją, tyranizować, a potem pociągać ku sobie pozorami dobrego słowa; lecz dla niej już sama jego obecność wystarczała i była serdecznem zadowoleniem. Nie kierezyę, lecz sto metrów aksamitu wyszyłaby chętnie szychem i krwią swoją, byle przedłużyć tę chwilę obecności Tadeusza przy swym boku.

A jednak pomiędzy tém dwojgiem zapanowała znów atmosfera przymusu i czegoś sztucznego, nienaturalnego, co krępowało usta i wzrok Teci, dławilo ją i głowę, jak pod jarzmem, chylic kazało.

Był to zapewne wzrastający egoizm Tadeusza, który coraz szerzej rozpościerał swoje skrzydła, dusząc objaw wszelkiego innego istnienia. Tak szerokie miejsce zaczynał zabierać ten człowiek, że obok niego nie było już nawet kąta na cudze myśli i czyny.

W dniu balu od zmroku pozapalał lampy i świece, które, w braku lichtarzy, pozatykał w butelki. Przyszedł z miasta już lekko ufryzowany i obwinął sobie głowę białym fularem z obawy, aby podczas zakładania kostiumu kunsztowne pukle nie rozleciały się i nie rozwinęły.

W ciasnej przestrzeni pokoiku płonęła ta iluminacja dziwaczna, gorejąc dokoła lusterka, szczotek,

flakoników, pilników i nożyczek. W sekrecie uczernił sobie trochę brwi i lekko upalonym korkiem podsinił oczy, aby wydać się bardziej interesującym. Gorączka paliła go całego. Kierezya była jeszcze niewykończona, a zegar wskazywał pół do dziewiątej. Krakowiak miał być wykonany o północy, lecz Tadeusz drżał cały z niecierpliwości, chcąc zobaczyć całość kostiumu.

W kuchni Wielohradzka odprasowywała atlas sukmany. Tecia, zgięta we dwoje, niemal nieprzytomna ze znużenia, kończyła obszywać kierezyę złocistą frendzlą.

We drzwiach zadzwoniły podkówki i stanął Tadeusz w bucikach i jedwabnych czerwonych spodniach, z paltotem, narzuconym na plecy.

— I cóż? — zapytał.

— Zaraz .. za kwadrans — odparła Tecia, nie podnosząc głowy.

Tadeusz wrzasnął przeraźliwie:

— Za kwadrans!... Niech panna Tecia lepiej powie, że i za godzinę się nie wyguzdrze... Boże mój, Boże! Już ja widzę, co to będzie...

Ręce dziewczyny drżały na tle purpurowego aksamitu.

— Niech pan będzie spokojny! — odparła półgłosem.

Lecz on jak trąba powietrzna przeleciał przez pokój i wpadł do kuchni. Wielohradzka szukała

w ognisku duszy i przerażona odwróciła się, trzymając pogrzbacz w rękę.

— Co się stało? — spytała.

— Jakto, co się stało? Kostium nie gotów i nigdy nie będzie skończony. Niech mamcia mi da sukmanę.. pójdę bez kierezyi. Najem się wstydu, ale obowiązek przedewszystkiem.

— Jakto? Przecież Teczia kierezyę wykończa...

— Ach! Ta mamina miła Teczia na złość mi nie chce skończyć kostiumu; ja wiedziałem, że tak będzie..

Wypadł z kuchni i znów wleciał do swego pokoju. Włożył na głowę czapkę, i to go zajęło przez chwilę. Usiadł przed lustrem i przyglądał się sobie z uwagą. Sam nie wiedział dlaczego, lecz na ten bal liczył, jakby na jakiś ważny wypadek w swem życiu. Znał lokal resursy i wiedział, że niema w nim postronnych buduarów i gabinetów. Muszka zatem musi pozostać w ogólnej sali i patrzeć na niego, gdy tańczyć będzie. Porwał się z krzesła i, odrzuciwszy palto, zaczął ciąć hołubce. Szło mu dobrze, podkówki dzwoniły rażno i żywo.

Zegar wybił dziewiątą.

Na ten głos Tadeusz drgnął i znów się ku drzwiom rzucił.

— Ja panie proszę dać mi ten kostium, taki, jak jest!... — zaczął wołać rozpaczliwie — proszę... bo chyba oknem wyskoczę!...

Tecia porwała się od stołu, Wielohradzka wpadła z kuchni z sukmaną w rękę.

Obie podbiegły do rozkrzyczanego mężczyzny. Lecz on w paroksyzmie wściekłości nie widział podawanego stroju, lecz krzyczał ciągle, bijąc pięściami o drzwi:

— Chyba oknem wyskoczę!..

Tecia i Wielohradzka zamieniły z sobą porozumiewawcze spojrzenie. Oczy Wielohradzkiej zaszyły łzami. Nic nie mówiąc, położyła na krześle sukmanę i wsunęła się za parawan. Tecia wzięła sukmanę i kierezyę i weszła do pokoju Tadeusza, odsuwając go dziwnie silną ręką od progu.

— Proszę pana! — wyrzekła zdławionym głosem — oto wszystko gotowe!...

Podniosła oczy i spojrzała mu teraz prosto w twarz, lecz spojrzenie to było dziwne, badające i w gruncie chłodne. Długą chwilę oczy dziewczyny zatrzymały się na lalkowatej twarzy mężczyzny i wreszcie znów znikły pod nabrzękłymi powiekami.

I milcząc, Tecia wyszła z pokoju, po raz pierwszy od bardzo dawna trzymając podniesioną głowę.

Tadeusz zaczął się ubierać, cokolwiek zmieszany i ostygły w swym gniewie. Panująca w drugim pokoju cisza drażniła go niewypowiedzianie. Ubrał się szybko i nagle w jasności świec zabłysnął jak kosztowne cacko, ładne i jaskrawe. Strój ten, zmanierowany i teatralny, upiękuszony kosztownością mate-

ryalów, z których był zrobiony, doskonale nadawał się do jego lalkowatęj urody wypieszczonego panicyka. Gdy zapiął pas, zarzucił kierezyę, błyszczącą, jak słońce, od haftów, złotych i srebrnych blaszek, a na lekko pokręcone włosy włożył czerwoną czapkę z pawiem piórkiem i pękiem różnokolorowych wstążek, ładny był jak malowanie, i czuł to sam wybornie, przybierając plastyczne pozy i biorąc się z delikatną rubasnością pod boki.

Spojrzał na zegar.

Było zaledwie wpół do dziesiątej. Miał jeszcze przed sobą godzinę czasu, i teraz, gdy już był ubrany, nie wiedział, co z tą godziną zrobić.

Usiadł na krześle i nadstawiał ucha, chcąc posłyszec teraz głos matki albo Teci.

Lecz cisza była zupełna. Nawet Tecia musiała już pójsc do domu, gdyż nie slychać było łoskotu maszyny, ani szczęku jęj nożyczek.

Znudzony, spojrzal dokoła i na półkach ujrzał grubą w żółtęj oprawie książkę.

Machinalnie sięgnął, otworzył i zaczął czytać po francusku:

Nagle zabłysnął cały pałac od niezliczonych światel, drzwi środkowe otworzyły się i jakaś kobieta, córka Hamilkara, okryta czarnemi szaty, ukazała się na progu.

Salammbô!

Przypomniał sobie swój powrót z Concarneau, tę książkę czytana w wagonie wśród gorączki rozsta-

nia, późniejsze swe sny fatalne, dręczące, w których widywał Muszkę jako ową Hamilkara córkę.

I znów czytać zaczął.

Jéj włosy, posypane piaskiem fioletowym, zebrane były wysoko na wierzchu głowy, według mody chana-eńskich dziewic. Sznury pereł, uczepione u jéj skroni, spadały aż do kącików jéj ust, różowych, jak granat na wpół otwarty. Na piersi miała cały zbiór drogocennych klejnotów, lśniących jak łuski rybie. Jéj ramiona, pokryte dyamentami, występowały nagie z fałd tiuniki bez rękawów, ugwieżdżonych purpurowemi kwiatami na tle czarnego jedwabiu.

Zamknął książkę i chwilę długą siedział, przedstawiając sobie Muszkę w tym stroju. Zwłaszcza kask jéj rudych włosów, posypanych fioletowym piaskiem, dokładnie rysował się przed jego oczami.

Wybiła jedenasta.

Wielohradzki zerwał się i narzucił płaszcz na ramiona. Wbiegł do pokoju matki, lecz Wielohradzka spała, oddychając ciężko. Po raz pierwszy może nie obejrzała stroju syna idącego na bal, nie pożegnała go zwykłym: „baw się dobrze, moje dziecko!”

Wielohradzki chwilę stał na środku pokoju, wahając się, czy zbudzić matkę, przeprosić i pożegnać.

Lecz śpieszył się, a przytem czuł, iż od téj matki, która oddycha tak ciężko tam, po za parawanem, nie pozyska zbytniego zapasu dobrego humoru na przebycie wieczoru. Nie była to już owa „mamuś” dawnych czasów. I szybko zbiegł ze wschodów,

czując do matki żal, iż tём zmęczeniem swoim, smutkiem, skłopotaniem psuje mu dobry humor, zabawę... wszystko. Stróż zawołał mu sanki, i cała gromada sług, stojąca w bramie, doznała olśnienia na widok kostiumu, przebłyskującego w fałdach płaszcza.

Z wielkim szykiem i elegancją Tadeusz, pod pozorem naciągnięcia okrycia, odkrył przed tём niewykwintnem gronem przebogactwo swego stroju i, brzękając podkówkami, przeszedł przez bramę z czołem podniesionem dumnie.

Sanki ruszyły z miejsca, a sługi chichotały się, trącąc łokciami:

— A to się wyczupurzył... chi! chi! chi!...

— A sługi nawet nie mają.

— A żydy do nich wciąż po raty chodzą!...

— A jak to chodzi, jak gąsior, co stado wodzi!...

— O joj! o joj!...

Lecz stróż zgasił gaz i ćwierkające grono, okryte derami chustek, rozpierzchno się po ciemnościach klatek wschodowych.

XII.

Na estradzie, pokrytej purpurowem sukniem i udrapowanej białym i różowym muślinem, siedzi stara pani Bodocka w fioletowej aksamitnej sukni.

Na głowie ma brylanty, na rękach ma brylanty, na piersiach ma brylanty, na szyi ma brylanty, w uszach ma tak wielkie brylanty, że aż dwa druciki, założone za włosy, podtrzymują te olbrzymie kule, z obawy, aby uszy magnatki nie przerwały się wskutek tego ciężaru.

Oświetlenie jaskrawe, elektryczne, zapala czarodziejskie blaski w massie tego skryształizowanego węgla. Na tylniej ścianie gobelin, zielonawy, przygasły, służy za doskonale tło dla uwydatnienia promieni tego słońca. I wzrok każdego wchodzącego do sali balowej ciągnie ta światłana masa, rozsypująca dokoła tęczę ogni i blasków. Siedząca obok namiestnikowa, księżna Ponikwicka, Małężyna i inne gasną zupełnie ze swą wystawą turkusów, szafirów, pereł i opali.

Brylanty swym blaskiem zabijają wszystko, mając w sobie jakąś okrutną czystość skoncentrowanych lez nędzarzy całego świata.

Dokoła sali bieżną galerye, drapowane biało i różowo, ubrane zielenią i pękami storczyków.

Filary podpierające te galerye mają na sobie plisowane powijaki różowe i gałęzie bluszczów, czerniące się na tém tle przejrzystem. Jest to banalna cukierkowa dekoracya sal balowych, ubranych gustem tapicerów o ciasnej estetyce, i mająca w sobie sentymentalną miękkość tualet z czasów drugiego Cesarstwa. Jedynie tylko estrada, na której siedzą damy *patronessy*, udrapowana jest tkaninami kosztowniejszemi, pożyczonemi przez Dezyderego, lecz zawsze trzymanemi w tonach różowych, srebrnych i białych. I cała ta sala wygląda jak wielka sypialnia młodej dziewczyny, przystrojona na wigilię ślubu.

Na galeryach tłok i wrzawa. Całe mieszczaństwo lwowskie, to uboższe, które nie mogło zdobyć się na kostiumy, wypełnia ciasne przestrzenie ganku, tłoczy się na ławkach i przybywa ciągle, bezustannie garnirując ściany mozaiką twarzy rozplywających się w téj górnej wyżynie, jak gamma chromatyczna plam o mglistych i niewyraźnych barwach. Gdziegdzie migoce jasna toaleta kobiety, biały puch atlasowej *sortie de bal*, okrywającej zazdrośnie szczuple ramiona młodej panienki. Przeważnie jednak toalety są ciemne, surowe, wełniane. Wszystkie lornetki skie-

rowane są na brylanty pani Bodocekiej. Nazwisko magnatki przebiega z ust do ust. Dają się słyszeć okrzyki podziwu, westchnienia, wykrzykniki. I znów wszystko tonie w ogólnym szmerze rozmowy lub w dźwiękach orkiestry, grającej tuż po nad estradą, po za szpalerem oleandrów i świeżo rozkwitłych kamelii.

W sali na dole, pomimo stosunkowo dość wczesnej pory, niemal pełno, a strojnie i błyszcząco od różnokolorowych kostiumów. Mężczyźni przeważnie we frakach czerwonych, niebieskich, liliowych, z białymi kwiatami w butonierkach. Niektórzy zarzucili domina. Jakiś czarnogórzec kręci się, odziany w swą baletową spódniczkę. Clown, wielce elegancki, żółty, atlasowy spaceruje z miną karawaniarza. Gdzieś gdzie czarne fraki kładą żalobną nutę. Lecz już akord wesoly kostiumów kobiecych rozjaśnia wszystko.

Właśnie osiem par bogatęj burżuazyi skończyło tańczyć pawana w strojach z czasów Henryka II-go. Rozchodzą się po sali—kobiety w białych i błękitnych atlasowych sukienkach z bufiastymi rękawami, mężczyźni w jedwabnych trykotach i niebieskich krótkich płaszczykach. Jak stado ptaków o lazurowych skrzydłach, krążą wśród łąki jaskrawych kolorów. Na tę brutalną nutę składają się przeważnie cyganki, których jest kilkanaście, odzianych szkarłatnie, i Carmencitty o mocno różowych spódniczkach.

Jakiś torreador w ciemno-czerwonym ubiorze kręci się wśród tego grona. Lecz już ostra czerwień złagodzoną i przyémioną zostaje przez blado-zieloną barwę stroju kilku pań, idących menuetowym krokiem i trzymających się z gracyą za ręce. Są to przeszliczne *merveilleusy* i towarzyszący im *incroyables*. Długie, opięte suknie kobiet owijają kształtne i smukłe ciała. Na ramionach bufy, stan krótki, kończący się pod piersiami. Na głowach blond peruki i wielkie kapelusze gazowe w kształcie bud, przewiązane wstążką tuż pod linią brody. W rękach trzymają *ridicul'e* z téj saméj, co i suknie, materyi. A materya to dziwna, cienka, pajęczna, elastyczna, blado-zielona, w wielkie róż bukiety. Mężczyźni, którzy towarzyszą tym *merveilleusom*, mają na sobie surduty z tego samego jedwabiu, żaboty, krótkie żółte kamizelki, pończochy i trzewiki ze sprzączkami; na głowach peruki i wielkie trójgraniaste kapelusze. Duże bukiety róż wonieją w ich dłoniach. I wszyscy ci ludzie są młodzi, ładni, smukli, kształtni: noszą dobrze swe kostiumy i mają w sobie delikatną gracyę figurynek z saskiej porcelany. Jak klomb róż i bladych liści, klomb ruchomy, płyną wśród tłumu, uśmiechając się łagodnie. Na galeryi szepcą ich nazwiska. Są to przeważnie synowie i córki bogatych kupców miejscowych. Najpiękniejsza jest żydówką, ten ostatni, rosły i ładny chłopiec—synem właścicielki fabryki fortepianów. Wszystko to są dzieci Lwowa,

wyrośle na miejscowym terenie, i galerya czuje się dumną z ich urody i wdzięku.

Nowy gwar i tłum przy wejściu. To malarze, rzeźbiarze i teatr wchodzą parami, jako „Wesele Skrzetuskiego”. Ostrogi brzęczą, pióra skrzydeł kołyszą się w przestrzeni. I wszystkich oczy zwracają się na Hanusią Borzobohatą i na pana Zagłobę, który toczy się powoli, założywszy ręce za pas złotolity. Orszak obchodzi powoli i przed estradą czyni niskie pokłony. Stara pani Bodocka kiwa głową, brylanty dzwonią, jak grzechotki u sanek. Wesele przechodzi i znika pod ścianami, mieszając się z resztą kostiumowanego tłumu.

Teraz już pełno w sali, pełno i tak barwnie, iż oko widza barw tych nawet rozróżnić nie może. Błękit, zieleń, purpura, złoto i biel—wszystko miesza się razem, tworząc chaos puszczonego w ruch parteru kwiatów. Olśniewający blask elektrycznych promieni zalewa ten akord barw srebrzystą kaskadą. Brylanty, hafty, dzety, paciorki migocą; gazy, przetykane srebrem i złotem ciągną w powietrzu. I z téj całej błyszczącej massy podnosi się powoli żar, przesycony zapachem perfum, kwiatów i rozgrzanych ciał kobiecych. Atmosfera staje się podniecającą i niezdrową. Ludzie siedzący na galeryi doznają upojenia, i oczy ich, mimowoli znużone, cofają się w cień. Nagle dwunasta uderza, i orkiestra z werwą rozpoczyna skoczną przegrywkę. Gospodarze balu roz-

suwają tłumy i, trzymając się za ręce, tworzą łańcuch, formujący puste miejsce u stóp estrady.

— Krakowiak! krakowiak!... — wołają wszyscy.

Na galeryach kobiety powstają, przechylają się przez balustradę. Inne wołają: „siadać!” i wchodzi na ławki. Ogólny ruch, hałas się wzmacnia. Ten krakowiak, tańczony przez arystokrację, to *great attraction* całego balu.

Tymczasem drzwi, prowadzące do sekretaryatu a dotychczas zamknięte, roztwierają się na rozcież i słychać przez chwilę brzęczenie podkówek.

Wszystkie głowy zwracają się w tę stronę. Chwilę panuje zupełna cisza, w której donośnie rozbrzmiewają dźwięki orkiestry, i ten brzęk niewidzialnych podkówek, fantastyczny i irytujący.

I nagle, jak bukiet wspaniałych fajerwerków, wytryska ze drzwi masa takich oślepiających barw i złotych iskieł, że patrzący doznają chwilowego olśnienia. Lecz już wąż tańczących biegnie przed estradę z hukiem, szumem i krzykiem. Spódnice kobiet, okolone purpurowymi wężami wstążek, wiewają szeroko. Wieniec na głowach szeleszcza, wstążki migocą w powietrzu. Mężczyźni błyszczą cali od haftów i blaszek, pawie pióra mienią się tęczowemi barwami w jasności elektrycznej kaskady.

W pierwszą parę pędzi Charłupko, w białej sukmanie, czerwonej kierezyi, rosły, wielki, barczysty, z fantazyą udający nieźle chłopskie zacięcie.

Uczepiona u jego ramienia, Dora Hohensteigen-Higmeringen bieleje jak gołąb w swym fantastycznym stroju wiejskiej narzeczonej. Biały atlasowy gorset, biały wieniec, białe wstęgi.

Ona sama biała, różowa, lalkowato piękna, troszkę onieśmielona tą teatralną pompą i zbliżeniem do galeryi widzów, którzy z jój światem nic wspólnego nie mieli, ma w sobie niezgrabny wdzięk występujących na scenie po raz pierwszy debiutantek.

I wszystkie damy, biorące udział w tym krakowiaku, w pierwszej chwili czują pewien rodzaj tremy, przestachu scenicznego, i gorączkowe wypieki występują na ich twarze, ubielone welutyną. Prędko wszakże odzyskują pewność siebie i nabierają animuszu. Głowy, strojne w wykwintne wieńce kwiatów, wśród których połyskują brylanty i szmaragdy, podnoszą się wyzywająco. Ramiona, osłonięte jedwabnym muślinem koszul, i torsy, obcignięte aksamitem lub atlasem gorsetów, prostują się tym ruchem właściwym kobiecie, która czuje, iż setki oczu na nią patrzą. Orzecka uśmiecha się, błyskając perłową bielą swych zębów. Muszka Statnicka bardzo dnia tego *en beauté*, jest prawie ładną w purpurze koralu, przytłaczanych gwiazdami dukatów. Lecz uwagę wszystkich przykuwają mężczyźni: Charlupko, Jurek Bodocki, Pozbitowski, a zwłaszcza Wielohradzki. Z fantazją i z pańską kraneryą, graniczącą z ładnym zachwalstwem, rozwiewają swoje kierezye, dzwonią

podkówkami. Wielohradzki wyróżnia się przepychem haftów, błyszczących na jego sukmanie, i delikatnym czarem całej postaci. Smukły, gibki, giętki, z prześliczną linią nóg i rasowymi stopami, przykuwa oczy wszystkich i wywołuje ogólne pochwały. Widzowie nazywają go „ten srebrny”, z powodu przewagi srebra w haftach kostiumu. Lecz szybko nazwisko jego przelatuje z ust do ust:

— To Wielohradzki!... Wielohradzki!...

Lecz już cały orszak uformował się w półkole i stanął przed estradą. Łuna światła bije nań rześście, zapalając iskry w brylantach, srebrze, złocie i szychach kostiumów. Muzyka przycicha i Charłupko zdejmuje z głowy czapkę, którą z chłopska zamiata po ziemi.

Stara pani Bodocka, jak Budda, okrasza pół twarzy niewyraźnym uśmiechem.

Dźwiga się z fotela i podchodzi na brzeg estrady.

— A zkądżeście-to, moi mili ludzie? — pyta z wytworną grzecznością.

— Ano... z pod Krakowa przyśliżwa pokłonić się jaśnie wielmożnemu państwu! — odpowiada Charłupko grzmiącym, donośnym głosem.

Szmer podziwienia rozlega się wśród sali.

Ta „pańska komedia” wprowadza w zachwyty mieszczaństwo lwowskie.

Tylko po kątach aktorzy i „literaty” urągają, wzruszając ramionami.

Pani Bodocka kiwa głową i stara się być do-
duszną.

— A no, to potańcujcie sobie, moi dobrzy lu-
dzie!... — mówi, sadowiąc się na fotelu.

Charłupko kłania się nisko, nasadza z fantazją
czapkę na głowę i zwraca się ku orkiestrze.

— A no!... muzyka!... a ogniście! — woła ku ga-
leryi.

Obejmuje w pół księżniczkę; za nimi szykują się
do tańca inne pary. Wielohradzki daje pilne bacze-
nie i szeptem wydaje komendę, przypomina, zachęca.

Nagle huczna przegrywka zmienia się w cichy
akompaniament i Charłupko zaczyna śpiewać silnym,
basowym głosem:

Sommes nous comme-ci, comme-ci, comme-ça,
Comme-ci, comme-ça, comme-ci, comme-ça,
Garçons de Cracovie, garçons de Cracovie! *)

Szmer uwielbienia przemienia się w szmer zdzi-
wienia. To dziwaczne tłómaczenie popularnej pio-
senki wprowadza w zdumienie mieszczaństwo. Lecz
Charłupko uderza w podkówki, i wąż stubarwny,
przystrojony delikatnymi skrzydłami muślinowych
spódniczek, wije się po sali. Wszyscy tańczą jak ba-

*) Alboż my to jacy tacy, jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy krakowiacy!

Tłómaczenie autentyczne (P. A.)

letnicy, składnie, karnie, i Wielohradzki czuje rozkoszną gorączkę, ogarniającą go całego. Nawet Kafthan pozbył się swęj tragicznej miny. Uśmiecha się i z pewną ojcowską troskliwością czuwa nad swoją tancerką, ową czwartą córą, wyglądającą jak porcelanowa lalczka w niebieskim aksamitnym gorsecie.

Tancerze tworzą teraz koło i wirują szybko, z szelestem spódnic i brzękiem podkówek. Korale i paciorki dzwonią, kółka przy pasach brzęczą. Pawie pióra migają wysoko po nad całym kołem i nagle splatają się razem, gdy wieńce kobiet tworzą osobny parter maków, róż, chabru, kłosów, turkusów, gwoździków i klejnotów. I krzyżują się, mijają, powracając na dawne miejsca, jak ruchome klomby, kosze, bukiety błyszczące, migocące stubarwnemi blaski.

Wśród tego mieniającego się parteru błyszczy i wyróżnia się, jak gwiazda wędrowna, pawie pióro Wielohradzkiego, obficie nakropione brylantowym pudrem. Migoce w powietrzu ten tęczowo zabarwiony płat śniegu i ciągnie ku sobie oczy patrzących i inne pióra, mniej błyskotliwe, mniej wabne.

W klombie wieńców zaś mieni się i odróżnia mocą wielką brylantów ślubny wieniec księżniczki, wieniec fantastycznych, legendowych księżniczek, gdzie mirt z różami białemi się splata. Jest to cały poemat—ten pęk bieli kwiatowej, osrebrzony rosą dyamentów,

błyskających jak gwiazdy na bielejącym o zachodzie jesiennym nieboskłonie.

Delikatny welon z illuzji przyćmiewa blask brylantów i biel kwiatów. I nagle wieniec dyamentów i błyszczące pawie pióro łączą się z sobą i płyną razem, wiodąc całą drużynę.

Umiejętną kombinacją figur Wielohradzki wysuwa się naprzód, zajmuje naczelne stanowisko i tańczy z księżniczką. I od téj chwili cała publiczność zostaje porwana i podbita wdziękiem tych dwojga, od których bije jasność, luna cała srebra, złota, brylantów, łamiących się migotów atlasu i uroku młodości. Inne pary toną w cieniu, służą za tło, uwydatniają piękność roześmianej księżniczki i eleganckiego wodzireja.

Na dany znak wszyscy stają w półkole i orkiestra zawodzi teraz oberka. Tadeusz zbiera sukmanę na lewą rękę, prawą zaś obejmuje księżniczkę, która prostuje się, jak sosna. I sami, we dwoje, puszczają się w taniec po jasno błyszczącej posadzce, w taniec zawrotny, rozpaczliwy, wprowadzający w stan jakiejś ekstazy. Tadeusz co chwila przyklęka, dzwoniąc podkówkami, i wtedy na posadzce widać prześliczną linię jego nogi, kształtną bez zarzutu. Księżniczka tańczy ciągle równo, prosto, wyzywająco już teraz, błyskając pogodą oczu i szczerością dziewczęcego uśmiechu.

Z początku nieśmiało tu i owdzie oklaski słyszeć

się dają na galeryi i wśród tłumu. Niebawem zamieniają się w hałaśliwą wrzawę teatralnej owacyi. Tadeusz upaja się tym tryumfem. Przedłuża umyślnie taniec, uśmiecha się, wciąga w siebie szelest braw i okrzyki tłumu. Aktorska strona jego charakteru występuje w całej pełni i używa rozkosznych wrażeń. Uczucie wysokiego rozrzewnienia napęlnia jego serce. Gdyby mógł, chciałby temu klaszczącemu tłumowi rzucić garść pocałunków, tak głęboko odczuwa wdzięczność za ten szelest uderzanych jedna o drugą dłoni.

Wreszcie, pijany prawie i bezprzytomny, zatrzymuje się, oddychając ciężko.

Wówczas dopiero spostrzega, iż ramię jego zbyt silnie przyciska kibić księżniczki. Lecz panna Hohensteigen-Higmeringen nie czuje tego sama, podniecona, rozgorączkowana, z purpurą rumieńców na rozpalonych policzkach.

Teraz krakowiak dobiega do końca.

Wielohradzki z wielką umiejętnością zachował dla siebie końcowy efekt oberka i pragnie pozostawić publiczność pod wrażeniem *swego* tańca.

Barwny więc wąż finałowy, banalne koło, podniesienie w górę czapek, skłonienie się przed estradą i zniknięcie we drzwiach z szumem, szelestem, brzękiem i ostatnimi tonami orkiestry. .

.

Po upływie kwadransa tańczący przed chwilą krakowiaka zaczynają wchodzić niepostrzeżenie do sali balowej i gromadzić się dokoła estrady, przyglądając się kostiumom, rozmawiając lub witając ze znajomymi. Natychmiast tworzą się dobrze zaznaczone koła i obozy. Arystokracja odcina się od reszty tłumu i, obrawszy estradę za rodzaj *quartier général*, a starą panią Bodocką za naczelnego wodza, tworzy „państwo w państwie” i zaznacza, że nie ma nic wspólnego z resztą społeczeństwa.

Mieszczanstwo bogatsze trzyma się osobno, w pozycyi zaczepno-odporniej, rywalizując arogancją spojrzeń i giestów, a niewielka grupa aktorów i „inteligencyi”, obrawszy kąć pod galeryą za rodzaj obozowiska, bawi się serdecznie i wesoło dziwną pozycyą reszty gości balowych. Nawet grany przez orkiestrę walc nie może połączyć tych klanów, wytworzonych całemi latami przesądów i śmiesznych układów społecznych. Linia, przecinająca salę na dwie połowy, linia moralna, staje się powoli materyalną i widoczną. Promień szeroki, i coraz to szerszy, posadzki zaczyna jaśnieć, jak pograniczna rzeka. Tylko „ci” z arystokracji nie czują się bynajmniej skrzepowani: śmieją się i bawią głośno, zachowują jak u siebie w salonie, nie okazując najmniejszej ciekawości w śledzeniu „tamtych” z mieszczanstwa. Przeciwnie zaś mieszczanie, nieswoi i nienaturalni, nieustannie wytężonym wzrokiem śledzą każdy ruch, giest, ko-

stium obozu nieprzyjacielskiego i szeptą pomiędzy sobą złośliwe uwagi, pełne niechęci.

Wielohradzki wychodzi prawie ostatni i natychmiast spostrzega, że wejście jego na salę zostało zauważone i wywarło wrażenie. Muzyka gra walca, lecz nikt nie tańczy, i Tadeusz idzie wolno, zdjawszy z głowy czapkę, którą trzyma z przyzwyczajenia, tak, jakby patelnię szapoklaka.

Idzie właśnie po owej ścieżce granicznej pomiędzy arystokracją i mieszczaństwem, nie zdając sobie jeszcze sprawy, dlaczego ta ścieżka tak nagle powstała. Widzi lornetki galeryowe, skierowane ku sobie i, jak panna na wydaniu, prostuje się i gryzie wargi, aby je uczynić purpurowemi. Zapomniał w tej chwili o Muszce. Cały jest jeszcze przejęty i upojony tryumfem, który w swojej fantazyi podnosi do bajecznej potęgi.

Patrzy na prawo, na lewo, mruży oczy, mijają objętym wzrokiem śliczne twarzyczki mieszczanek, które zwracają się ku niemu, jak słoneczniki ku tarczy słonecznej. Przybiera minę znudzonego i przeżytego. Jakaś panienska w kostiumie Goplany, z wieńcem jaskółek na rozpuszczonych włosach, śledzi go szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Obok niej—podżyła brunetka z pod ufryzowanej grzywy, osypanej deszczem cekinów, rzuca dziwaczne spojrzenie i wachluje się szybko. Wielohradzki powoli przesuwa się obok tych kobiet, zimny napozór i obo-

jętny. Nie odróżnia żadnej. Widzi tylko, że jest ich dużo i że wszystkie patrzą na niego z zachwytem.

Nagle...

Nagle na estradzie, na wschodach zasłanych purpurą dywanu, wytryska, jakby czarodziejską wywołana władzą, postać kobieca tak dziwna i piękna, tak niepodobna do innych, do tych Goplan, markiz, krakowianek, cyganek, które snują się dokoła niego, iż Wielohradzki staje, jak wryty, patrzy i widzi...

Włosy jój posypane są piaskiem fioletowym i uczesane według mody dziewic chananejskich. Grona pereł, ucepione u jój skroni, spadają aż ku kącikom ust, podobnych do otwartego kwiatu granatu. Na piersi jój błyszczy cały zbiór kamieni drogocennych, naśladując układem łuskę rybią. Jój ramiona, przystrojone brylantami, wybiegają nagie z fałd długiej tiuniki, ugwieżdżonej purpurowemi kwiatami na tle czarnej gazy. Nogi jój złączone są cieniutkim łańcuszkiem złotym, a wielki płaszcz ciemno-szkarłatny, skrajany z nieznanj materji, wlece się za nią, jak fala posłuszna i cicha.

Wielohradzkemu zrobiło się nagle jasno przed oczyma i w duszy.

Postać tę widywał często. Miała tę samą twarz bladą i oczy, które zdawały się patrzeć „po za widnokrąg ziemski”. Tak, bezwątpienia, była to córka Hamilkara, która powoli schodziła ku niemu, trzymając w ręce „małą lirę z hebanu”. Ta sytuacja poety-

czna zachwyciła go. Utonął w niej, mnąc w rękę swoją czapkę i łamiąc pawie pióro.

Muszka-Salammbô schodziła ciągle powoli, wlokąc za sobą ów płaszcz, utkany „z nieznanego materiału”. I przemiana w jęj twarzy była wielka i zrozumiała tylko dla tego, kto zna dokładnie kobiety i wie, jak fizycznie kameleonowe są to istoty. Z palącej, choć napozór uśpionęj urody Maleniowęj nie pozostało nic. Twarz jęj była zbiorem najregularniejszych rysów, oczu ciemnych i rozszerzonych kreskami *kohl*’u, czoło wązkie i białe, odsłonięte królewsko w obramowaniu pereł, które zdawały się być żółte w porównaniu z tą skórą rudawęj szatynki. Lecz włosy jęj ściemniały i były to prawie krucze pierścienie o fioletowym odblasku rozsypanego na ich załamach pudru.

Filisterska imaginacya Wielohradzkiego nagle galopować zaczęła.

Salammbô!

Kto podszeptnął Muszce strój wymarzony przez niego i nadawany jęj w chwilach szalonego pożądania, jakie dręczyło go po powrocie z Concarneau? Dlaczego wybrała ten strój? Dlaczego teraz tak powoli schodziła wprost naprzeciw niego, szukając oczyma kogoś w tłumie?

Szukała—i znalazła.

Wzrok jęj oczu sztucznie powiększonych zatrzymał się na twarzy Tadeusza, zatrzymał się długą chwilę.

Spojrzenie to łagodniało i zdawało się pieściwie, miękko obejmować całą postać chłopca, postać kształtną, smukłą, śliczną w tém przebraniu błyszczącym i jaskrawém.

Tadeuszowi dech zamarł w piersiach. Zamknął oczy na jedną sekundę. Gdy je otworzył, Salammbô zniknęła. Natomiast wodzireje balowi grzecznie, lecz stanowczo poprosili go o „zrobienie miejsca”.

Pary zaczęły stawać do kadryla, zbierając się powoli, jakby z musu. Wodzireje biegali i machali angielskimi fularami o brzydkich, zgnilawych barwach.

Wielohradzki cofnął się pod ścianę, i po raz pierwszy taki wodzirej biegnący wzdłuż sali wydał mu się głupią istotą. Pocieszał się jednak myślą, że to wodzirej „publiczny”, „mieszkański”, gdy on—o!... on to przecie co innego.

Panienka ubrana za Goplanę przesunęła się znów obok niego i ciągnęła go widocznie ku sobie łagodnym niebieskim ócz spojrzeniem. Była ładna, dystyngowana i z wielką gracyą nosiła swój powiewny kostium. Wielohradzki spojrzał na nią z zajęciem, lecz zauważył, iż nikt z arystokracji nie brał udziału w tańcach.

Postanowił trzymać się *swoich* i nie tańczyć tego wieczora zupełnie.

Wzrokiem zaczął szukać Muszki. Nie mógł znaleźć jęj wśród tłumu, otaczającego estradę.

Przyszło mu na myśl, iż Maleniowa mogła odjechać do domu. Było to jój zwyczajem. Przychodziła ostatnia, wychodziła pierwsza. Przymknął znów oczy i starał się ponowić wrażenie, otrzymane przed chwilą, a wywołane wzrokiem Muszki.

Ponowiło się, lecz tym razem delikatne i subtelne, jakby przysłonięte mgłą.

Było mu niemniej miłe, a może nawet miłsze, gdyż mniej brutalne i targające nim, jakby szponami niewidzialnej jakiegś potęgi.

Muzyka teraz grała kadryla i hałaśliwe tony mieszały się z chromatyczną gammą rozmów i szelestem sukien i kroków po posadzce salonu.

Gorąco zaczynało być fatalne; ktoś otworzył lufcik, i prąd lodowatego chłodu bił teraz w głowę Tadeusza.

Wielohradzki oderwał się od ściany i ku estradzie zbliżać się zaczął. Czuł, iż powinien był trzymać się jakiegś koteryi, skoro całe towarzystwo rozpadło się tak widocznie na obozy i oboziki.

W drodze spotkał Pozbitowskiego, który poufale ku niemu się nachylił.

— Jakie śliczne te Hartzównie!... — wyrzekł, ukazując dwie piękne panny, ubrane w suknie *Empire* — skoro nasze panie odjadą, weźmiemy się do nich wszyscy!...

— Panie odjeżdżają? — spytał Tadeusz, prz gryzając usta.

— Tak! patrz, już się stara Bodocka zwindowuje z estrady!

Rzeczywiście, stara pani Bodocka schodziła z estrady, kołysząc się wspaniale, otoczona całym sztabem dam z „towarzystwa”. Odjeżdżały wszystkie, znajdując, że teraz obecność ich była zbyt liczna, i że dosyć napatrzono się na ich wdzięki i brylanty. Spełniły czyn filantropijny, uświetniły zabawę swoją obecnością, i teraz odchodziły, dumne i zadowolone, w swych aksamitnych i atlasowych sukniach, obwieśnione brylantami, jak obrazy.

Za nimi dążyły panienki i młodsze mężatki, krakowskie wesele, księżniczki, otulając się w zarzutki i szarfy z gazy. Malewicz, Maleni, Dezydery, mężowie, narzeczeni—słowem wszyscy mężczyźni *high-life*'u wychodzili także ostentacyjnie, zatrzymując wszakże wzrok na ramionach tańczących mieszczanek.

Pozbitowski, Charłupko, Bodocki i kilku młodszych zrywali się pocichu i projektowali powrót do sali, skoro „panie” odjadą. Wdzięki mieszczanek ciągnęły ich, jak lep ciągnie muchy. Pragnęli skorzystać ze sposobności i zbliżyć się do tych kobiet, widywanych jedynie na ulicy zdaleka, lub w kościelnej nawie.

Wielohradzki stał, niezdecydowany, nie wiedząc, sam, czy wyjść, czy zostać. Jego próżność ładnej

lalki nie zadawała się tym krótkim tryumfem: pragnął zebrać więcej hołdów i uwielbiających spojrzeń. Nagle tuż obok niego zadzwoniły ogniwa delikatnych łańcuszków. Salammbô-Muszka stała przed nim, na wpół ukryta po za draperyą namiotu. Olbrzymie liście palmy rzuciły na jęj twarz cień ostry i dziwaczny, który przedłużał się jak czarna maska na jęj policzkach i oczach. Tylko nagie ramiona białęły i linia brody rysowała się jasno na tle tęczy drogich kamieni i czarnej tkaniny.

Szybko, purpurowemi, jak „kwiat granatu”, ustami, Muszka-Salammbô mówić zaczęła:

— Jutro rano, bardzo rano, wyjdę z psem moim na przechadzkę. Udam się w stronę naszej willi... Isć będę wolno... *très lentement, car peut-être je rencontrerai quelq'un...*

I rzuciwszy te słowa, zniknęła po za fałdami namiotu.

Fałdy dekoracyi zafalowały. Widocznie Maleniowa przesunęła się pomiędzy ścianę i draperyę i weszła do przedsionka. Wielohradzki uczuł się zupełnie pijanym. Maleniowa sama naznaczyła mu schadzkę. To już przechodziło najśmielsze jego oczekiwania. Nie radość jednak o władnęła nim, nie przecucie rozkoszy, lecz dziecinna, szalona trwoga. Zdawało mu się, iż jakiś ciężar spadł mu na barki.

W tęg chwili podbiegł do niego Pozbitowski

— Słuchaj, Wielohradzki! — wyrzekł po francusku — weź ty dyrekcyę tańców. Oni nie mają pojęcia o porządnym kadrylu.

Wielohradzki spojrział na niego z pod przymrużonych powiek.

Pozbitowski wydał mu się nędzny i śmieszny ze swą gwałtowną chęcią „znizania się”. Wreszcie dumą wezbrała mu piersi. Wzruszył ramionami i odparł niedbale:

— Co za idea zostawać tu po wyjeździe *naszych* pań...

Akcentował silnie to słowo „naszych”, jakby znacząc już nietylko posiadanie na wyłączną własność Muszki, lecz i tych innych, tych drugich, całej fali strojnej, błyszczącej, ładnej i pustej, która w tej chwili rozpierzchła się po ulicach miasta w pudełkach karet, pudełkach przesiąkniętych zapachem welutiny i perfumowanych brzegów sukien.

— Ależ... — protestował Pozbitowski.

— Nie nalegaj!... — ja odjeżdżam!...

Rzucił okiem dokoła i wzrok jego spotkał się z błękitnymi oczami Goplany.

Panienska trzymała się ciągle w pobliżu, naiwnie narzucając się swoją ładną i zgrabną osóbką.

Lecz we wzroku Wielohradzkiego tyle było ironicznej pogardy, że dziewczyna, zarumieniona, co-

fnęła się w fali swych rozpuszczonych włosów, zrozumiawszy intuicyą kobiecą, co ironia ta znaczyć miała.

I Wielohradzki, wsunąwszy rękę w kieszeń od spodni, roztargniony i wspaniały, przeszedł przez salę i zniknął w głębi przedpokoju.

XII.

Ranek zimowy, szarawy i chłodny.

W powietrzu przedsmak wilgoci. Na ziemi płachty śniegowe białe, lecz skalane już smugami czarniawymi błota.

Lecz na drodze jeszcze, na szosie leży gruda ubita, twarda, zimowa, bramowana różgami krzaków, które, zrozpaczone i rozczochrane, ciągną się czarną koronką w dal szarą i bezbarwną.

Po obu stronach drogi, na białym tle śniegu, drobnych tych krzaków jest moc wielka, cała armia, nieskończona ilość. Tylko gdzieniegdzie wystrzeli w górę pień drzewa, czasem prosty i smukły, często tragicznie pokręcony, jak upiór o liniach fatalnych do ziemi przykuty.

A pomiędzy krzakami wznoszą się śniegowe mogiły, pod którymi śpią butwiejące massy paproci i szczątki dzwonek na podściółce z mchu i sosnowych igieł. Czasem z takiej mogiły rozpaczliwie wy-

dobywa się badył samotny i pelza nieruchomy po śniegu, jak wąż suchy i smutny.

Drogą, co się ściśle i gubi w horyzoncie szarym, zaledwie u brzegów rozjaśnionym żółtawą światłością, idzie Wielohradzki, idzie powoli, oglądając się dokoła, zmarzły i niepewny.

Nie spał wcale, z obawy, aby nie zaspać i nie przybyć zbyt późno. Zerwał się o świcie, ubrał i pobiegł w stronę Pohulanki. Muszka nie oznaczyła dokładnie godziny. Powiedziała: „bardzo rano”. Mogło to oznaczać dziewiątą, siódmą, a nawet jedenastą godzinę. I nagle Wielohradzkiego zdjął przestach wielki. Może Muszka czekała na niego na próżno? Zaczął rozpaczliwie oglądać się, szukając dorozki. Leez na próżno. Nawet na placu Maryackim nie znalazł powozu. Biegł więc klusem, roztrącając sługi, idące z koszami do miasta. Gdy przybył na drogę, z której boczna ścieżka prowadziła do willi Malenich, okryty był cały potem i zmęczony.

Nikogo nie było na drodze.

Wielohradzki zdjął czapkę z głowy i zaczął przechadzać się powoli, stygnąc ciałem, ale nie nerwami. Czekał tak już długie dwie godziny i zziębły drep tał na miejscu, wyteżając wzrok wlepiony w pustkę drogową. Kilkakrotnie zwiody go baby wiejskie, idące z mlekiem do miasta. Widząc zdaleka ciemną sylwetkę, prostował się i przybierał pozę nawpół pokorną, nawpół zwycięską. Lecz nadchodząca

baba, jój ciężkie buty, gniotące grudę, prędko wywozily go z błędu. Po upływie dwóch godzin przestał się już spodziewać nadejścia Muszki i stał już z uporem pijaka, który postanowił wytrwać na raz obraném stanowisku. Czuł, iż nerwy dławiają go, zaciskając gardło. Miał ochotę płakać i krzyzcć. Jego miłość własna, obrażona a rozkołysana i rozzuchwalona naglém powodzeniem, stała nad nim jak kat, drwiąc i szydząc z jego porażki. Widział już bowiem Muszkę starającą się przed nim uniewinnić, wyblagać przebaczenie, Muszkę mówiącą dużo i półgłosem. On miał słuchać w milczeniu, rzucając niekiedy tylko jakieś gryzące słowo. Scena z „Właściciela kuźnic” zwłaszcza przedstawiała się jego pamięci. Sytuacye nie były podobne, lecz z biedy można je było zastosować.

Tymczasem droga stała się pusta, szara i zimna, gubiąc się w żółtawój, brzydkiej jasności horyzontu.

I nagle, niespodziewanie, ścieżką boczną nadeszła Muszka, prowadząc, jak zwykle, na rzemieniu Mika. Oboje, kobieta i pies, szli bez pośpiechu, powoli, jak istoty dobrze wyspane, najedzone i spokojne.

Suknia Muszki była brązowo-czarna, téj samój barwy, co sierść psa. Na kapeluszu jój bielala niewielka jaskółka, przypominająca żółto-białą gwiazdę na czole Mika.

Wydstawszy się na drogę, Muszka nie przyspie-

szyla kroku. Nie uśmiechała się do czekającego na nią Tadeusza, nie zdawała się być zaniepokojoną. Tylko oczy jój nagle pociemniały i zwiększyły się głęboko tajoną namiętnością. Usta leciuchno zakrzywiły się, jakby ściągnięte nerwowo ku szczękom.

Trzymała ręce w kieszonkach żakieta, kryjąc w prawej koniec rzemienia, na którym pies był uczepony.

Gdy zrównała się z Wielohradzkim, który, zamiast iść ku niej, stał ciągle na brzegu drogi, niepewny, zmieszany, prawie bez tchu i woli, powolnym ruchem wyjęła lewą rękę z kieszeni żakieta.

Ręka ta była obnażona, widocznie obnażona umyślnie, z intencją obmyślaną po szczególe.

Wdzięcznym, giętkim ruchem podniosła Muszka ramię i dłoń swą ciepłą, woniejącą wtartą esencją angielskich perfum, przytknęła do warg Wielohradzkiego.

Była to pieszczota napozór czysta i elegancka, *flirt* prawie dziewiczy i subtelny. Lecz dłoń Muszki miała w sobie cały poemat zmysłów.

Zanim Wielohradzki zdołał dojść do równowagi i przytomności, Maleniowa już oderwała dłoń od jego twarzy i ukryła starannie swą rękę w kieszonkę żakieta.

Bez jednego słowa, bez uśmiechu, niemal bez spojrzenia odeszła, ciągnąc za sobą psa, wyniosła i prosta.

Wielohradzki oczami pokrytemi bielmem śledził
teraz .jój wysmukłą sylwetkę, odcinającą się dokła-
dnie wśród pustki drogowój.

Nie śmiał biedz za nią, nie śmiał przemówić
słowa.

I tylko patrzył...

XIII.

W duszy Teci powstał bunt.

Był to rodzaj opadnięcia nagłego przewiazki, którą miłość założyła jój na młode oczy.

Dziewczyna miała grunt silnie romantyczny, lękliwy i dziwaczny. Kochała Tadeusza sercem i wzrokiem. Lubiła harmonię jego urody, nie zdając sobie z tego sprawy. Pocałunki, któremi on ukradkowo obdarzył jój szyję i usta, nie działały na jój zmysły długo i tylko wywoływały w niej nieprzyjemne zmieszanie, wrażenie raczej przykre i trwożliwe. Powoli jednak, oswajając się z tą pieśczołą, Teci zaczęła w niej rozróżniać pewne wibracje nienormalne i prze-
rażające.

Zastanowiła się nad tém zjawiskiem, i instynkt kobiecy odkrył przed nią szpetotę pocałunku bez przywiązania, jedynie dawanego i odbieranego dla wywołania summy pewnych wrażeń.

Teci zrozumiała, iż Tadeusz nie kochał jój ni-

gdy, i bunt nagły powstał w jéj duszy, do téj chwili murzyńsko-niewolniczej i zagarniętej pod wyłączne panowanie brutalnego egoisty.

„Gdyby mnie kochał —myślała dziewczyna -- nie całowałby mnie w ten sposób; pan Janczewski nie obchodzi się tak ze mną.”

Raz, schodząc z ciemnych wschodów, musiała być świadkiem, jak jeden z lokatorów drugiego piętra całował służącą, niosącą konewkę z wodą na górę. Przyciśnięta do ściany, ukryta w cieniu, Teczka widziała całą scenę, oświetloną słabo przez małe okienko, wykrojone w dachu i przepuszczające zaledwie blade strumień światła przez matowe szyby.

Ta jedna chwila posłużyła Teczce do całej seryi porównań. Tadeusz całował ją także „po kątach” w sekrecie, całował ją w szyję, w uszy, w oczy — tak jak ten „pan” całował służącą...

I duma kobieca obudziła się w niej, spotęgowana uczuciem niesmaku. Zaczęła coraz więcej analizować swój stosunek do Tadeusza, i porwał ją wstyd i zgroza. Śledziła teraz każdy czyn Wielohradzkiego, i milcząc, pochyłona nad swą pracą, komentowała go z nieubłaganą surowością.

Całe lata serdecznej męczarni, jaką przeszła, buntowały się w niej teraz i odzywały głosami bolesnych wspomnień. Była to bowiem jedna z tych natur wyjątkowych, która urazy chowa w sobie, jak

pszczoły miód, i na którą *czas* nie ma wcale kojącego wpływu.

Nagle, jak rzeka porywająca się ze swego łożyska, tak wystąpiło w niej dokładne zrozumienie całej sytuacji. Wielohradzki tej pracowitej mrówce, szanującej ślepo porządek socyalny i rozdział pracy, wydał się próżniakiem i egoistą. Gdy szyla sukmanę na ów bal kostiumowy, z każdą blaszką nabraną na igłę brwi jęj ścigały się, usta zaciskały we wzgardliwém milczeniu. Gdy powróciła dnia tego do domu, znalazła pana Janczewskiego przesłuchującego Felka tabliczki mnożenia.

Od progu ogarnęła okiem stół, lampę i te dwie głowy, męską i dziecinną, zbliżone do siebie w jasnej plamie światła.

Opodal babka robiła siatkę, przytwierdziwszy ją do krawędzi stołu. Na komodzie, odsuniętej od ściany, błyszczał gorący samowar, czekały szklanki na tacy.

Tecia, jak do portu zbawienia, rzuciła się do tej atmosfery jakiegoś łagodnego dobrobytu i ciszy. Od tak dawna nie odczuwała, wchodząc na próg domu, tej rozkoszy powrotu i chęci odpoczynku wśród swoich. Cała jęj serdeczna istota rwała się zawsze do Wielohradzkich i przymus wchodził z nią zwykle w progi jęj domu. Teraz czuła się lżejszą i swobodniejszą. Zdawało się jej, że stopy jęj są skute

jeszcze jakimś niewidzialnym łańcuchem, lecz już cały tors i ramiona są wolne i zrywają się do lotu.

Szybko zajęła się herbatą i uśmiechem powitała nieśmiały ukłon pana Janczewskiego. Twarz mechanika rozjaśniła się nagle i głos jego pytający „na wyrrywki” Felka „dziewięć razy siedem” zabrzmiał tryumfalnie. Teczka w tej chwili powróciła do dawniej swój roli „słonecznego promienia”, rozjaśniającego życie kochających ją istot.

Było jój tak, jakby wyswobodziła się z piwnicy i wydostała w ciepłe i jasne przestworze. I tylko boleśnie raniło ją wspomnienie śpiącej Wielohradzkiej, która runęła na posłanie wyczerpana, z oczyma łez pełnemi. Uraza jój i niechęć do Tadeusza wzrastała w nię z niepojętą szybkością.

Usiadła przy stole, naprzeciw pana Janczewskiego i, pijąc herbatę spokojnie, przypatrywała się twarzy narzeczonego. Znalazła, że miał śliczne oczy i zęby, i śmiech jego, nieśmiały a szczery, kilkakrotnie pobudził ją do śmiechu. Gdy wyciągnął rękę, sięgając do koszyka z bułkami, ręka ta nagle zaczerwieniła się brutalną plamą w świetle lampy. Lecz po raz pierwszy czerwoność i szorstkość skóry nie raziły oczu Teci. Dziewczyna w tej chwili myślała, iż pan Janczewski przyrzekł zająć się wychowaniem Felka. Chłopiec siedział przysunięty do swego przyszłego szwagra, którego nad życie pokochał. I przez umysł Teci przebiegła myśl, iż zbro-

dnia z jęj strony byłoby rozrywać ten węzeł, to koło, które się zamknęło po za nią i które było środowiskiem i podstawą życia i bytu jęj całej rodziny. Po raz pierwszy czyn ten wydał się jęj rzeczą złą i karygodną. Po raz pierwszy zaczęła zastanawiać się uważnie, odrzucając od siebie zaślepienie i gorączkę miłosną. Gdy po herbacie zmywała w kuchence szklanki i talerze, pierś jęj wezbrała nagłym płaczem i tęsknotą. Lecz nie był to płacz bolesny i przykry. Przeciwnie, łzy te przyniosły jęj ulgę i pewne uspokojenie. Oparła się o ścianę, tuż pod małą lampką, która płonęła wysoko, uczepiona na gwoździu. Słabe światelko oblewało delikatnie całą postać dziewczyny, otulonej w miękką, białą chustkę włóczkową.

Kształtna jęj głowa i twarzyczka blada wysuwała się z tęg śnieżnej draperyi, mistycznie wdzięczna i ładna. Z oczu jęj płynęły ciągle łzy i drżały na rzęsach, na policzkach, na wargach ust pobladłych.

W tęg chwili Tęcia żegnała swą miłość miłości, kochanie kochania, i przestępowała próg rzeczywistego istnienia.

W godzinę później Felek w długiej białej koszulce klęczał w swém zbyt krótkim łódeczku i odmawiał wieczorne pacierze. Z po za szczebli łóżka wysuwała się jego delikatna sylwetka, podobna do białego kwiatu o złotęg koronie jasno-płowych włosów.

Chłopiec złożył ręce i dobitnie, wyraźnie mówił
naiwną modlitwę dziecięcą:

Aniele Stróżu mój,
Ty zawsze przy mnie stój,
Tak we dnie, jak i w nocy
Bądź mi zawsze ku pomocy!

Tecia stała obok łóżka, smutna i zgnębiona. Przyszła na nią reakcja a zarazem myśl, iż związała się lekkomyślnie z Tadeuszem i że obecnie nie należy do siebie; że pocałunki otrzymane, schadzki na przechadzce są to ważne zobowiązania, których rozrywać się nie godzi.

— Dobry Boże! — mówił tymczasem Felek, podciągając noskiem — daj zdrowie babci, Teci, wszystkim krewnym i wszystkim potrzebującym!...

Uderzył się trzykrotnie w piersi.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!...

Przeżegnał się i wyciągnął ku siostrze ramiona.

— Dobranoc... pani Janczewska! — wyrzekł z nieśmiałym uśmiechem.

Spodziewał się, że Tecia, jak zwykle, rozgniewa się za ten żart i połaje go.

Lecz wbrew jego oczekiwaniu Tecia uśmiechnęła się i przytuliła brata do piersi.

— Dobranoc, szwagierku pana Janczewskiego!...
— wyrzekła prawie wesoło.

W tej chwili postanowiła rozmówić się nazajutrz z Tadeuszem i bądźco bądź zakończyć tę dziwną

a męczącą sytuację, w jakiej od tak dawna znajdowała się prawie bezwłasnowolnie.

Gdy Tadeusz powrócił z biura, nie zastał w domu Wielohradzkiej. Wyszła jeszcze w południe i poleciła Teci podać obiad, skoro Tadeusz nadejdzie. Od progu Tadeusz nerwami przeczuł usposobienie Teci i postanowił unikać nie tylko rozmowy, ale nawet wzroku dziewczyny. Od rana bowiem żył w jakiejś fatalnej atmosferze nadszłości, a dłoń Maleniowej, ciepłą i wonną, czuł bezustannie na swój twarzy. Zazdrośnie i łakomie chciał jak najdłużej przechować to wrażenie i w biurze zasłaniał ciągle twarz i oczy, nie chcąc nawet zbyt brutalną smugą światła spłoszyć zmysłowego zjawiska. Palce giętkie i długie Muszki dokładnie rysowały się na jego policzku. Dłoń atlasowa usta cisnęła. Za ręką tą szło wspomnienie ramienia, owych nagich ramion Salammbô, wysuwających się z fałd tiuniki czarnej, tkanej purpurowym kwieciem. Ramię to wywoływało cały poemat ciała i było gońcem jego rozkosznej piękności.

Z zaciśniętymi ustami, przybierając minę roztargnionego i zajętego ważnymi sprawami, zasiadł Tadeusz do stołu i zanurzył łyżkę w talerzu krupniku, który przed nim postawiła Teci. Z całej postaci dziewczyny, owiniętej w biel chustki włóczkowej, dojrzał tylko rękę spracowaną i czerwoną, znaczącą się wyraźnie na brzegu talerza. Miał ochotę przesunąć serwetkę po krawędzi porcelany, aby zmasać to dotknię-

cie i uczynić je nieistniejącem. Lecz obecność Teci onieśmieliła go. Czuł, iż dziewczyna dominuje nad nim w téj chwili i ma w sobie stokroć więcej równowagi fizycznej i moralnej niż on. Próbował więc przełknąć łyżkę zupy, lecz gardło ścisnęło mu się nagłym zalem. Coś rwało się w nim na strzępy i paraliżowało nawet zwyczajne odruchy.

Tecia nie odeszła od stołu i stała teraz blisko Tadeusza, o kilka zaledwie kroków, otulona tak szczelnie wełną chustki, iż całe jój ciało, biedne i strawione anemią, rysowało się dokładnie w téj cienkiej i śnieżnej powłoce.

Kilkakrotnie przymknęła i otworzyła powieki, przełknęła ślinę i nagle niskim, sztucznym głosem spytała, przerywając co chwila rozpoczęte zdanie:

— Proszę pana... co téż... co téż z nami będzie?

Tadeusz podniósł głowę i pomimowoli spojrział w twarz dziewczyny.

Twarz ta była sino-błada.

Ciemne podkówki podkręzały oczy. Usta zdawały się być zapadłe i obramowane błękitnąwą linią.

Wzrok Tadeusza był błędny i głupi.

Z wąsów ociekał mu krupnik, oczy miał bielmem zmysłowém wciąż zasnuté.

Tecia patrzyła nań surowo, ostro, z pod brwi ściągniętych.

— Bo, proszę pana... — zaczęła znowu — ja narzeczcie chciałabym, aby te kłamstwa i udawania raz

się już skończyły. Mnie to bardzo przykro okłamywać babkę, i mamę pana, i pana Janczewskiego. Trzeba, ażeby pan nareszcie się zdecydował i powiedział słowo babci, to jest... żeby się pan wreszcie oświadczył. Niech już nas uważają za narzeczonych... czy co!

Ostatnie słowa zabrzmiały prawie rozpaczliwie. Teczka, mówiąc „narzeczonych”, z trwogą widziała się zaręczoną Tadeuszowi. Lecz nie przewidywała jeszcze punktu wyjścia z tej całej sprawy. Chciała tylko koniecznie prawdy, światła i wyjaśnienia. Cała jej istota buntowała się teraz przeciw konieczności dalszego fałszu.

Wielohradzki powoli odzyskał równowagę. Zrozumiał natychmiast, iż nadarza się sposobność pozbycia się tej dziewczyny, która znów wydawała mu się głupią, prostą, trywialną szwaczką. Ironicznie więc zmrużył oczy, oparł się rękami o krawędź stołu i zaczął kołysać się na krześle.

— A!.. — wycedził przez zaciśnięte zęby — wreszcie panna Teczka przemówiła. Chodzi więc tak bardzo pannie Teci o to, ażebym się natychmiast oświadczył.. Ale mnie się nie śpieszy, nie śpieszy... Jeżeli zaś pannie Teci taka sytuacja się nie podoba, to wolna wola! Żadne słowo nas chyba nie łączy i, właściwie mówiąc, nie wiem nawet o co pannie Teci chodzi... Mieliśmy dla siebie wiele przyjaźni, nie więcej... *Une simple camaraderie... c'est tout!*

Rzucił tryumfalnie tych kilku słów po francusku, sądząc, iż dopełnią one przygnębiającego wrażenia i stanowczo zawstydzą Tecię.

Lecz ona, wbrew dawnéj modzie postępowania, nie ustępowała ani kroku, bynajmniej niez mieszana obrotem, jaki Tadeusz chciał nadać ich całemu stosunkowi.

— Proszę pana — wyrzekła z pewną ironią, choć głos jéj drżał ze wzruszenia — niech pan do mnie nie mówi po francusku, bo to się nie na wiele przyda. Ja panu nie odpowiem temi samemi słowami, bo żeby tak mówić... i znajdować takie wykręty, to... trzeba być.. panem. Ja pytam się pana uczciwie i prosto: co będzie z nami?

Tadeusz cisnął łyżkę na stół i porwał się z miejsca.

— Z jakimi nami? — krzyknął zaperzony — z jakimi nami?... Co jest wspólnego między mną i panną Tecią? Czy ja kazałem pannie Teci pisać do siebie listy za granicę? Czy ja do panny Teci pisałem?...

Tecia nie poruszyła się z miejsca, tylko szeroko otwartemi zrenicami śledziła biegającego po pokoju Wielohradzkiego.

— A to oszaleć można! — wołał Tadeusz — Teraz panna Tecia roi sobie do mnie jakieś pretensye i każe mi się oświadczyć babce. Czy ja przyrzekałem Teci małżeństwo?... Kiedy? jak? gdzie? za co? po co? dlaczego? Sama Tecia ciągle za mną chodziła i narzucała mi się swoją osobą...

Okrutny i bezwzględny, nienawidzący w téj chwili wszystko, co mąciło mu jego ekstazę miłosną, powtórzył raz jeszcze:

— Narzucała mi się Teczja swoją osobą...

Rodzaj spazmatycznego jęku wydarł się z piersi dziewczyny.

— O... o... Boże! — wyrzuciły jój pobladłe wargi. Lecz Tadeusz był nieubłagany.

— Tak, tak!... niéma co teraz biadać i wołać: Boże!... To posłuży pannie Teci za naukę i da dowód, że panienska powinna umieć się cenić i zachowywać przyzwoicie...

Odsapnął, powrócił do stołu, usiadł i zanurzył znów łyżkę w talerzu.

— O, krupnik wystygł zupełnie... i to wszystko przez fochy panny Teci...

Machinalnie, z przyzwyczajenia usługiwania drugim, Teczja wyciągnęła rękę.

— Niech pan da... ja odgrzeję...

Wyszła i w kuchni porwały ją dreszcze i łkanie. Lecz całą siłą woli stłumiła je, zagryzając usta prawie do krwi. Ogień wygasł. Rozpalać zaczęła drżącemi rękami. Z pokoju dolatywał ją gwizd nerwowo nie w takt gwizdanej polki. Tadeusz, chcąc utrzymać się w ironicznym nastroju, gwizdał, bębniąc palcami po stole.

Teczja zamknęła oczy i stała tak długą chwilę, jakby pogrążona w katalepsyi.

war. Cicho usłużna dziewczyna wypełniła codzienne zadanie.

W téj chwili serce Wielohradzkiej ścisnęło się wielkim żalem.

To drobne ptaszę miało odlecieć na zawsze. Jakaś inna zuchwała głowa zarysuje się zamiast téj delikatnej sylwetki na jasnej szybie okna. Wszystkie noce, przeczuwane nad pilną robotą w towarzystwie téj spokojnej i potulnej małej, przesunęły się jój przed oczami.

I z kobiecym brakiem logiki, ale zarazem z tą uczuciową solidarnością, która łączy wszystkie kobiety w armię wrogą przeciw mężczyznom, Wielohradzka uczuła sama ścisnięcie serca i żal głęboki do Tadeusza. Dlaczego nie chciał teraz Teci? dlaczego odwracał się od niéj z taką nadętą pychą?

W téj chwili Tecia podniosła głowę i spojrzała na starą kobietę swemi wielkimi, przezczystemi oczami.

To dopełniło miary.

Wielohradzka podeszła szybko ku dziewczynie i, nie szukając pretekstu, chcąc poprostu uczynić ulgę swemu sercu, objęła Tecię ramieniem.

— Moja Tecia!... moja biedna Tecia!... — wyszeptwała, całując głowę dziewczyny.

I w oczach miała łzy, wargi jój drżały.

Tecia przytuliła głowę do piersi Wielohradzkiej i zamknęła powieki.

Po raz pierwszy matka Tadeusza pieściła ją z taką prawdziwą macierzyńską dobrocią.

I w téj chwili rozpaczliwy ból ścisnął serce dziewczyny.

Lecz nie było w nim iskier miłosnego żalu za Tadeuszem; była tylko boleść, jaka szarpie serce córki w chwili rozstania się z ukochaną matką. I porwawszy delikatne ręce Wielohradzkiej, Tercia okrywała je pocałunkami, szepcząc:

— Ależ ja przy pani zostanę... ja zawsze tu będę szyla .. ja pani nie opuszczę!...

W téj chwili w pokoju Tadeusza dały się słyszeć kroki.

Wodzirej kierował się ku drzwiom.

Instynktownie obie kobiety odsunęły się od siebie i przybrały wygląd obojętnych istot.

W głębiej swéj duszy zamykały starannie wszelkie objawy rzeczywistój serdeczności.

I gdy Tadeusz wszedł do pokoju, już obie były zajęte usługą i czekały na jego rozkazy.

Wielohradzka drżącemi od wzruszenia rękami zawijała w papier rogalik i kawałki cukru, gdy Tercia, milcząca, owinięta bielą swego szala, szła do kuchni po gotujący się samowar.

XV.

W binrze dnia tego Tadeusz spotkał Maleniego, który wychodził od namiestnika i zmierzał ku głównemu wyjściu.

Maleni za kilka godzin miał wyjechać do Wiednia. Tadeusz wiedział o tém od Charłupki i Bodockiego.

W ciasném przejściu korytarza, na szarój ścieżce dywanu, znaleźli się nagle dwaj mężczyźni, sami, jeden wobec drugiego.

Serce Tadeusza zabiło tak gwałtownie, iż na chwilę wodzireja odbiegła przytomność.

Bezwiednie przycisnął się do ściany i stał, oczekując przejścia Maleniego.

Magnat szedł powoli, jak słoń w czapraku dystynkcyi i dygnitarstwa. Olbrzymia jego postać wypełniała wąwóz korytarza. Na plecach miał narzucone futro, i z ciemnego pasma kołnierza wysuwała się twarz cokolwiek obrzękła, okrągła, otoczona kil-

koma półkulami podbródków, ujętych w ledwo dostrzegalne pasma rudawych faworytów.

Usta, zupełnie wygolone, drobne były i małe, jak u dziecka. Cała synteza charakteru Maleniego kryła się w rysunku tych dwóch warg, dobrodusznie a ironicznie zaciśniętych.

Oczy zato nie miały żadnego wyrazu.

Były drobne, małe, czarniawe, tonące w białości policzków.

Tadeusz uczuł się podwójnie wzruszonym i zmieszonym zbliżeniem Maleniego. Był to potentat w c. k. karyerze urzędniczej i mąż Muszki. Podwładny i kochanek znaleźli się wobec dygnitarza i męża. Gdy Maleni minął Tadeusza, skłaniając lekko głowę, Tadeusz pochylił swoją tak, że twarz jego znikła zupełnie, a tylko wyszczotkowana czupryna zaciemniała na plastronie koszuli. Bez tchu wszedł Tadeusz do pokoju, w którym stało jego biurko. Chciał szybko usiąść, wziąć gazetę lub książkę i udać, że zagłębia się w czytaniu. Ale od progu powitały go chichoty Malewicza i Pozbitowskiego.

Stali na środku pokoju, a Malewicz ze śmiechu aż zwijał się, jak wąż, Pozbitowski zaś powtarzał spazmatycznie:

— Nie .. jak Boga kocham .. to farsa... to niepodobna... to farsa!..

— Ależ nie!... — odpowiadał Malewicz — to prawda! .. oświadczył się wczoraj...

— I hrabiostwo przyjęli?

— *Parfaitement!*...

— To umrzeć można ze śmiechu!...

Nagle drzwi się otworzyły i powoli, uroczysty i tragiczny, przesunął się przez pokój Kafthan.

Miał brwi ściągnięte i minę stanowczą i zdecydowaną.

Widoczne było, iż zaszła w nim jakaś zmiana, jakies postanowienie niedozwalania więcej na drwiny, których był przedmiotem.

I tyle stanowczości było w jego chodzie, we wzroku, w sposobie przesunięcia się po ścieżce dywanika, iż Malewicz i Pozbitowski, którzy mieli usta pełne dowcipów i śmiechu, zajęli się nagle swojemi paznogciami i z gorliwością zaczęli szlifować i piłować owe nieszczęsne „rubiny”.

Tadeusz podszedł do biurka i na przechodzącego Kafthana spojrział.

Kafthan wychodził zupełnie z biura, bo miał na plecy narzucone długie futro z ciemnym kołnierzem.

Tadeusz został uderzony podobieństwem chodu Kafthana do chodu Maleniego. Ta sama powolna, słoniowa powaga, to samo dźwiganie czapraka dystynkcyi i dygnitarstwa.

Kafthan znikł za drzwiami, i Malewicz z Pozbitowskim natychmiast szeptać zaczęli:

— Widziałeś?

— Widziałem!...

— Jak się nadał!

— *Il n'a pas l'air commode!*

— Nie będzie można z niego żartować! Szkoda!

— Spodziewam się! Zięć hrabiego!

W tej chwili Malewicz zwrócił się ku Wielohradzkiemu.

— Wiesz, co Kafthan zrobił? — zapytał.

— Nie wiem — odparł obojętnie Tadeusz.

— Oświadczył się o czwartą pannę i został przyjęty!

— A!...

Wiadomość ta nie zajęła Tadeusza. W tém podnieceniu nerwowém, w jakim się znajdował, co go obchodzić mogły zaręczyny Kafthana!

Lecz już Malewicz i Pozbitowski szeptali znów między sobą, jak dwie plotkujące kobiety.

— Zamianują go starostą w Dzerdzyńcu! zobaczysz!...

— Bardzo być może.

— Jak on to pociechu uplanował i urządził...

— Dla niego to partya! Będzie *pusowany*.

— No... i dla niej: Kafthan bogaty.

— Tak!... ale... Zresztą prawda, że ona prawie nic nie ma. Jakieś sto tysięcy...

— I to problematyczne.

Tadeusza szepty te doprowadzały do wściekłości. Odwrócił się ku oknu i patrzył przez szyby, z których spływały roztopione strugi wody. W ogrodzie leżał

jeszcze śnieg, lecz już miejscami czerniła się ziemia i jakieś niewyraźne, zielonawe cienie snuły się po gałęziach i pniach drzew.

Po alejach biegał mały piesek rudawy i kudłaty i zdaleka wyglądał jak olbrzymia wiewiórka, szukająca żeru.

Przed werendę szklaną wyszła jedna z panien hrabianek i ustawiała w promieniu bladego słońca doniczki z napół umarłymi roślinami.

Ubrana była w czerwony kapturek i długą, piaskowej barwy, rotundę. Zdaleka wyglądała jak purpurowa róża, okolona masą jesiennych liści. Galopem przybiegł ku dziewczynie piesek i, poszczekując, chwycił za brzegi rotundy, którą panienka, klęcząc, rozrzuciła dokoła na szarém tle asfaltu.

I nagle z otwartych drzwi wybiegła jeszcze jedna piaskowa rotunda i purpurowy kapturek, a za nią druga i trzecia.

Zaroilo się w słonecznych promieniach od tych czterech dziewczyn, które, jak parter kwiatów, jak miniaturowy klombik, płonęły w oddali czerwienią swych kapturew.

Chwilkę rozbiegły się tu owdzie, ścigane przez pieska, i nagle przyklęły koło doniczek, wyciągając ku obumarłym kwiatom miłosierne ręce.

I w téj chwili te cztery brzydkie były wdzięczniejsze i piękniejsze, niż inne, bardziej od nich piękne.

XVI.

Pociągnąć za dzwonek—to rzecz prosta.

Tadeusz stoi przed drzwiami mieszkania Dezyderego i zdecydować się nie może.

Nagle w oknie, prowadzącym na korytarz, zdaje mu się, iż dostrzega bladą twarz lokaja.

Dzwoni i przeraża się, sądząc, że za silnie guzik pocisnął.

Drzwi otwierają się prawie w téj saméj chwili.

Przed Tadeuszem usuwa się w głąb przedpokoju Karol, lokaj Dezyderego, trupio blady, z twarzą zawierającą chorobliwego maniaka.

— Pan hrabia wyjechał!... — mówi bezdźwięcznym głosem, w którym przebija się znudzenie służbą i życiem.

Tadeusz powstrzymuje się od wymówienia głupstwa, miał bowiem ochotę odpowiedzieć „wiem o tém”, i kazał zaanonsować się hrabinie.

W tój chwili czuje, iż nie jest nawet panem swych myśli i że na każdym kroku może się skompromitować.

Zaczyna pośpiesznie szukać karty wizytowej. Ręce mu drżą.

Zimna krew lokaja, jego rybie spłowiałe oczy wyprowadzają go ostatecznie z równowagi.

— Oto moja karta!... — mówi, podając bilet lokajowi — proszę mnie zaanonsować pani hrabinie.

Powoli, nie śpiesząc się, Karol odmyka drzwi od małego pokoiku, służącego za bibliotekę Dezyderemu.

— Pan będzie łaskaw zaczekać! — mówi i znika za portyera.

Tadeusz wchodzi do pokoju i natychmiast wzrokiem szuka lustra. Lecz niema tu żadnego zwierciadła. Nad kominkiem z czarnego marmuru, na którym tli się kilka polan drzewa, zamiast lustra umieszczono duże *panneau*, malowane sposobem dekoracyjnym, dużemi płaszczyznami, w bardzo czystym i prymitywnym stylu. Dokoła szafy ciemne, szczelnie zamknięte i zasłonięte firankami z ciemno szafirowego jedwabiu, na wzór bibliotek XVIII-go stulecia.

Na środku stół dość duży, okrągły, pokryty szafirowem suknem i zarzucony mnóstwem dzienników i broszur. Rozmaite *Revue*s francuskie i świeże wydawnictwa paryskie i belgijskie. Przeważnie książki o kartach nierozciętych. Wszakże jest tu kilka noży do przecinania kartek, wspaniałych, rzeźbionych, cyzelowanych.

Dokoła stołu fotele, kryte aksamitem, fotele Voltaire, leniwe w opuszczeniu i bezczynności zupełnej. Wielohradzki zbliża się do jednej z szaf i usiłuje przejrzeć się w szybie na tle ciemno-szafirowej firanki. Nie widzi jednak nic oprócz czarnej sylwetki o uszach wybitnie odstających. Rozpaczliwie poprawia kołnierzyk, który go dusi. Lekkie chrząknięcie, dyskretne i ciche, przywołuje go do porządku. We drzwiach stoi Karol, sztywny i obojętny.

— Pani hrabina prosi, ażeby pan zechciał przejść do małego salonu. Pani hrabina zaraz nadejdzie!

Przechodzi cicho, jak kot, przez gabinet i uchyla szafirowej portyery.

Tadeusz idzie za nim i, przeszedłszy próg otwartych drzwi, znajduje się w gabinetku o ścianach lustrzanych i gobelinowych meblach.

Szeroko otwarte podwoje szklanych drzwi ukazują salonik biały, różowy, błękitny. Na ścianach majaczej *panneaux* delikatne i jasne, na których bukiety róż i niezapominajek łączą się liniami gzygzakowatemi błękitnych i różowych wstążek.

Giestem automatu Karol wskazuje Tadeuszowi niewielką kanapę i kilka krzeseł, stojące na środku salonu.

— To te meble! — mówi, posuwając jedno z krzeseł.

I cicho, spokojnie wychodzi, przymykając drzwi obite wałkami białego aksamitu.

Tadeusz mimowoli zbliża się do „tych mebli” i ogłupiałym wzrokiem patrzy na harmonijne linie kanapy, która zdaje się być cała z niewielkich lir dębowych zrobiona. Przez okna o drobnych szybach, ujętych w białe ramki i przysłoniętych od strony zewnętrznej błękitnymi firankami, płynie prawie księżycowe światło, łagodzące jeszcze bardziej delikatny wdzięk malowideł i śliczne formy mebli.

Białe posążki marmurowe, porozstawiane na konsolkach, prześliczny sewrski pająk, cały z róż i niezabudek utkany, nabierają w tém oświetleniu czardziejskich tonów.

W kącie złoci się dyskretnie harfa i w wypukłościach girland, któremi jest ozdobiona, niebieskie światło zapala ludzające migotanie ametystów i szafirów.

W powietrzu unosi się woń dziwna, nieokreślona, woń, jaką zwykle miewają muzea i stare pałace, w których rzędem pod ścianami stoją stare meble, kryte spłowiałym jedwabiem, a ze stropu zwieszają się portrety dam w pudrowanych fryzurach i kwiatami zasianych robronach.

Woń ta czaruje, upaja, rozmarza. Woń ta przypomina muzykę dawno usłyszanego menueta i obecność odbiegłych w dal jakichś eleganckich, wykwinnych i artystycznych istot.

Wielohradzki stał na środku salonu nieruchomy, przyciskając nerwowo kapelusz do piersi. Miał minę

dzieciaka, studenta, oczekującego na profesora, który ma mu wyjawić wielkość wyznaczonej kary. Był bardzo czerwony i pod czaszką czuł najzupełniejszą pustkę, pomimo napływu krwi do głowy.

Drzwi uchyliły się cicho i weszła przez nie Muszka, odziana w długą, białą, jedwabną suknię domową w formie bluzy, która wlokła się za nią bez szelestu, jak mgła, jak cień.

Wielohradzki spojrzał na wchodzącą kobietę, i przeraził się straszną zmianą, jaką dojrzał w jej twarzy.

Była blada, trupio blada.

Oczy, podkrążone sinemi obwódkami, wyglądały jak dwie przepaści ciemne i światło w siebie chłonna.

Postarzała, z ustami rozchyłonymi, spieczonemi jakby niezaspokojonem pragnieniem, była uosobieniem „wielkiej rozkochanej,” typem kobiety dławionej potęgą zbudzonej namiętności.

W dłuższej, śnieżnej szacie, na którą błękitnawe światło kładło sinawe smugi, szła ku niemu powoli w aureoli miedziano-rudych włosów.

I wyciągnęła obnażone do łokci ręce i podała mu do pocałunku usta gorączką spieczone i tak bardzo jego ust spragnione.

XVII.

I ciągle już potem Tadeusz miał minę zaka, który ukradł ołówek albo książkę swemu koledze.

Był zamało mężczyzną, aby tryumf, dokonany w biały dzień, w godzinę po wyjeździe męża, dodał mu odrazu szyku i pewności siebie. Zdawało mu się, iż jakiś ciężar legł na jego barkach i że lada chwila grozi mu jakieś straszne niebezpieczeństwo. O Muszce, o jej namiętności myślał jak o potworze z zasłyszanój dawno bajki, który się przed nim ujawnił nagle i porwał go w swe szpony.

Biuralista, przywykły mimowoli do szacunku dygnitarzy, miał bezustannie na myśli Malenięgo. Widział go ciągle olbrzymim, groźnym, imponującym i kurezył się o ile możności, aby temu wielkiemu panu miejsca ustąpić. Cały fakt owego „tryumfu” nad Muszką majaczył teraz w jego oczach, jak czarna plama. Co to było? Nie umiał sobie nawet zdać dokładnie sprawy. Pozostała mu tylko trwoga śmieszna, głupia, dziecięca.

Nie umiał się jój pozbyć.

Gdy szybko przez Muszkę pożegnany krótkimi, rozkazującymi mu odejść wyrazy, znalazł się w przedpokoju i zobaczył przed sobą bladą twarz lokaja, wyobraził sobie, iż widzi w rybach oczach tego człowieka rodzaj litosnej ironii.

Wybiegł na ulicę i pędził ku ogrodom Inwalidów, chcąc tam pozostać samotnym i ukryć się przed wzrokiem ludzkim.

Po drodze starał się interesować drobiazgami, grającą katarynką, wystawami żydowskich kramów, dziwną tarczą słoneczną, poprzecinaną liniami chmur o krokodylich wydłużonych kształtach.

Cheiał zagłuszyć w sobie wspomnienie chwili, którą przebył, chwili fatalnej, choć przewidywaniej. Pod czaszką mu wrzało, gdy w głowie czuł przerażającą pustkę. Dwukrotnie oparł się o ścianę domu i otarł pot z czoła.

— Oszaleję!... — wyszeptał zbielełymi usty.

Wbiegł do alei ogrodu i doznał uczucia zawodu.

Zdawało mu się, iż znajdzie się wśród cieniu i spokoju. Tymczasem bezlistne jeszcze drzewa drżały w chłodzie wczesnej wiosny, a tu i owdzie po szarej grudzie alei snuły się czarne postaci inwalidów, rysujące się w przestrzeni, jak wycięte z blachy sylwetki. Tadeusz błędzić zaczął wśród ścieżek, lecz rozmarzła woda znaczyła się teraz kałużami pomiędzy różgami krzaków.

Smutek wyjący, bolesny, rwał tu serce na strzępy. Tadeusz miał ochotę usiąść na ławce i zanieść się z płaczu: tak wszystko w nim smuciło się razem z tym ponurym zachodem słońca. I uczył się nagle znieważonym tą wzgardliwą namiętnością, z jaką Muszka porwała go w swoje ramiona. Ani słowa miłości nie zdołali zamienić pomiędzy sobą. Jój wzrok rozkazujący zamykał mu usta i nie dozwalał na najprostszy wyraz uczucia. A później to pożegnanie nieme, rozkazujące, ten giest suchy, nerwowy, wskazujący mu drzwi i natychmiastowe zniknięcie jój samej, bez rzucenia uśmiechu, wejrzemia!

I teraz zaczynał już nie być pewnym: czy całe to zajście nie było halucynacją, snem, ułudą ..

Długo błąkał się po ogrodzie i zmierzch zupełnie zastał go na fortyfikacjach, które obchodził pogrążony w myślach. Doszedł do rogatek i wszedł do miasta. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Było mu to obojętnem. Widział przed sobą cały szereg latarni, bramujących ulicę żółtawemi światelkami, i siedł za niemi, wpatrzony w te migotliwe punkty.

Wybiła dziesiąta. Wielohradzki ujrzał otwarte drzwi jakiejś małej cukierenki i w téj samej chwili uczył głód i zimno. Wszedł i kazał sobie podać herbaty.

Natychmiast wziął w rękę dziennik i zasłonił się tą płachtą, pragnąc odosobnić się najzupełniej od reszty ludzkości.

Lecz ludzkość ta przedstawiała się jedynie w postaci zaspanej, chudziej kobiety, drzemiącej za kontuarem, i małego chłopca o dużej głowie i brudnym fartuchu, który postawił przed Wielohradzkim taczkę z herbatą i talerz zeszkłych ciastek.

Zapanowała głucho cisza.

Tylko gaz syczał w przyległym pokoju i świst jego nieznośnym hałasem wypełniał zboliałą głowę Tadeusza. I znów jego myśli zaczęły tańczyć sarabandę i nie chciały w żaden sposób sformułować się w jakieś porządne i dokładne wrażenia.

Powoli pił herbatę i gryzł jakieś stare ciastko, które miało smak łoju zmieszanego z próchnem. Wzrok zaspanych oczu siedzącej po za kontuarem kobiety drażnił go niewypowiedzianie. Znowu zapragnął ciemności ulicy. Porzucił niedopitą herbatę, zapłacił i wyszedł. Na ulicy porwał go żal i smutek. Zdawało mu się, iż ma do przebycia olbrzymi szmat drogi wśród bagna i błota. Wecisnął ręce w kieszenie palta i iść zaczął, nie starając się myśleć, zeszywniały moralnie, zdrętwiały na duszy.

Minął plachty jakichś namiotów, po za którymi grały chrapliwe katarynki. Za płócienną ścianą ryczały boleśnie lwy, zamknięte w klatkach nędznej menażeryi. Kinkiety naftowe żółciły się światelkami na tle czerwonych perkalowych festonów. Katarynki grały walce, polki, kadryle. Wielohradzki poznał w tych wyjących tonach melodye tańców, które

prowadził w salonach. Szarpnęło mu to nielitościwie duszę. Uczuł się nędzarzem moralnym i materialnym. Zaczął biedz prawie, chcąc uniknąć téj powodzi tonów. Skręcił w jakąś boczną uliczkę: i tam wpadła za nim kaskada tego piekielnego chóru, błakającego się, jak oślepy nietoperz wśród ciasnych ścian brudem zapelnionych kamienic.

Tadeuszowi zdawało się, że teraz ktoś go ściga, goni i do ucieczki przymusza. Biegł ciągle, bez planu, potrącając przechodniów. Pragnął głównie uniknąć wzroku matki. Chciał znaleźć ją już uspioną i móżdżek wsunąć się do swego pokoju niedostrzeżony i w zupełnym spokoju. Lecz należało przedewszystkiem poczekać i nie wracać natychmiast do domu.

I rozpoczął teraz wędrówkę po ulicach Lwowa, wędrówkę prawdziwego Ahaswerusa, dzwigającego na sobie brzemień wielkich powodzeń miłosnych.

Przez Żółkiewskie, czarne i opustoszałe, wy dostał się na Plac Teatralny i ku Szkarpom biedz zaczął. Placem Bernardyńskim i Maryackim przeszedł na ulicę Kopernika i szedł w stronę Ogrodu Jezuickiego, gubiąc się w zakrętach nowych ulic, na których sterowały rusztowania świeżo budowanych domów.

Dwa razy przesunął się, jak cień, pod bramą kamienicy, w której mieszkał; szedł dalej, nie śmiać zadzwonić do bramy. Instynktownie unikał ulicy, przy której mieszkała Muszka. Wyczerpany i znużony, znalazł się znów na Szkarpach, tuż pod oknami na-

miestnictwa. Przygasłym wzrokiem spojrzął na ten gmach, drzemiący leniwie w cieniu, jak dobrze wypasione zwierzę, odpoczywające na pastwisku. Na drugim piętrze świeciło się w dwóch oknach. Malewicz wysiadywał inspekcję, i Wielohradzkiemu przyszła chęć zastąpić go i pozostać na noc w tej samotnej i cichej sali. Wybiła pierwsza, przeciągle i chrapliwie. Wielohradzki zastanowił się i nagle biedz jak strzała zaczął w stronę domu. Matka musiała już spać, a ten „dom” teraz, po tak długiej włóczędzie o chłodzie i ciemnicy, wydawał mu się rozkosznym przytułkiem. Szybko dopadł do bramy, zadzwonił i wdrapał się na schody. Cicho otworzył drzwi i wsunął się do pokoju. Odetchnął!

Wielohradzka spała, oddychając ciężko.

Początki astmy zaczynały bowiem objawiać się u niej od pewnego czasu.

Tadeusz przesunął się jak cień i, gdy wszedł wreszcie do swojego pokoju, doznał uczucia ulgi i spokoju.

Na stole paliła się przyciemniona cokolwiek lampa, rzucając niepewne światło na kwadrat białej serwetki, którą stół był przykryty.

Na serwecie stał talerz, leżały widelce i noże. Maszynka spirytusowa srebrzyła się, mając obok czajnik, pokryty serwetką. Na spodeczku leżał duży kawałek tortu i kilka cukierków.

Tadeusz lampę rozjaśnił i do łóżka się zbliżył.

Na poduszce znalazł kawałek zapisanego papieru, przypięty szpilką. Odepnął go i przeczytał.

Moje kochane dziecko! Dobranoc Ci. Kładę się spać, bo jestem znużona. Pewnie będziesz głodny, gdy powrócisz. Pod blachą są pierożki. Odgrzej sobie herbatę na maszynie, ale ostrożnie, ażebyś, broń Boże, ognia nie zaprószył. Pani Piknicka i Tecia przysyłają Ci kawałek tortu i cukierki. Bardzo wszyscy żalowali, że Ciebie nie było. Śpij spokojnie i z Bogiem. Całuję Cię serdecznie i Bogu polecam.

Twoja najprzywiązawsza
Matka.

Wielohradzki długą chwilę stał zamyślony, trzymając kartkę w ręku. Cisza i ciepło, panujące w tym pokoiku, zaczynały go napawać rozrzewnieniem. Trwoga, która go ogarniała po wyjściu od Muszki i pędziła wśród ulic, rozpraszała się czarodziejską władzą.

Po raz pierwszy oddawna nie czuł obecności Maleniowej po za progiem mieszkania. Widocznie myśl i chęci tej kobiety uszione były w tej chwili i nie błędziły w pobliżu.

Cicho i z początku nieśmiało zapalił Tadeusz knot maszynki i zaczął odgrzewać przygotowaną herbatę. Odsunął wszakże od siebie tort i cukierki. Po chwili jednak w roztargnieniu sięgnął i zjadł

jedną pomadkę. Głód szarpał mu wnętrzności. Nie chciał iść jednak po owe pierożki, z obawy obudzenia matki.

I po chwili namysłu, wzruszywszy ramionami, po tort sięgnął.

Tort był dobry, massa świeża, herbata gorąca i słodka.

Pijąc i jedząc, Tadeusz zaczął odzyskiwać pewną fantazyę. Gdy nalał sobie drugą filiżankę, sięgnął po ręczne lusterko i podkręcił wąsy. Zjadłszy tort i cukierki, zaczął grupować wspomnienia. Gorąco przebiegło mu żyły. Starannie zbierając ze stołu okruchy ciastka, Tadeusz tracił teraz powoli bojaźń przed mężem, a natomiast coraz silniej zaczynały rysować się przed nim śmukłe kształty i twarz żony.

Nazajutrz, razem ze świtem, opadły znów Tadeusza niepewność i trwoga.

Teraz zaczynał się troszczyć: co będzie dalej? jaką ścieżką każe mu iść Muszka? w jaki sposób swoją wolę objawi? Sam nie chciał nic przedsięwziąć; nie przeszło mu nawet przez umysł, iż może mieć swoją wolę. Zajął wobec niej rolę podrzędną, rolę wypełniającego rozkazy, i nie umiał z niej wybrnąć, nie umiał i nie chciał.

Czekał więc, osuwając się powoli ze swoim nowem położeniem: kochanka wielkiej damy.

Sytuacja nie była tak tragiczna przy świetle

dziennem, jak mu się wydawała o zmierzchu i wśród nocnej galopady po ulicach miasta. Matka przywitała się z nim tak samo, jak poprzednio, a w biurze nikt nie domyślał się nawet, co pomiędzy nim a Maleniową zaszło.

W kilka dni później Maleni powrócił z Wiednia, i znów Wielohradzki spotkał się z nim w ciasnym przejściu korytarza na ścieżce dywanu. Trwoga jego i bojaźń odżyły w tej chwili z całą mocą. Nie śmiał podnieść głowy: tak bardzo imponował mu ten olbrzym, sunący ciężko wśród smugi wiosennego słońca.

I długo jeszcze po przejściu Maleniego Tadeusz nie mógł odzyskać równowagi. Odzyskał ją wreszcie i znów zaczął przeżuwać wspomnienia i dręczyć się przypuszczeniami na przyszłość.

Teraz bowiem budziła się w nim chęć ponownego zobaczenia Muszki. Zgłuszona przez niezwykłość sytuacji, namiętność zaczynała nurtować. Ten sen, ta halucynacya stawały się zmorą, dławiącą go wśród bezsennych nocy. Zdawało mu się, iż nie Muszkę samą trzymał niedawno w swoich objęciach, ale jej cień, jej widmo. I zapragnął teraz, z młodzieńczą krewkością, dostać w swoje ramiona na długo, na wyłączną, choć chwilową, własność tę kobietę.

Lecz Muszka nie dawała o sobie znaku życia.

Tadeusz oczekiwał ciągle i pragnął oczekiwanie to uczynić o ile najmożliwiej *correct* i nieposzlakowane. Nie gonił więc Maleniowej, nie narzucał się

jój oczom. Starannie unikał przechodzenia ulicą, przy której mieszkała. Raz, zdaleka zobaczywszy jój powóz, wpadł w bramę jakiegoś domu. Uczynił to z szalonego wzruszenia, jakie nim ogarnęło na samą myśl tak nagłego spotkania. Niemniej przeto później grał przed sobą komedję, winszując sobie taktu i miary, z jaką wybrnął z tój trudnej sytuacji. Wogóle, pozostawiony teraz sam sobie, nie mogąc się zwierzyć nikomu ze swych tajemnic, zaczął wchodzić sam z sobą w układy, kompromisy i zwierzenia. Gadulska jego natura rozgadała się teraz na wewnątrz i dręczyła go samego, jak stara plotkarka.

Na zewnątrz jednak charakter jego, pod wpływem tych szamotań nerwowych, zaostrzył się i stawał coraz przykrzejszym.

Wielohradzki bowiem więcej niż kiedykolwiek zanurzył się w ogoizmie, przejęty całą ważną doniosłością swój społecznej roli. W oddaleniu bowiem nikły teraz te pogardliwe giesty Muszki, jój wybuch namiętności milezący i obelżywy, który w pierwszej chwili sprawił na Wielohradzkim wrażenie policzka.

Teraz Wielohradzki we wzgardzie tój widział jedynie wspaniałą gracyę kobiety, która w chwili upadku pragnie zachować aureolę istoty nieskazitelnej i wyniosłej. Ostre rysy zaokrąglały się i nabierały wdzięku. Po bliższem zastanowieniu się w ciszy nieprzespanych nocy Tadeusz doszedł do przekonania,

iż jedynie tylko szalona miłość mogła skłonić Maleniową do podobnego kroku.

I sam w swych oczach zaczął się dąć i pozować na człowieka niezmiernej wagi. Wściekłość ogarniała go na myśl, że nikt nie może wiedzieć o jego tajemnicy, zazdrościć mu, patrzeć na niego z podziwem i uwielbieniem.

Kochanek Maleniówéj!

Była to wspaniała rola, pozycya tak świetna, o jakiej żaden z *professional lover*'ów lwowskich marzyć nawet nie śmiał.

I ztąd Tadeusz urósł nagle w zuchwalstwo i pychę. Kto wie, do czego ta sytuacja doprowadzić go mogła... Los gotował mu ciągle nadzwyczajne niespodzianki. Należało tylko umieć czekać. Na co? Nie wiedział, ale czekać postanowił.

W pierwszych chwilach oczekiwanie to przychodziło mu z pewną łatwością. Żył wspomnieniami i pewrością. Powoli przecież milczenie Muszki zaczynało go dręczyć i wprowadzać w stan bezustannego niepokoju. Fantazya jego pracować teraz zaczęła. W nocy snuł całe tomy powieści, jak podrostek zakochany w pensyonarce. Rano wstawał niechętnie i z trudem wciągał się w szarą i cichą rzeczywistość. Jedynie tylko nadzieja otrzymania znaku życia od Muszki dodawała mu bodźca i stawiała moralnie i fizycznie na nogi. Lecz dzień za dniem mijał i cisza była coraz większa. Tadeusz zaczął, z początku

niewyraźnie, potem rozzuchwalony powroźeniem, dokuczać matce i wynajdywać bezustannie przyczyny do gniewu lub ironii.

Kilkakrotnie miał ochotę napaść na Tecię; ale dziewczyna podniosła głowę i spojrziała na niego chłodnym i wzgardliwym wzrokiem. Zmieniła się teraz bardzo, powróciła do czerwonego *jersey*'u z różową kamizelką i do pretensjonalnej fryzury włosów. W uszach i pod szyją świeciły się żółte gwiazdy broszki i kolczyków, ofiarowanych przez pana Jan-czewskiego, a na palcu serdecznym błękitniał niewielki turkusik, oprawny w wianuszek perel. I razem z temi burżuazyjnemi klejnotami Tecią nabrała pewnej buty małomieszczańskiej, pewności siebie, nie zatracając jednak dawnego wdzięku. Widocznem jednak było, iż Tadeusz przestał na nią działać, że dziewczyna zbuntowała się naprawdę i nie chce dłużej znosić tyranii wodzireja.

Ofiarą więc rozdenerwowania miłosnego Tadeusza padła teraz Wielohradzka.

Stara kobieta chyliła się widocznie ku starości, pomimo od rana włożonego gorsetu, gładko i ładnie przyczesanych siwych włosów i téj wielkiej dystynkcji, która ją opromieniała aureolą zdetronizowanej królowej.

Kaszlała nieraz noce całe, dławiąc się i krztusząc. Kryła twarz w poduszki, nie chcąc kaszlem swoim budzić Tadeusza, który także leżał, nie śpiąc, z oczy-

ma szeroko otwartemi i wpatrzonemi w czerń nocy. Rano Wielohradzka wstawała znużona, wycieńczona, mając na twarzy woskową żółtość, właściwą astmatykom w pierwszych chwilach rozwoju fatalnego cierpienia. W ubraniu jój czuć się zdawało pewne zaniedbanie i choć suknie jój były całe i starannie zastosowane do wymagań bieżącej mody, nie szumiały już całą falą złatanych z okrawków podszewek. Często Wielohradzka opierała głowę na dłoni i siedziała tak długo skurczona, jakby przywalona ciężarem olbrzymiego cierpienia. Modliła się coraz dłużej i goręcej, pomimo, że do kościoła uczęszczać prawie przestała. Zdawało się chwilami, że unika widoku ludzi, i ona, tak zawsze ożywiona i uprzejmie stojąca na wyłomie, usuwała się w cień i szukała, jak zwierzę spracowane, odpoczynku.

Próżne jednak były te jój usiłowania, gdyż więcej niż kiedykolwiek kłopoty i troski materyalne opadły ją, jak gniazdo os zjadliwych i bolesnych. Pani Pake wymagała punktualnego zapłacenia raty. Owo opisanie i zajęcie mebli groziło, w chwili nieuiszczenia jednej raty—licytacją. Wielohradzka nie czuła się u siebie i zdawało się jój, że mieszka w hotelu, a te wszystkie sprzęty nie do niej już należą. Jój szlachecka natura buntowała się na myśl korzystania z łaski i uprzejmości żyda. Przybrała więc Wielohradzka względem Pakowej sztywne i zimne obejście wielkiej pani, poniżającą się *pour son bon*

plaisir do wchodzenia w układy z żydówką. Na pozwolenie sobie przynajmniej téj fantazyi należało płacić punktualnie raty. Robota szwankowała. Nowomodne, parasolowym krojem, spódnice stanowiły niemałą trudność zapleśniałej w rutynie i tradycyi Wielohradzkiej. Z wypiekami na pobladłej twarzy słuchała wymówek swych klientek. Wreszcie przewyciężyła swą dumę i wzięła kilka lekcyi kroju. Lecz i to niewiele pomogło. Dwie jój najlepsze klientki zaprzestały nagle dawać jój robotę. Ogarnęła ją rozpacz. Poniżyła się do napisania listu, prosząc o robotę. Nie otrzymała odpowiedzi. Przez kilka dni chodziła jak obłąkana, i nagle postanowiła zacząć szyć do magazynów gotowych ubrań. Lecz i tu znalazła nieprzewyciężone trudności. Konkurencyja krawców-żydów była wielka i trudna do zwalczenia.

Wielohradzkiej opadły ręce. Ogarnęła ją trwoga przed jutrem, po raz pierwszy w życiu. Mimowoli zwróciła się w stronę Tadeusza, lecz ten nie miał w téj chwili dla matki nic — prócz ironii i brutalnych często odpowiedzi. Co rano prawie, idąc do biura, z jakiego błahego powodu wszczynał „scenę” i wybiegał z domu, trzaskając głośno drzwiami. Na każdą uwagę matki odpowiadał jednemi i temi samemi słowy:

— Niech mama mnie nie denerwuje!...

Obiad mijał zwykle w ponurem milczeniu. Często Tadeusz zrywał się i biegł ku drzwiom. Zdawało mu

się, że słyzy na wschodach kroki, że zobaczy po-
słańca lub pannę Marcelę, że wreszcie listonosz przy-
niesie mu list z poczty.

Codziennie prawie Tadeusz pytał matki:

— Czy niema listu do mnie?

I na odpowiedź przeczącą wpadał nagle w szal,
w gniew nie do opisania.

Nie, to jemu tylko przytrafić się może coś podo-
bnego! List był wysłany: on wie o tém z pewno-
ścią.. Tylko — w takim bezładzie i nieporządku
wszystko zmarnieć musi. Cóż więc dziwnego, że listy
przepadają!...

Zębami rwał i szarpał chustkę, wylamywał palce
u rąk, tak, że aż stawy trzeszczały. Krew biła mu
do głowy i wypukłe oczy zdawały się wychodzić
z oprawy.

Wielohradzka, przerażona, starała się go uspokoić,
podawała mu krople laurowe, które drżącemi rękami
wlewała na cukier. On krople laurowe przelykał,
gdyż bardzo lubił ten smak gorzkich migdałów, lecz
krzyczał pomimo to coraz silniej, tem silniej, iż Teczka
zdawała się nie być wzruszoną temi spazmami i ata-
kami swego dawnego ideału. Dziewczyna siedziała
pochylona nad robotą i raz Tadeuszowi zdawało się
nawet, iż dostrzega przelotny uśmiech ironii na jój
wązkich wargach.

Uspokoił się natychmiast, przestał krzyżeć po
kobiecemu, lecz natomiast ogarnęła go złość podraż-

nionego mężczyzny, który nie chce i nie lubi, aby znajdowano go głupim i śmiesznym. Całą tę złość skoncentrował w uczuciu nienawiści do Teci, i pewnego wieczoru, pozostawszy sam z matką, po chwilo-
wem wahaniu wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Mama powinna sobie poszukać innej pomocy... Należałoby, aby Tecia przestała tutaj przychodzić!...

Wielohradzka spojrzała na syna zdziwiona.

— Co też ty mówisz, Tadiusz? — wyrzekła, wzruszając ramionami — toć Tecia to dla mnie skarb nieoceniony... Cóżbym ja bez niej robiła?

Tadeusz uśmiechnął się ironicznie.

— Naturalnie... wyżyć-by mama nie mogła bez swojej Teciulki. Co to za wstrętna hypokrytka!

Wielohradzkiej serce ścisnęło się żalem na widok nikiżemności syna.

— O Tadiusz! — wyrzekła z goryczą — dlaczego nazywasz Tecię hypokrytką? Wiesz, iż niema uczciwszej i prawszej nad nią dziewczyny...

Lecz Tadeusz szydził ciągle, bujając się na krześle:

— Och!... uczciwość Teci!... — śmiał się ironicznie — uczciwość jej byłaby mnie daleko zawiodła, gdybym się był w porę nie opamiętał...

— Co też ty wygadujesz!...

— Ta ta ta... ja wiem, co mówię, i radzę mamie nie ufać zbyttnio tej panience. Sprytniejsza ona, niż

my wszyscy. Winszuję, ale nie zazdroszczę panu Janczewskiemu takiej żony!... Tylko taki pan Janczewski może się dać złapać w podobne sieci... nie ja...

Wielohradzka brwi ściągnęła.

— Tęcia siatek nie zastawiała ani na pana Janczewskiego, ani na ciebie... Za to mogę ręczyć...

Tadeusz wykrzywił się niemiłosiernie i ręce w kieszenie kurtki wpakował.

— Proszę mamy!...—wyrzekł, przeciągając każdą samogłoskę—mama jest z innego świata i z innej epoki, niż terażniejsze panny, a zwłaszcza takie Tecie.

Imię to wymówił z taką pogardą, że aż Wielohradzka drgnęła.

— Powiedz raczej takie panny Dobrojowskie...—wyrzekła ostro, zdjęta nagłą potrzebą wymówienia tego imienia, które ją dławilo od chwili rozpoczęcia rozmowy.

Chciała nerwy i złość Tadeusza zwrócić w stronę Muszki. Zawiodły ją jednak oczekiwania. Tadeusz porwał się, jak oparzony.

— Dlaczego mama imię uczciwej kobiety miesza z imieniem tej panny? — wrzasnął przeraźliwie. — Niech mama wie, że ja panią Maleniową czczę i szanuję, bo na szacunek ten zasługuje więcej, niż mama Teciulka!...

Zerwał się z krzesła i zaczął po dawnemu biegać po pokoju, potrącając się o ścianę.

— Gdyby mama wszystko wiedziała... — mówił gorączkowo — liczyłaby się mama ze słowami, mówiąc o pani Maleniowej...

Wielohradzka pokiwała smutnie głową.

— Mój drogi!... — wyrzekła — nie wiem, co rozumiesz przez to słowo „wszystko”. Ja wiem tylko to jedno, że kobieta ta zrobiła nam wiele złego!...

Urwała, patrząc zamglonemi oczami w światło lampy, płonącej na środku stołu.

— Wiele złego!.. — powtórzyła raz jeszcze cichym głosem.

Lecz skrzekliwy głos Tadeusza przerwał jej natchmiaszt:

— Złego? nam? co znowu! .. — Pani Maleniowa jest zanadto wyjątkową istotą, aby mogła dobrowolnie sprawić komuś przykrość... Daruje mama, ale chyba ja znam lepiej tę kobietę, niż mama, i wiem, co o niej sądzić.

Zatrzymał się na środku pokoju i stał groźny i wyzywający w obronie czei Muszki. Gdy mówił: „Ja znam lepiej tę kobietę”, głos jego nadał się pychą, nurtującą go od tak dawna.

Wielohradzka powoli wzrok swój przeniosła na syna. W sercu jej wezbrało się nagle morze nienawiści ku tej pannie Dobrojowskiej, która była przyczyną ich zgryzot moralnych i materyalnych kłopotów.

Powściągnęła jednak słowa tłoczące się na usta.

Instynkt kazał jój milczeć, i czysta jój dusza, wiedzona przecuciem, cofała się przed czemś brudnem i złem, przed widmem kochanki, wprowadzonem nagle w ciszę jój domu słowami syna.

I widmo to, niewidzialne, a istniejące od téj chwili, weszło w nędzę tego mieszkania, wyniosłe, blade, wzgardliwe i obojętne. Pocisnęło klamkę drzwi, na pozór dobrze zamkniętych, i wsunęło się cicho pomiędzy matkę i syna, fatalne i nieubłagane, tworząc z ciała swojego przejrzysty mur, przeszkodę niepokonaną, o którą rozbijają się zwykle węzły krwi i macierzyńskiego najgorętszego przywiązania.

I wśród ciszy i pół światła stali tak naprzeciw siebie oboje, syn i matka, czując obecność téj trzeciej istoty, niemój a potężnej, niezwykniętej i tryumfującej w bezgranicznej zuchwałości.

Nazajutrz po południu Tadeusz zabrał się nagle do porządkowania swoich trofeów kotyliowych. Nie wychodził teraz z domu, oczekując ciągle listu Muszki. Dokoła panował wielki nieład; na krzesłach, sofie i stole leżały sztuki płótna, perkalu, wełny, a nawet białego atlasu.

Była to wyprawa Teci.

Z wielką nieśmiałością Tecia przyniosła rankiem wczesnym ten swój wyprawny dobytek, prosząc Wielohradzkiej, aby zechciała zająć się sporządzeniem tak bielizny, jak i sukien. Było to ubogie, nędzne, skromne. Zarobek nie był wielki, lecz niemniej prze-

to Wielohradzka odetchnęła, widząc przed sobą nadzieję zapłaty. Delikatność serca Teci ujawniła się raz jeszcze w ciężkiej do przebycia chwili. Wielohradzka przygarnęła dziewczynkę w objęcia i ucałowała gorąco jej czoło.

— Moja dobra, pocziwa Tecia! — wymówiła prawie ze łzami w głosie.

I natychmiast zabrała się do roboty. Lecz jakiś żal dławił ją i dręczył. Zdawało się jej, iż szyje dla Teci suknię śmiertelną. Było to po części zwykłe uczucie rozpaczliwego smutku, jakie przejmują serce każdej zameźnej kobiety na widok przedślubnych przygotowań, czynionych dla innej.

Solidarność kobiet występuje wtedy silniej, niż kiedykolwiek. Serca ich przejmują się smutkiem. W tém napozór altruistycznym wrażeniu mieści się dużo egoistycznej domieszki. Smucąc się nad ślubną suknią Teci, Wielohradzka oplakiwała siebie samą i swe stracone dziewczęce złudzenia.

Tadeusz siedział w swoim pokoju i czytał „Salambo”. Zabrał się znów do téj książki, która w jego umyśle łączyła się jakimś nierozzerwalnym węzłem z postacią Maleniowej. Gorączkowo przewracał kartki i od czasu do czasu odwracał głowę w stronę przymkniętych drzwi. Z pokoju matki dolatywał tylko szum poruszanych tkanin i od czasu do czasu przeciągły zgrzyt rozdieranego perkalu.

Szum ten, zgrzytliwy i niemiły, drażnił Tadeusza

w nieopisany sposób. Od rana nerwy jego doszły do takiego stanu chorobliwej nadczułości, iż zdawało mu się, że wszystkie wydobyły się z pod skóry na zewnątrz, i czynią na jego ciele jakąś siatkę bolesną i drażliwą. Po raz pierwszy wczesnym rankiem przeszedł pod oknami kamienicy, w której mieszkała Muszka. Okna te były szczelnie zamknięte i zakryte kolorowemi jedwabnemi zasłonami. Okna jadalni były otwarte.

Przechylny przez oparcie Karol, w kamizelce paskowanej i czarnych perkalowych rękawach, trzepał wążki pas gobelinu, zdjęty z płyty nadkominowej.

Wielohradzki przeszedł szybko, odwracając głowę z przesadzoną obojętnością. Zdawało mu się, iż lokaj musi śledzić go z ironiczną pogardą. Jego rybie spłowiełe oczy wkręcały mu się w plecy, jak dwa świdry. Naprózno chciał nadrobić arogancją, przed samym sobą, przypominając gwałtem swęj myśli, że on, Wielohradzki, jest kochankiem pani tego lokaja. Wrażenie wstydu było silniejsze, i zmaltretowany, zły, upokorzony poszedł Wielohradzki do namiestnictwa.

Tu panowało wielkie ożywienie.

Kafthan wyjeżdżał do Wiednia, poczem miał być mianowany starostą odrzykrowskim. Jego zaręczyniny z córką hrabiego, ten krok tak energiczny i rozumny cierpliwego karyerowicza zjednał mu ogólne uznanie

i natychmiast obwarował pewnym murem nietykalnego szacunku. Nikt nie drwił teraz z Kafthana, który, wyniosły, ponury, roztargniony, wchodził doskonale w rolę dyplomatycznej maszyny, mającej przed sobą najświetniejsze nadzieje z powodu doskonałej protekcyi i tych „pleców”, które w tym świecie stanowią potęgę niezwalczoną.

Te same „plecy” kazały mianować Charłupkę starostą w Krowodrzy i przenosiły Malewicza do Krakowa. Słowem, ruch był na całej linii. Tylko Wielohradzki był zapomniany i opuszczony. Jego „wodzirejowstwo” nie przyniosło mu wielkiej protekcyi i korzyści.

Nie myślał jednak teraz o tém, pochłonięty całą troską miłosną. Przysłuchiwał się plotkom i komerażom tych „panów” z rozdrażnieniem, ale bez zazdrości. Wzruszał ramionami na widok Pozbitowskiego, który złościł się, iż Malewicz jedzie do Krakowa, gdy on, Stanio, gnuśnieć będzie nadal w tém utrapionem kasynie. W Krakowie gra w karty jest bardziej seryo i ma sezony niezwykle ożywione, z powodu bliskości Wiednia; Lwów zaś leży na końcu świata, a w grze nie ma ani nerwu ani żadnych sensacyi.

Wielohradzki powrócił do domu, zjadł obiad w milczeniu i w chwili gdy Tecia, powracając z miasta, weszła do pokoju, wstał i z najwyższą ostentacją i złością z pokoju wyszedł.

Wychodząc, trzasnął drzwiami, aby zamarkować swe niezadowolenie. Wielohradzka spuściła oczy i twarz jój pokryła się cieniem smutku. Przez usta Teci przesunął się uśmiech, zaledwie dostrzegalny, ale niezmiernie ironiczny. Poczém obie kobiety zaczęły pracować, zamieniając tylko od czasu do czasu krótkie urywane zdania. Wielohradzka szepotała je z pewną lękliwością; Tecia mówiła głośno i zupełnie spokojnie.

Nagle Tadeusz ukazał się we drzwiach, wykrzywiony, jak maska japońska.

— Czy nie mógłbym prosić o trochę spokoju? — zapytał kwaśno, mrużąc lewe oko i mierzając Tecię wyniosłem spojrzeniem prawej źrenicy.

Widocznie było, iż Tecia miała ochotę odpowiedzieć, lecz wzrok jój padł na twarz Wielohradzkiej, która stała teraz nieruchoma, trzymając w obu rękach białą masę perkalu, którą właśnie rozdzierać zaczęła.

Tadeusz, widząc, iż ukazaniem się swoim sparaliżował niejako ruchy i mowę obu kobiet, postanowił sterroryzować je zupełnie. Podszedł więc do szafki, w której złożyły się jego przybory kotylionowe, wyjął z kieszeni kluczyk i rzucił niedbale, nie odwracając głowy:

— Prosiłbym zdjąć te wszystkie szmaty ze stołu... i ja potrzebuję trochę miejsca...

Ostentacyjnie zaczął wyjmować i rozkładać zło-

eiste cacka, mieniające się jak tęcza szarfy, brzęczące tamburyna, trąbki potworne „głowy”, kaski, czepki, berety, krezy, spódniczki, girlandy, kokardy, pęki wstążek, kwiaty, ordery, kije, laski, parasole, gwiazdy, kapelusze, lejce, wędki, maski, chorągiewki, piszczałki, boa kwiatowe, pióropusze, rogi, latarki. Cały ten bazar, ta świecąca i pstra tandeta zaległa nagle powierzchnię stołu, błyszcząc w wiosennem świetle martwym, sychowym blaskiem. Tafta, gaza, złociste papierki, perkalowe kwiaty, blaszane brzękadła, tani atlas wstążek — pomieszane razem dawały teraz mieszkaniu wygląd garderoby teatralnej po skończonem świeżo widowisku baletowem.

Z zaciśniętymi wargami, z brwiami ściągniętymi Wielohradzki oglądał każde cacko, każdy kwiat, każdy order, przerywając panującą w pokoju ciszę ironicznym sykiem lub krótkimi, urywanymi zdaniami:

— Co tu kurzu!... Piękny porządek! Wszystko musi zmarnieć. Niezadługo trzeba będzie swoje rzeczy przenieść do namiestnictwa. Niepodobna dłużej żyć w podobnych warunkach.

Nie śmiał rzucać wprost podejrzeń na Tecię, lecz utyskiwać zaczął, iż brak mu połowy orderów i kilku cacek.

— Co też ty wygadujesz!... — odezwała się wreszcie Wielohradzka — masz zawsze klucz od szafy przy sobie...

— Nie zawsze... — bąknął Tadeusz.

Nagle w przedpokoju zajęczał dzwonek.

Tadeusz zarumienił się gwałtownie.

— Niechże mama otworzył!...— zawołał z niecierpliwością.

Lecz od okna podniosła się Tecia i szła teraz ku przedpokojowi powolnym, spokojnym krokiem.

Dzwonek jęknął raz drugi.

Tadeusz poskoczył na środek pokoju, lecz Tecia zniknęła już w ciemnej jamie przedpokoju.

Otworzyła drzwi i równocześnie wpadł gwar głosów kobiecych, dyskretnych, dźwięcznych, dobrze wychowanych.

Jak kot, Tadeusz na dźwięk tych głosów wpadł do swego pokoju i z sercem bijącym drzwi przymknął. Przez niewielką szczelinę przysłuchiwał się, nagle przerażony, z sercem niemal w piersiach zamarłem.

Tecia powróciła na swe miejsce, mówiąc obojętnym głosem:

— To panie z wielkanocną kwestą

Lecz już Wielohradzka, zmieszana i załęczniona, przyjmowała dystyngowanym ukłonem zjawiające się na progu damy. Były to: Orzecka i bratowa Pozbitowskiego, z domu baronówna Dranck-Stifhausen. Towarzyszył im młody Drunicki, który niósł w ręku skórzany woreczek i parasolki pań. Całe to towarzysztwo weszło śmiało, jakkolwiek z udaną dobroduszością.

Wielohradzka ładnym, dystyngowanym gościem wskazała nowo przybyłym krzesła. Orzecka podziękowała, dodając, iż śpieszą się, gdyż jeszcze mają całą ulicę „do zrobienia”. Zdziwione jój oczy zatrzymały się na stosie kotylionowych przyborów, które leżały na stole. Zdawało się jój, że poznaje laskę pasterską, zakończoną bukietem róż i wstążek, która stanowiła jedną z piękniejszych dekoracji kotylionu ostatniego wieczoru, jaki odbył się w jój domu podczas ubiegłej zimy.

Wzrok młodej pani Pozbitowskiej również został przykuty tą masą błyszczących cacek, które połyskiwały wszędzie: na ziemi, na krzesłach, na stole, wśród sztuk perkalu, płótna i jedwabiu.

Przyłożywszy do oczu swoją *face à main*, patrzyła z impertynencyą dobrze wychowanej gąski, przekrzywiwszy cokolwiek na bok swą drobną głowę, na której świeciła się mała kapotka, naszywana masą czarnych dżetów. Przez delikatny tiul wualki czerezeniły się jój małe purpurowe usta i błękitniały duże oczy. Była to ładna rasowa niemka, o wiedeńskim szyku, przypominającym szyk księżniczki. Bił od niej *Amaryllis*, podczas gdy suknie Orzeckiej przepojone były *White Rose*. Były to wonie dyskretne, zaledwie dostrzegalne, lecz ładne i przejmujące. Młody Druński zdawał się kąpać w tej atmosferze. Miał dużą głowę, odstające uszy, rodzaj łaty z ciemnych włosów, lśniących i gładko przyczesanych na środku szerokie-

go czoła. Trzymał obydwoma rękami brzeg torby i uśmiechał się głupowatym uśmiechem zadowolenia. Był to prawdziwy typ arystokratycznego młokosa, typ cokolwiek szarżowany i zakrawający na teatralną błagę. Wpatrywał się z zachwytem w ładny kark Orzeckiej, wysuwający się z fryzowanych piór czarnego boa. Orzecka, zwrócona ku Wielohradzkiej, mówiła właśnie, z pewnym rodzajem scenicznej pokory:

— Przepraszamy za nasze natręctwo... ale to dla biednych!...

Wymawiała *r* jak *h*. Brzmiało to „nathęctwo” i dawało do poznania, że najpierwsze nauczycielki francuzczyzny pochodziły z łona proletaryatu paryskiego. Robiło to wrażenie to samo, jakie odnieśli byśmy, gdyby Francuz mówiący po polsku popisywał się używaniem *cz* zamiast *c*, mówiąc *obczasy* zamiast *obcasy*. Byłoby to świadectwo pochodzenia kuchennego osób, które go w języku polskim kształciły...

Niemniej przeto owo francuzkie *h* zamiast *r*, trącające również kuchnią paryską, było szczytem wykwin-tu i elegancyi w usteczkach pani Orzeckiej. Mówiła:

— Przepraszamy za to nathęctwo...

Wielohradzka, wyprostowana, uśmiechnięta, odpowiadała:

— Ależ to nie natręctwo.. poświęcenie pań dla tak pięknej sprawy...

Słów jój brakowało. Myślała bowiem z trwogą, iż posiada jedynie papierek trzyreńskowy. Nie mogła

wyzuwać się ze wszystkiego dla zapewnienia plasterka kielbasy i kawałka placka „biednym”. Lecz co czynić? Nie mogła zażądać reszty, nie mogła również posłać Teci, aby zmieniła ten nieszczęsny banknot.

A przed nią stały wciąż dwie czarne postaci z różowemi plamami okrągłych ładnych twarzyczek, błyszczących od dżetu i nastroszone od piór okalających ich szyje. Pomiedzy niemi zieleniał się wiosenny *überzieher* młodego Drunickiego, mający wdzięczny wygląd worka.

Nagle Wielohradzka zwróciła się ku drzwiom wiodącym do pokoju Tadeusza. Być może, iż syn jej posiadał papierek guldenowy. Pociśnęła klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły.

Tadeusz zabarykadował się na zewnątrz.

Wielohradzka zapukała kilkakrotnie.

Nie było odpowiedzi.

— Tadzium!... Tadzium!... — wyrzekła słodko stara kobieta.

Lecz Tadzio, który całą siłą podpierał drzwi, milczał jak grób, drżąc z wściekłości i trwogi. Poznał głos Orzeckiej i młodego Drunickiego. Jakiż wstyd, gdyby te panie ujrzały go w tém nędznem otoczeniu, w mieszkaniu szwaczki, pomiedzy maszyną do szycia, meblami obitemi wytartą ceratą, komodą i łóżkiem matki, osłoniętem trzciniowym parawanem, obciążniętym zieloną kitajką!

Wielohradzka nagle zrozumiała całą sytuację

i odstąpiła ode drzwi zmieszana, jakby złowiona na gorącym uczynku.

Chciała naprawić swój błąd i ona, tak zawsze prawdomówna, zdobyła się na heroiczne kłamstwo, wypowiedziane cichym i pewnym głosem:

— Mam małego, sześciolatniego wnuka, chciałam, aby i on... przyczynił się jaką drobną sumką do ulżenia doli nieszczęśliwych...

Drżącymi rękami sięgnęła do kieszeni i wydobyla z portmonetki papierek trzyreńskiowy.

— Oto w mojem i w jego imieniu!... — wyrzekła, podając banknot Orzeckiej.

Ładna dama wzięła pieniądze i oddała je Druni-ckiemu, który, otworzywszy torbę, wyciągnął z niej paczkę cukierków.

Wyjął z niej szczypezykami kilka karmelków zawiniętych w papier złocisty i położył na brzegu maszyny do szycia.

— To dla małego Tadzia!... — wyrzekł z głupkowatym uśmiechem.

Wielohradzka zaprotestowała, lecz te panie zaczęły wołać ze śmiechem, że taki jest zwyczaj, iż chodząc „po żebrze”, zostawia się w domu, w którym są dzieci, kilka cukierków. I z ukłonami, uśmiechami, szelestem i brzękiem dżetów wyszły na wschody, przeprowadzone przez Wielohradzką, która z zakłopotaniem usprawiedliwiała się z ciasnoty i ciemności przedpokoju. Gdy, zamknąwszy drzwi, powróciła do

pokoju, stała chwilę milcząca i niezdecydowana, patrząc z pewnym rodzajem obawy na zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju syna.

Wreszcie podeszła cicho i zapukała dyskretnie:

— Tadiu! ci państwo wyszli, możesz drzwi otworzyć!...

Drzwi otworzyły się teraz gwałtownie i ukazał się w nich Tadeusz, z twarzą krwią nabiegłą, drżący, i od progu krzyknął przeraźliwym głosem:

— Dlaczego mama wymówiła moje imię w obecności tych pań?..

Wielohradzka przerażona cofnęła się w stronę Teci.

— To przez nieuwagę. — tłumaczyła się pokornym głosem.

Tadeusz postąpił kilka kroków naprzód. Był siny z gniewu. Dławił się wymawianemi wyrazami, bełkotał, jękał się, wargi mu drżały jak w febrze.

— A czy mama wie? czy mama wie, jakie skutki straszne mogła na mnie spowodować ta nieuwaga? — zawołał, podnosząc w górę zaciśnięte pięście — czy mama wie, że gdyby mnie tu pani Orzecka i pani Pozbitowska zobaczyły, byłbym okryty śmiesznością i wstydem... i nic-by chyba nie pozostało, jak utopić się albo powiesić! Oto, o czem mama zapomniała!...

— Ależ!... — tłumaczyła Wielohradzka.

Lecz on przerwał jęć, rosnąc w gniewie, podniecając się coraz więcej:

— Co mama myśli, że ja chcę, aby *oni* wiedzieli, jak ja mieszkam, a zwłaszcza, że mama jest szwaczka?... Gdyby się to wykryło!... Ręczę, że wszystkie salony zamknęto by mi przed nosem, nikt-by mnie nie chciał wziąć na wodzireja... A!... ja tyle lat pracuję, aby zasłużyć sobie na szacunek ludzi i poważanie, a mama chce mi to wszystko wydrzeć... zniszczyć... odebrać...

Parsknął nerwowym śmiechem i porwał się za głowę.

— Daję słowo... możnaby przypuścić, że mama to umyślnie robi!

Wielohradzka zaprotestowała gorąco.

— Ależ, Tadeu! jak możesz przypuścić coś podobnego?

— Mogę! mogę!... — wrzeszczał Tadeusz, rwąc krawat i kołnierzyk — mogę... bo matka tak nie postępuje względem dziecka, jak mama względem mnie postępuje... Zresztą, mama zawsze miała więcej serca dla obcych niż dla mnie.. Dawniej był Radolt, teraz ..

Zatrzymał się, brwi zmarszczył, miał ochotę rzucić wzrokiem w stronę Teci, ale dał pokój.

— Teraz... kto inny!...—dokończył chrapliwie.— Ale... wolna wola mamy... ja nie od mamy nie żądam... tylko proszę, aby mnie mama nie *kompromitowała!*... Słyszysz mama? nie kompromitowała, bo mnie chodzi o moje *stanowisko* i o moje *stosunki*... Słyszysz mama? moje *stosunki!*... Mama mi jeść nie da,

jak mnie wypędzą z namiestnictwa... a o mojej przyszłości ja jeden tylko myśleć muszę!...

Wielohradzka była blada jak płótno; oczy jej zaszyły mgłą łez.

— Ależ, moje dziecko!... — wyrzekła — chyba nikt tak, jak ja, nie troszczy się o twoją przyszłość.

Wybuch spazmatycznego śmiechu Tadeusza przerwał jej mowę.

— Ha! ha! ha!... Mama troszczy się o moją przyszłość... mama troszczy się o moją przyszłość!... Co mama do tej chwili dla tej przyszłości zrobiła?... Czy dała mi mama majątek?... przyzwoitą pozycję?... zapewniła w Wiedniu protekcję?... Nie! nie!... Uto-
nęła mama w swojej krawiecczyźnie i oprócz niej nie mamę nie obchodzi...

Wielohradzka zamilkła. Ręce jej drżały, zaczęła szukać nożyczek, lecz kilkakrotnie przesunęła palce po ich ostrzach, nie wiedząc, że je ma pod ręką.

Tadeusz zaczął biegać po pokoju i przechodząc kopał meble i porozrzucane dokoła sztuki płótna i perkalu.

— Ale tak dłużej być nie może!... — wrzasnął po chwili milczenia—tak dłużej być nie może... ja muszę *także* zacząć myśleć o sobie i stać się egoistą... Pójdę tylko za mamy przykładem... Wyprowadzę się ztąd... Tak! tak!... wyprowadzę!...

Przez umysł Wielohradzkiej przesunął się cały szereg samotnych dni. Czarny ten różaniec nappełnił

jéj serce nagłą rozpaczą. Mimowoli, ruchem kobiety, która nie chce pozostać samą i broni się przed widmem opuszczenia, wyciągnęła ręce:

— Och!... Tadziu!... co téż ty mówisz, moje drogie dziecko!...

Lecz Tadzio, któremu od dni kilku myśl osobnego mieszkania nie dawała spokoju, potrząsał ironicznie głową.

— Nie. . nie... to się na nic nie zda! na nie!... już tak postanowiłem... Mama sama temu winna... Zresztą, już wszystko urządzone.. Mogę się lada chwila wyprowadzić: mnie to nie robi różnicy!

Miał w kieszeni guldenowego papierka i cała mgławica przeczuć obecności Muszki w tém „osobnem mieszkaniu” wirowała mu w mózgu.

— Nie chcę, ażeby dłużej mama mnie kompromitowała... I ja muszę dbać o swoją przyszłość!...

Wielohradzka tłómaczyć się zaczęła.

— Ależ .. nic się nie stało... Te panie są przekonane ..

Wzrok Tadeusza padł na rozrzucone na stole i na ziemi przybory kotylionowe.

Poskoczył jak tygrys i zaczął pośpiesznie wrzucać te wszystkie cacka wewnątrz szafy.

— Naturalnie!...—krzyczał nieludzkim głosem—naturalnie... te panie są teraz przekonane, że to ja żyję w tém śliczném mieszkaniu. Te panie nie są ślepe i poznały akcesorya, które same mi dawały...

Co za hańba! co za wstyd!... A... ślicznie mnie urządzono... I to dlaczego? Dlatego, że musiałem sam wziąć się do porządku i obliczenia nareszcie, co i ile mi zginęło...

— Zginęło?...

— Tak! tak!... zginęło!.. Czy mama myśli, iż ja nie widzę, że mi ktoś pokradł najpiękniejsze akcesorya?... Ale skoro tak, niechże wszystko sobie zabierze!... Albo nie — nie mieć nie będzie... nie!!! nie!!!

Zanurzył ręce w stos cacek i nagle zaczął wszystkie te złociste zabawki rwać, szarpać, rozrzucać dookoła, deptać z furją hysteryczki, która doszła do szczytu paroksyzmu swój wściekłości.

— Nic! nic!... — powtarzał, a piana mu zalewała zsiniałe z wściekłości wargi.

Dokoła niego, jak snop fajerwerków, migotała i latała cała massa złocistych orderów, gaz, tarlatanów, błyskotek i kwiatów. Już cały stos leżał na ziemi, stos trupów motyli o poszarpanych skrzydłach. Kask francuskiego kirasyera uderzył twardą masą o stojącą na komodzie lampę i stłukł ją. Brzęk spadającego szkła podniecił tylko złość Tadeusza. Porwał tamburyno i, pragnąc przedziurawić je, bił w nie co siły pięściami i łokciem. Długa tarlatanowa zielona szarfa oplotła mu głowę i szyję. Na rękawach kurtki drżały poszarpane kwiaty i złociste druty. Wielohradzka próbowała zbliżyć się i wyrwać mu z ręki tamburyno. Lecz Tadeusz odepchnął ją. Stara

kobieta nie zwróciła nawet uwagi na ten gość syna, lecz, z twarzą bladą jak płótno i rękami złożonymi jak do modlitwy, powtarzała ochryplym głosem:

— Tadzium!... Tadzium!...

Lecz Tadzium nie krzyczał już teraz, bo głosu nie miał od zbytniego krzyku. Piał jak kogut i widząc, że pergamin tamburyna ustąpić nie chce, rzucił się nagle głową naprzód, pragnąc czołem przebić uparte cacko.

Widząc ten gość, Wielohradzka zatrwożyła się jeszcze więcej i zwróciła się ku Teci, która od kilku chwil wstała ze swego krzesła i milcząca i nieruchoma przypatrywała się Tadeuszowi z pod brwi chmurnie ściągniętych.

Wielohradzka porwała ręce dziewczyny:

— Teci!... ratuj... uspokój go!... biegnij po doktora!... on sobie jeszcze co złego zrobi!...

Lecz Teci ręce Wielohradzkiej całować zaczęła.

— To pani niech się uspokoi!... błagam panią!... zaczęła mówić urywanym głosem.—Pani i tak nie ma zdrowia!... ja panią proszę!... niech pani ztąd wyjdzie!... niech pani pójdzie do babci... ja z panią pójdę i zrobię kwiatu pomarańczowego.

Zdawała się zapominać o egzystencyi Tadeusza, który, widząc się opuszczonym i wzgardliwie traktowanym przez tę dziewczynę, która niedawno bladła z przerażenia na widok jego „ataków nerwowych”, nie wiedział teraz, jak wybrnąć z tej „głupiej sytuacji”.

Lecz zanadto był kobietą, aby nie poradzić sobie w takiej chwili. Jak bezwładna kłoda zwałił się na fotel i wybuchnął spazmatycznym płaczem. Był to płacz równie wypływający z podrażnienia nerwów, jak i z podniecenia zmysłów. Gryzł ręce, i dławił się, i krztusił, mając ochotę zacząć wśród łkań krzyczeć jedno imię:

— Muszka! Muszka!...

Dokoła niego pokornie opadły szczątki jego kotylionowych trofeów.

On sam miał wygląd zniszczonej zabawki, stłuczonego cacka, poszarpanego pajaca.

Zrozpaczony, zaszlochany, drżący, wodzirej c. k. salonów galicyjskich, leżał bez woli i bez tchu w powodzi złocistych strzępków, które zdawały się być pakułami, trocinami, sypiącemi się ze zranionego korpusu tego sztywnego Poliszynela.

XVIII.

Panie!

Bardzo się Pan zdziwi, skoro Pan moje pismo raz jeszcze zobaczy na papierze, ale to dlatego, że nie chciałam z Panem sam na sam rozmawiać po tém wszystkim, co pomiędzy nami zaszło. Sumienie moje jednak i obowiązek nakazuje Panu powiedzieć, co o nim myślę, bo Pan w ostatnich czasach zrobił się bardzo złym i bardzo niepocziwym. Powiem to Panu poprostu, tak, jak umiem, bo ja nie znam się na wielkoświatowych frazesach, do których Pana przyzwyczaiły wizyty i tańce u tych wszystkich hrabin i baronów, u których Pan tak ciągle przesiaduje. Ale to wiem i dzięki Bogu rozumiem, że Pan postępuje, jak człowiek bez serca, i że Pan postępowaniem takim swoją biedną matkę do grobu zapędzi.

To, co Pan względem mnie zrobił, to ja dawno Panu przebaczyłam. Byłam głupia dziewczyna i nie umiałam zachować się przyzwoicie, i Pan Bóg mnie słusznie pokarał za taką lekkomyślność. Odpokuto-

wałam ciężko moje grzechy i wymodliłam sobie u Boga spokój i przebaczenie. Teraz nawet, kiedy już do rozumu przyszłam, jestem Panu wdzięczna za jego naukę. Tylko co do matki Pana, to nie mogę zamilczeć i nie mogę Panu pozwolić, ażebyś się Pan tak nad nią pastwił. Pan tylko myśli o sobie i wiecznie tylko o sobie mówi, a czy Pan nie widzi, jak się pani Wielohradzka zmieniała? jaka jest blada? jakie ma oczy zapuchnięte? Czy pan nie słyszy, jak ona w nocy kaszle? Babcia mówiła, że to serce się kraje patrzeć, jak się taka kobieta marnuje w wysługach dla takiego, jak Pan, dorosłego mężczyzny. I Babcia miała rację. Pan powinien ulżyć trochę w pracy swojej matce, a nie ciągle balować, a potem jeszcze téj biednej, świętej kobiecie sceny robić. Ja wiem, że mnie Pan za ten list już ostatecznie znienawidzi; ale, proszę Pana, taka nienawiść to mnie nie obraża, ani nie martwi, bo każdy człowiek, co źle postępuje, to nie lubi tych, co mu prawdę w oczy mówią. A że Panu nikt prawdy w oczy nie powiedział i nie powie, to ja wzięłam na odwagę i piszę do Pana ten list, który Pan może schować, a może podrzeć. O to się nie boję, bo przedwczoraj ksiądz mi poradził, ażebym Babci przyznała się, jak było pomiędzy mną i Panem. Więc choć to mnie dużo kosztowało, powiedziałam Babci wszystko i pokazałam jój brulion listu, który do Pana do Francyi pisałam. Babka bardzo mnie złażała za to wszystko, ale mi przebaczyła i przyrze-

kła, że sama panu Janczewskiemu o wszystkim powie. Bo i to chciałam koniecznie ja sama. Nie mogłam przecież wyjść za mąż tak, aby pan Janczewski nie wiedział, jaka byłam przed ślubem. Bardzo się bałam, ale pan Janczewski nic nie powiedział i tylko się zrobił dla mnie jeszcze uprzejmiejszy i lepszy. Widziałam, że trochę posmutniał, ale to taki anielski człowiek, jak Babcia i Mama Pana, więc nawet mi nie dał poznać, że mu przykrość zrobiłam. Już ja mu to całym życiem szczęścia wynagrodzę i taka będę dobra, że o wszystkim zapomni! Widzi więc Pan, że nie mam teraz powodu bać się, ażeby mój list do Pana mnie skompromitował. Teraz mam czyste sumienie i, na szczęście, przestałam kłamać i ludzi oszukiwać. I tylko teraz chciałabym, ażeby się Pan opamiętał i wreszcie zrozumiał, że tak żyć, jak Pan, nie można i dręczyć Matkę to grzech i brak serca, a chyba Pan ma serce i nie jest zupełnie bez serca. Już ta biedna Mama to ledwo na nogach ustać może i za komorne winna, i kaszle, i meble ma zajęte. A Pan nic nie chce wiedzieć, tylko tak napada i krzyczy i spazmuje, że aż wstyd i zgroza patrzeć na takie komedye. I to Panu na seryo mówię, że jeśli Pan się nie opamięta, to ja tak zrobię, że po ślubie wezmę Pana Mamę do siebie i będę ją pielegnować i nie pozwolę jej dłużej męczyć. A Pan niech sobie wtedy robi, co chce: niech Pan sam mieszka, chodzi do restauracyi; tylko nie wolno Panu będzie nawet przyjść Mamę

zobaczyć u nas. Na to Panu przysięgam! Bo taki syn, jak Pan, to nie godzien mieć taką Mamę, jak Pan ma. A teraz kończę ten list, bo jeszcze powiedziałabym Panu co przykrego, taki mam żal do Pana, ale nie za siebie, tylko za Mamę Pana.

Tekla Piknicka.

P. S. A to, co Pan powiedział, że Panu z szafy poginęły ordery, to ja dobrze zrozumiałam, że to niby do mnie było. Tylko ja się nawet nie obraziłam, bo wiedziałam, że przez Pana tylko złość mówiła, boć przecież Pan wie, że ja jestem już dorosła dziewczyna, i takie cacka to dla mnie nie mają wartości i ciągną tylko do siebie próżniaków.

Rodzaj terrasu dwupiętrowego mieścił w swem wnętrzu nisze i legowiska psów. Można było terras ten obejść dokoła. W środku wielka kryta sala miała połączenia ze wszystkimi celami, w których mieściły się na zimę psy. Zamykano wówczas nory od zewnętrznej strony. Chroniono cenne zwierzęta od przeziębienia. Gończe miały inne budowle, urządzone według koniecznej dla nich higieny. Lecz tu mieściły się najcenniejsze okazy lub świeżo sprowadzone, które Maleni pragnął najkorzystniej zaprezentować odwiedzającym.

W tej chwili psiarnia była opuszczoną najzupełniej przez służbę. Maleni bawił we Lwowie i tylko Muszka od czasu do czasu zaglądała do Paprotki, zajmując się psami.

Służba rozchodziła się po lesie, lub ciągnęła ku dworowi. Psiarczyki, dwa małe wyrostki, poszli do lasu piec kartofle w popiele.

Widocznie nie spodziewano się przyjazdu państwa, gdyż Muszka wczoraj zjechała niespodziewanie, zapowiadając na odjezdnem, iż powróci dopiero za tydzień.

Przez kratę drucianą psy czekały i wyły. Tadeusz zbliżył się do furtki i próbował ją otworzyć.

Dostrzegł, iż kłódka założona była tylko, ale nie zamknięta. Chwilę zawahał się, nie wiedząc, czy ma wejść do środka. Obok ścieżki, wiodącej do wnętrza terrasu, znajdował się właśnie box wspaniałych dogów angielskich Mastiffs, o blado-kawowej sierci i czarnym, olbrzymim pysku. Z drugiej strony stara suka gaskońska, wielka i żółta jak dukat, patrzyła na niego nieufnie zaczerwienionymi ślepiami.

Nagle szczeknęła chrapliwie, i był to sygnał potwornej symfonii cienkich i niskich głosów, akord fatalny i donośny, dysonans wpadający rozwichrzoną gammą w masę wiosennego powietrza.

Wszystkie psy i psiaki zaczęły grać i ujadać zapalczywie, otwierając pyski, opierając się na wyciągniętych daleko przednich łapach.

I tylko dogi nie wtórowały téj symfonii, stojąc nieruchome i groźne, gdy psy górskie z rasy św. Bernarda, białe z żółto-szarymi łatami, legły leniwie i ciężko, tuż przy samej siatce, śledząc milcząco niespodziewanego i nieznanego przybysza.

Za niemi białeły patony pirenejskie, śnieżne, podnaczone czernią silną ócz i plamą okrągłą nosa.

Wielohradzki całą siłą woli przezwyćiężył trwogę, którą uczuł na widok tych srogo wpatrzonych w niego ślepi i roztwartych pysków. Nigdy w życiu nie widział naraz tylu psów, i to psów tak olbrzymich, tak niezwykłych i groźnych. W niszach, w których złocono się trochę słomy, przez okrągły otwór w szarém ścianie kamiennój widział jeszcze wszędzie wielkie łby niepokojące i zagniewane. Kilka białych gryfonów, niewielkich, nastroszonych angorą o żółtawych odcieniach, ujadło na piętrze terrasu, a małe bassety wykrzywione i kilka taksów pokracznych, karykaturalnych, wtórowało im ochryplemi głosy.

Wielohradzki, idąc na palcach, przesunął się pomiędzy psami, przybierając, o ile możności, minę swobodną i ruchy pełne gracyi. Przypuszczał, iż Muszka jest wewnątrz zabudowania, i kto wie, może widzi go, nie będąc widzianą.

Pod siekącą chłostą wrzasku psów pchnął jakieś drzwiczki i nagle znalazł się w przestronnej sali, słabo oświetlonój wprawionemi w sufit, zabrudzonemi deszczem i śniegiem szybami.

Nowy wybuch wściekłego ujadania powitał wejście Tadeusza. Ten wrzask, półcień panujący dokoła nie dozwolił Tadeuszowi rozróżnić otaczających przedmiotów. Spozrzegł tylko ciemną masę drobnych stworzeń i jakieś jasne zjawisko, wytryskujące z czarnej wilgoci ubitej ziemi, służącej za podłogę. Cofnął się i potracił gliniane naczynie z wodą, które oblało jego wycięte półbuciki i jedwabne skarpetki zimną strugą. Ogłuszony i nawpół oślepy mrugał oczami, napróżno starając się odzyskać równowagę.

Powoli rozróżnił, iż poruszająca się masa były to psy, kręcące się tu i owdzie, w ciągłym i bezustannym ruchu. Zjawisko jasne i smukłe przybrało teraz uchwytniejsze kształty. Blando-liliowa batystowa bluzka i popielata wełniana spódnica, biały pasek z lakierowanej skóry odcinały się teraz wyraźnie w półcieniu. I twarz występowała coraz dokładniej, twarz obramowana masą złotorudych włosów, gorących i zmysłowych. Muszka miała w tej chwili swą maskę pobladłą, maskę dni złych i fatalnych.

Otoczona tak zwierzętami, z których sierci biła woń dzika i pociągająca, stała Muszka milcząca i nieruchoma, wpatrzona szeroko otwartymi źrenicami w cofającego się ku ścianie Wielohradzkiego. We wzroku tym malował się cały świat pogardy i pragnienia. Muszka płonęła w tej chwili cała od zdenierwowania i ręce jój zlodowaciałe ścisnęły konwulsyjnie harap, który opadał ku ziemi wśród fałdów angielskiej spódnicy.

A jednak, głosem napozór spokojnym, lecz cokolwiek stłumionym, przywołała ku sobie Tadeusza:

— Chodź-że pan tu bliżej! — wyrzekła prawie rozkazująco.

I on, jak jeden z tych psów, które kręciły się dokoła, przysunął się, potykając się po nierównej podłodze.

Chciał porwać ją za rękę, lecz ona rękę trzymała opuszczone i natychmiast odwróciła głowę, jakby nie chcąc spotkać wzroku Tadeusza.

— Patrz pan... — wyrzekła — to rasa francuska *à poil ras*, nazywają się „Briquets d'Artois”. Podobno są nadzwyczajne... nie lubię tylko ich sukni. Nic nie mówi, nie ma charakteru.

Tadeusz milczał, lecz czuł dokładnie fałszywą nutę w głosie Muszki. Postanowił jednak być jej ślepo uległym. Poddańcze usposobienie psów razem z ich dzikim odorem wnikało w jego istotę. Mimo-woli płaszczył się, uszy tulił i oczy pokornie w górę wznosił.

— A to *Cookes espagneules*... — ciągnęła dalej Maleniowa, wskazując harapem kilka małych piesków, uczesanych ślicznie, kokieteryjnie, wyzywająco, o rudawych fryzurach, przypominających czerwona włosy Muszki.

Piękna irlandzka suka ceglastej prawie barwy przepelzała do nóg kobiety.

— Kettly!... Kettly!... — wymówiła Muszka, a głos

jój nabierał pewnej uczuciowej nuty — stara, poczciwa Kettly...

I ręka jój przesuwiała się po łbie suki miękką, leniwą pieśczołą.

— Tam są inne jeszcze irlandzkie rasy, o!... *Patry Molly*, a tu *Blackfield Spaniels*...

Głos jój stawał się coraz cichszy i niepewny. Osunęła się na przewróconą dnem kadeł i pociągnęła ku sobie irlandzką sukę.

— Kettly!... Kettly!... — szeptała.

Tadeusz zbliżył się i przyklęknął z drugiej strony jój kolan.

— A ja?... — dopominał się błagalnie.

Ona, tak jak tam, na wybrzeżu morskiem w Concarneau, drugą rękę położyła na głowie Tadeusza. Harap leżał teraz na jój kolanach, przecinając tkaninę jój jasnej sukni czarną linią. Część jój ręki dotknęła twarzy Tadeusza.

I nagle Muszka pobladła jeszcze więcej, źrenice jój rozszerzyły się w niepomierny sposób, usta rozchyliły się, ukazując biel zaciśniętych zębów.

Nerwowym, gwałtownym ruchem odepchnęła od siebie psa i przyciągnęła mężczyznę.

— Kochany!... kochany!... — wyszeptała.

Tadeusz, zanim zdołał dotknąć jój ust, jakaś jasna smuga przesunęła mu się przed oczyma. Psy zaczęły ujadać, jak szalone. Równocześnie Muszka z nadzwyczajną siłą odepchnęła go od siebie i, po-

rwawszy się z miejsca, pochyliła się ku niemu, jak hyena.

— *Arrière, canaille!*... — zawołała drżącym głosem.

Harap śmignął w powietrzu tuż nad głową Wielohradzkiego, który klęczał ciągle, oszalały, nieprzytomny, kurcząc instynktownie głowę przed świszzącymi w powietrzu rzemieniami.

Po za plecami posłyszał nagle głos męski:

— Co się tu dzieje? co to znaczy?

Nerwowym ruchem Wielohradzki wykręcił głowę.

Po za nim, w drzwiach otwartych, stało kilku mężczyzn: Wielohradzki zdretniał; w najbliższej stojącym poznał Maleniego.

Dygnitarz!—a jego twarz biała i olbrzymia, pochyłona cokolwiek, zdawała się być potworną nieruchomą maską, zawieszoną w powietrzu. Twarz ta planowała w przestrzeni, przecięta czarną plamą oczodołów i jamy ust napół otwartych. Tadeusz pozostał na klęczkach w postawie żaka szkolnego, złowionego na kradzieży jabłek. Trwoga ogarnęła go straszna. Podwładny i kochanek drewnieli w nim równocześnie przed zwierzchnikiem i mężem. Nie czuł śmieszności swojej pozy, nie starał się nawet nadrobić fantazyą, której nigdy nie miał na zbyciu.

Psy przycichły trochę, gdyż w otworze rozsuniętych drzwi ukazywały się postacie psiarczyków, nadbiegłych co tchu z lasu na widok nadjeżdżających

niespodziewanie powozów, wiozących Maleniego i kilku sportsmenów.

— Co się tu dzieje? *voyons...* co się stało? — zapytał Maleni.

Bez chwili wahania Muszka, wyprostowana i dumna, odparła:

— Ten pan (harap ukazał Wielohradzkiego) zna cokolwiek weterynaryę. Chciałam, aby obejrzał uszy Molly... ten pan zapomniał się... przywołałam go do porządku... *Voilà!*

Mrużyła oczy, patrząc z góry na Wielohradzkiego. Robiła w tej chwili wrażenie dobrej aktorki, i tylko wprawne oko dostrzedz mogło drżenie jej rąk i nerwowy skurecz warg. Czuła, iż w tej chwili rozgrywa się cała jej przyszłość i że z apoteozy tryumfalnej świetności, w jakiej żyła, spaść może na dno nędzy moralnej, ubóstwa materyalnego (względnego) i śmieszności zapomnienia się w objęciach tak marnej kreatury, jaką był Wielohradzki.

Ton jej mowy był już napozór zimny i obojętny, lecz pot zrosił jej krzyż, a w gardle zaschło. Nie śmiała spojrzeć w twarz męża. Instynktem odgadywała, że Maleni zrozumie prawdę i nie uwierzy jej słowom. Lecz nadzieja, iż człowiek ten nad wszystko ceni swoją karierę i utrzymanie się na stanowisku, dodawała jej otuchy.

Maleni bez najmniejszej zmiany w twarzy wysłuchał słów żony. Zdawać-by się mogło, iż odpo-

wiedź tę on jój myślą dyktował i suggestyjonował. Gdy skończyła, podał jój ramię.

— *Acceptez mon bras!*... — wyrzekł spokojnie.

I gdy ona oparła swoją rękę na jego ramieniu, wyprowadził ją z psiarni pomiędzy dwoma rzędami rozstępujących się mężczyzn.

Na progu usunął ramię i Muszka odwróciła się twarzą ku niemu. W téj chwili spotkały się ich źrenice i zamigotały w słońcu wiosenném przez jedną sekundę. Pierwsza Muszka spuściła powieki. W tém mgnieniu oka zrozumiała, iż Maleni wie całą prawdę: tyle pogardy i ironii uczuła we wzroku męża.

Lecz teraz była już zupełnie spokojna i pewna siebie. Giest, którym Maleni ofiarował jój ramię, był pełen szacunku i godności. Wiedziała, że ramię to prowadzić ją będzie nadal mimo wszystko i utoruje jój drogę świetną i wspaniałą. I lekko a majestatycznie oddaliła się wśród krzaków zieleniejących od spodu, a po wierzchu pociągniętych krwawym refleksem zapadającego słońca.

Przez ten czas Tadeusz podźwignął się z ziemi. Słowa Muszki spadły na niego jak lodowy grad i zmroziły całą jego istotę. To przejmujące zimno fizyczne zabijało w nim poniekąd wszystkie wrażenia moralne. Potarł ręką czoło, spojrział dokoła i z ciemnej massy kręcących się psów przeniósł wzrok na stojących w strudze światła mężczyzn i na powracającego ode drzwi Maleniego.

Uczuł, iż musi coś powiedzieć koniecznie, i zbiełami usty wybelkotał z jakąś mimowolną unizonością:

— *Je suis à vos ordres, monsieur!*

Lecz Maleni, z rękami w tył założonemi, z cylindrem zsuniętym z czoła, nie spojrział nawet w stronę Tadeusza.

— *A mes ordres?* — odparł obojętnym głosem — *dites: aux ordres de mes domestiques!*

Lekko wykręcił głowę ku psiarczykom, którzy od kilku chwil uprzątałi gorliwie próżne miski i sortowali psy, zapędzając je do klatek.

— Wyrzucić tego człowieka! — rzucił przez ramię.

Poczém zwrócił się ku stojącym ciągle nieruchomo mężczyznom:

— Panowie... proszę za mną! obejrzymy najprzód Gordon Setter'y, a później przejdziemy do Dachshundów. Mam nadzwyczajne niemieckie i...

XIX.

Wielohradzka wypila herbatę, zjadła suchą bulkę i, przyciemniwszy trochę lampę, usiadła przy stole.

Zmęczona była i smutna.

Jakiś niepokój rwał jęj serce od samego rana. Zdawało się jęj, gdy wstała, że nie ma dachu nad głową, i czuła się samą, chorą i opuszczoną nad wyraz wszelki. Powróciła od Piknickiej, gdzie zaczynał panować nastrój świeżo zakładającego się gniazda. Tęcia, zupełnie swobodna i szczęśliwa, była punktem jasnym, do którego ciągnęły spojrzenia babki, Felka, pana Janczewskiego i samęj Wielohradzkiej.

Wyprawa, przygotowywana powoli, zalegała teraz komodę, stoliki, krzesła. Była to biel skromna, dziewczęca, wdzięczna i czysta. Tęcia kąpała się w tém ubóstwie śnieżném tanich koronek i płótna. Stawała się coraz więcej kobieta, rozwijała się jak kwiat, jak ptak gotujący się do lotu. Wielohradzka

w tój atmosferze zapominała się, przejmując się mimowoli radosnemi nadziejami i szczęściem danėj chwili, jakby i dla niėj była w tém jakaś osobista cząstka. Powróciwszy do domu, znalazła się w pustce i osamotnieniu. Natychmiast przecucie nieszczęścia spadło na nią, jak sęp, i zaczęło rwać jėj serce. Chciała się modlić, lecz książka wysunęła się z jėj rąk. Banalne frazesy drukowanej modlitwy nie wystarczały jėj. W głębi serca nic znaleźć nie mogła.

Usiadła więc w półcieniu i swe zbolale oczy zanurzyła w przestrzeń, w którój majaczył jakiś niewidzialny wróg groźnego fatalizmu.

— To ten list Radolta tak mnie rozstroił — pomyślała, opierając głowę na spracowanej dłoni.

Rano bowiem dostała list od literata, który przez jėj życie przesunął się jak cień, zostawiając jako wspomnienie srebrzystą strugę gorących łez i chromatyczną gamę jęku tortuowanego zwierzęcia.

I jęk ten powtórzył się teraz, dobywając się całą siłą z tego szmatu papieru, przysłanego z zapadłej wioszczyzny górskiej, w którój dogorywał Radolt. Nie była to śmierć fizyczna, natychmiastowa i nieunikniona, lecz była to agonia moralna wyczerpanėj życiem istoty. Radolt szalał ze smutku i rozpaczy w otoczeniu ludzi prostych, cierpiąc podwójnie wśród jasności i przestrzeni wioskowėj.

„Kona coś we mnie z dniem każdym o zachodzie słońca — pisał do Wielohradzkiėj — kona ciężko

i boleśnie. Przechodzę całą Golgotę śmierci i sędzę, że już wszystko skończone. W nocy śpię jak umarły. Nie śnię, jestem bez czucia, bez życia. Lecz rano budzę się i doznaję uderzenia maczugą. Cały ten trup, który, zdawało mi się, że już tylko potrzebuje się rozłożyć i w proch rozpaść, odżywa i torturuje mnie długi, długi dzień, bez chwili wytchnienia. Wieczorem rozpoczyna się moja męka. Nie wiem, czy mnie Pani zrozumie, ale ja w téj samotności, ze wspomnieniem téj strasznej zbrodni, jaką na mnie spełniono, chwilami tracę resztę rozsądku, jaka mi jeszcze pozostała. Z chwili trochę przytomniejszej korzystam i skarżę się Pani, bo Pani jedna okazała mi, nie litość, ale serce prawdziwe i współczujące. Jeślim natrętny—przepraszam! ale ja dławię się od tak dawna i rana moja nie może się zagoić, i tylko jątrzy się i boli coraz więcej! coraz więcej! Jad, który ci ludzie w rany wlewają, jest silny i zbierany z żadeł piekielnych potworów. Nic nie zdoła go zniszczyć, nic żeń nie uleczy. Strzeż Pani Tadeusza, aby i on nie zatrzał się tym jadem, bo nawet w swém sercu nie znajdziesz na tę śmierć powolną lekarstwa. Moja matka, prosta chłopka, ale zawsze to matka. Próbowałem wypłakać się u jej kolan. Nie pomogło! Jeszcze mi chyba dodało smutku i goryczy!..”

Przeziągle i chrapliwie wybiła na zegarze w kuchni jedenasta.

Wielohradzka myślą przechodziła ustępy listu Radolta.

„Strzeż pani Tadeusza, aby i on nie zatrul się tym jadem!...”

Powoli Wielohradzka zaczęła wnikać w siebie i bezstronnie zapatrywać się na minione chwile. Muszka, wyjazd Tadeusza do Concarneau, owe piękne rojenia małżeństwa z panną Dobrojowską, zniweczenie tych nadziei, w które ona tak gorąco, tak niezłomnie wierzyła—nie byłże to już ów jad, owa trucizna, która weszła w jej życie i w życie Tadeusza?

Nigdy od tej chwili nie zdołała odzyskać równowagi i zawiązać dawną, serdeczną nici pomiędzy sobą i synem. Ciągle rwało się coś pomiędzy nimi, i widmo kobiety o miedzianych włosach stało po za progiem ich ubogiego mieszkania, w którym tryumfowały gnomy złośliwe codziennych, materialnych kłopotów.

I coraz więcej, coraz więcej serce Tadeusza oddalało się od niej; czuła to doskonale: dziecko jej nie było już jej dzieckiem. Jakiś mur wznosił się powoli pomiędzy nimi dwojgiem. Jego uraza do matki rosła coraz większa, uraza niesformułowana, ale istniejąca. Ona zaś, zdjęta jakimś nieokreślonym zrozumieniem swój winy, usuwała się, pokorna i załęczniona.

„Nawet w swém sercu nie znajdziesz na tę śmierć powolną lekarstwa”.

Ten człowiek miał rację.

Nie znalazła w swém sercu lekarstwa na ten rozkład moralny i rozterkę duchową, jaką czuła w Tadeuszu. Nie umiała z nim mówić teraz i unikała nawet wszelkiej głębszej rozmowy. Była dla niego pozornie obcą i przestawała tylko na pielęgnowaniu jego potrzeb cielesnych; czuła bowiem, że wszystko, o czém mówić będzie, zadźwięczy pusto i fałszywie wobec téj lodowatéj pustki, jaka zaczynała wytwarzać się pomiędzy nimi. Po stronie syna, po za jego postacią, Wielohradzka dostrzegała teraz całą masę widm, zbitych w jeden kłęb błyszczący i hałaśliwy, ona zaś była po swój stronie sama jedna, zziębła i opuszczona.

Wybiła dwunasta.

Wielohradzka nie myślała nawet gotować się do spoczynku. Siedziała wciąż, jakby oczekując na przybycie jakiegoś spodziewanego gościa. Zamiast serca, czuła lodową bryłę; mimowoli, ruchem oczekującego na cios ptaka, kurczyła głowę w ramiona.

Wobec téj fatalnej a nieuniknionej jakiegóś grozy, która nad nią zawisała, czuła się bezsilną i nawet modlitwą nie próbowała odpędzić upiora, czyhającego po za zamkniętymi drzwiami jéj mieszkania. Posłyszała, iż ktoś wchodził na wschody. Nie były to kroki Tadeusza.

Ktoś szedł ciężko, jak człowiek pijany lub chory. Zatrzymywał się chwilami i znów zaczynał swą wędrówkę, potykając się z łoskotem, objijając się o ściany.

Nie—nie był to chód Tadeusza, a jednak Wielohradzka powstała z krzesła i, zwrócona twarzą ku drzwiom, oczekiwała na tę istotę, która niepokojącym łoskotem przerywała nocną ciszę. Podo drzwiami kroki ustały.

Nastąpiło wielkie głucho milczenie.

Wielohradzka, bez oddechu, nieruchoma, z oczyma szeroko otwartymi pod pasmami swych srebrnych włosów, stała wciąż wyprostowana, z rękami przyciśniętymi do piersi.

Klamka pociśnięta otwarła się prawie bez hałasu i jakaś postać zgarbiona wsunęła się do przedpokoju.

Człowiek ten miał odzież Tadeusza, lecz trzymał pochyloną głowę i opuszczone wzdłuż ciała ręce. Gdy stanął na progu, podniósł głowę, i Wielohradzka poznała cień swego syna w tej masce prawie zielonej, o oczach zapadłych i nosie zwężonym, jak u trupa. Włosy przylegały mu do skroni; dolna warga obwisła bez woli. Zdawał się nie oddychać, powieki nie zamykały się.

Przez krótką chwilę zatrzymał się u progu i oparł o drzwi. Potoczył wzrokiem dokoła i nagle usta mu

drząc, jak dziecku, zaczęły. I rzucił się naprzód, wielkim głosem wołając:

— Mamo! mamol...

Jak skrzydła dobroczynnego ptaka, tak rozwinęły się macierzyńskim giestem ramiona Wielohradzkiej.

Za chwilę Tadeusz klęczał u jęj kolan i szlochał gwałtownie, jak dziecko.

Pochylona nad nim Wielohradzka tuliła jego głowę, a przez myśl jęj przesuwaly się słowa listu:

„Moja matka—prosta chłopka, ale zawsze to matka! Próbowałem płakać u jęj kolan—nie pomogło!”

XX.

Po słowach i postępku Maleniego Tadeusz nie mógł się nawet spodziewać, iż Maleni wyzwie go na pojedynek.

Jakież jednak było inne wyjście z téj potwornéj sytuacji? Dotychczas ludzie nie wymyślili jeszcze nic innego, jak w podobnych razach wzajemny mord i zbrodnię, usankcyonowaną obecnością świadków i kodeksem światowym. Tadeusz jednak nie mógł mieć po doznanéj obeldze nawet téj satysfakcyi, aby dać się pokrajać, albo przeszyć kulą rewolwerową.

Maleni powiedział: „wyrzucić tego człowieka!”— i w ten sposób cała sprawa załatwiona została. Dla Malenich, dla świadków całego zajścia Wielohradzki już nie istniał. Muszka tego samego dnia była wieczorem w teatrze, w asystencyi męża, który nawet raczył zamanifestować pewnego rodzaju większą kurtuazyę względem żony. Było to mało, nie prawie; napozór ci państwo zachowywali się względem

siebie lodowato, *correct* i obojętnie. Lecz subtelne owe odcienie nie uszły uwadze panów, którzy byli świadkami owego zajścia w psiarni. Byli to jednak ludzie niezmiernie dobrze wychowani, fałszywi i rozumiejący doskonale, co mówić wypada, a co należy zachować dla siebie. Milczącą umową postanowili całą tę scenę pozostawić w otchłani swój niepamięci. Ponieważ sam Maleni nie zrobił najmniejszej alluzji w późniejszej rozmowie, jasnym więc było, iż pragnął, aby fakt ten wymazany został z pamięci obecnych. Ludzie ci byli tak zjednoczeni i spojeni ściśle intelektualnie, iż żaden z nich nie zastanawiał się nad postępkami Muszki i nie szukał wyjaśnienia. Przyjęli to, co Maleni im podał, i zadowolnili się tém zupełnie.

Gdy w pół godziny później wsiedli do wojskowego breaku o niskim pudle i wysokim koźle, z pomalowanymi na żółto kołami, nie mieli najzupełniej wyglądu ludzi, przed których oczyma rozegrała się tragedia, mogąca zniszczyć i w gruzy obrócić sytuację tej kobiety, siedzącej na koźle, pod baldachimem mieniającej się parasolki. Patrzyli na nią obojętnie, nawet bez zaciekawienia, jakie zwykle w przeciętnej burżuazji wywołuje historia wiarołomstwa. Zresztą nie było dowodów. Prawdopodobnie było tak, jak mówiła Maleniowa.

Tymczasem Wielohradzki szalał w bezsilnej rozpaczy.

Rozszlochany i rozspazmowany legł u kolan matki i tam powoli wyjęczał jęj całą prawdę. Ominął tylko szczegół swęj bytności u Muszki. Instynkt kazał mu zataić ohydę tego objawu ze strony kobiety w obecności drugiej kobiety, czystej i nieskalanęj.

Wielohradzka, pobladła i drżąca, wysłuchiwała spowiedzi syna. Nie przestawała pieścić go i uspakajać, lecz ręce, przesuważące się po jego włosach i twarzy, miały nerwowe ruchy nagle oślepego człowieka. Gdy Tadeusz umilkł, i ona nagle zapadła w nieruchomość, cała biała w pasmach swych siwych włosów, z oczyma jeszcze więcej w głąb zapadłemi. Zdawała się stać nad brzegiem jakiejś przepaści, pełnej zgnilizny i robactwa. Nie miała siły cofnąć się, ona — ona moralna królowna. Jakaś brutalna ręka zdzierała z nięj teraz wiekową pleśnią porośle taśmy, któremi duszę jęj, tam na wsi, od dziecka skrepowano, suchą, lecz zarazem romantyczną dłonią obowiązku. I to, czego Tadeusz nie powiedział, ona odgadła i zrozumiała.

W sercu uczyła wielkie zimno i czerń niezmierną.

Tamta kobieta, zdradzająca swego męża w rok po zamążpójściu, wydała się jakimś fenomenem, chorobą zaraźliwą, o której wśród epidemii słyży się ciągle często, lecz której się nie widzi, i często umiera się, nie mając pojęcia, czém była owa epidemia, wśród której się przeszło. Wzrok jęj padł na syna

i mimowoli ręce jęj nerwowo zaczęły odsuwać się od jego głowy.

Był to spółnik tęg kobiety, oszust, kłameca i złodziej...

Wkładał się do domu Malenich i tam „plamił honor” pana domu.

Dla Wielohradzkiej fakt ten wydawał się szczytem zbrodni i grzechu.

Lecz równocześnie ogarnęło ją wielkie rozrzewnienie. Tadeusz, drobny i mały, tulił się do jęj kolan, nędzny i zmęczony, jak ptak, który zabłąkał się zdala od gniazda. I matka zwyciężyła kobietę. Ręce Wielohradzkiej znów otuliły głowę syna i tylko wargi jęj pozostały milczące, zbielałe, jakby szron z głębi jej serca wstąpił na nie i piał się ku skroniom, na których śnieżyły się dwa płatki siwych włosów, korona smutku i mozolnie przebitego wieku.

Zacęła się teraz dla Wielohradzkiej prawdziwa Kalwarya, krzyżowa droga, którą ona iść musiała, dźwigając na zbolących plecach krzyż, zbyt ciężki na barki jednej spracowanej istoty.

Stała u stóp Golgoty, jak prawdziwa *dolorosa*, uboga i pokrywająca swój ból i lzy koniecznością konwenansów.

Tadeusz, po przepłakanęj i przejęczanęj nocy, oświadczył rano, iż do biura nie pójdzie, że nie pój-

dzie tam nigdy, aż do chwili, w której Maleni bić się z nim będzie, jak na dwóch ludzi „honoru” przystało.

Zamknął się w swoim pokoju i leżał na łóżku, zrywając się co chwila, jak szalony, wybuchając płaczem i rzucając się ponownie na posłanie.

Należało według tradycyi, aby to mąż, znieważony i szarpnięty na swym „honorze”, wyzwał kochankę; lecz Tadeusz nie uchodził nawet w oczach Maleniego za „kochanka” *en règle*, ale prosto za takiego pana, który się zapomniał. Nie należało więc nawet spodziewać się przysłania świadków ze strony Maleniego.

Była to straszna i dojmująca pogarda, to stanowisko, jakie owa para dygnitarska zajęła względem Wielohradzkiego. Ocalając nieskazitelność swęj reputacyi małżeńskiej, pograżono jednocześnie „tego drugiego” w otchłani najzupełniejszego poniżenia. Nie istniał dla nich pomimo tego, co zaszło. Istnieć nie mógł.

A jednak Wielohradzki spodziewał się, że Maleni, zrozumiałwszy sytuację, w tajemnicy bodaj zażąda od niego *honorowej* satysfakcyi. Całą duszą pragnął teraz być traktowanym, jak ktoś z towarzystwa, jak ktoś mogący być kochankiem Maleniowej i partnerem w pojedynku pana Maleniego. I szalone to pragnienie rosło i potęgowało się w nim z każdą minutą. Nareszcie owo ostrze szpady, krzywa

linia pałasza lub lufa pistoletu zaczęły go hypnotyzować i zdawać ma się upragnionym celem, do którego dążyły teraz jego pragnienia i myśli.

Głęboko zakorzeniona idea uleczenia swego honoru i zmycia obrazu we krwi, cięcie się i rąbanie tradycyjne nurtowały go i suggestyjonowały mu konieczność pojedynku. Z myśli zeszała mu najzupełniej Muszka. Nie myślał o niej. Widział ją we mgle jakichś wspomnień. Zasłonił ją Maleni, straszny, groźny, nieubłagany obojętny. Ta obojętność właśnie była najmonstrualniejszym faktem. Tadeusz wywolywał w gorączce oczekiwania fantazją swoją potworne sceny pomiędzy sobą a mężem Muszki obelgi wzajemne, nawet zamieniane policzki...

Zdawało mu się, że jest tam, w psiarni, że Maleni stoi przed nim, we drzwiach czerni się tłum kasynowców. Coś jasnego, jakaś smuga biaława znika pomiędzy czarnymi sylwetkami mężczyzn. To Muszka odchodzi. I zaraz, po wyjściu „damy” — on i Maleni mierzą się pogardliwym wzrokiem, stają naprzeciw siebie, jak dwaj godni siebie przeciwnicy. I zamieniają słowa równoważne z obu stron. Wielohradzki powściąga się, rozumiejąc rozdrażnienie oszukanego męża, lecz nareszcie wybucha, podnosi rękę, przecina powietrze...

Nagle — słyszy głos łagodny matki:

— Mój Tadiusz kochany!... wypij choć trochę herbaty z cytryną!...

Tadeusz kryje głowę w poduszki. Rzeczywistość chwyta go w swe szpony. Nie odpowiada matce i tylko pragnie ciemni i spokoju. Jest tak zboląły moralnie i fizycznie, iż zdaje mu się, że jest jedną raną. Jęczy cicho, jak obite szczenię. Wielohradzka już jęk ten znała.

Odżył w jój wspomnieniach z chwil niedawno minionych. Był to jęk Radolty, kryjącego tak samo jak Tadeusz głowę w poduszki. I mimowoli Wielohradzka zaczęła pielęgnować syna tak, jak pielęgnowała tamtego „obdartusa”, do którego przywiązała się z powodu jego łez i rozpaczy.

Więc — zimne kompresy na głowę i serce, brom, kwiat pomarańczowy podawała teraz kolejno, pochylona nad synem, z czołem przeciętym bolesną blizną, zgrzybiała nagle i postarzała w ciągu jednej nocy.

Powoli na usta jój wypłynęły słowa, z początku jedynie macierzyńskie, pieszczotliwe, później coraz energiczniejsze, żeby rozbudzić w Tadeuszu jego zamierającą wolę.

Lecz gdy z urywanych zdań syna zrozumiała, iż Tadeuszowi chodzi o pojedynek z Malenim, zdrętwiała znów cała.

— On się ze mną bić musi!... powinien!... ja muszę się z nim bić!... mam!... ja muszę koniecznie!... — wybuchnął wreszcie Tadeusz, zrywając się z poscieli.

Wielohradzka cofnęła się, przyciskając ręce do piersi.

— Bić się?... ty?... Tadziu!...

Serce jój macierzyńskie załopotalo nagle wszystkimi skrzydłami trwożliwej rozpacz. Pojedynek zarysował się nagle przed nią, jak czarne widmo, wlokące za sobą śmierć nieuniknioną. Bez tchu stała teraz na środku małego pokoiku, oświetlonego żółtawém, chmurném światłem. Deszcz bił o szybę drobnego okienka i spadał z pluskotem z dachu brzydką szemrzącą kaskadą. W pierwszym pokoju Tęcia, odgadując instynktem kobiecym tragiczność sytuacji, szła oicho, starając się nawet nie szeleścić jedwabiem swój ślubnej sukni, do której starannie przyszywała kokardy ze śnieżnej wstążki. Odstawiła maszynę i wyniosła kanarka do kuchni. Przechucie jój mówiło, iż chodzi tu o rzecz ważniejszą niż o zwyczajny atak nerwowy Wielohradzkiego. Lecz tak obojętną teraz była względem tego człowieka, iż troszczyła się jedynie o samą Wielohradzką i współczuła jój cierpieniu. Gdy Wielohradzka wyszła z pokoju syna i podeszła ku oknu, aby tam, wsparłszy głowę o szybę, stać długą chwilę w milczeniu i zadumie, Tęcia z przerażeniem śledziła tę twarz nagle postarzałą, na której zarysowały się brózdki wielkiego zgnębienia i straszego smutku. Tymczasem w duszy Wielohradzkiej zaczynał odbywać się proces dziwny, lecz ściśle logiczny i naturalny.

Byłą kobietą, matką, a więc istotą trwożliwą o życie i całość swego dziecka.

Lecz zarazem była to szlachcianka, mająca prawem dziedziczości przekazaną żyłkę do pojedynków i wychowana w tradycji, iż moralna zniewaga zmywa się fizycznym bólem, i że to, co się nazywa „obrazą honoru” — reparauje się przecięciem skóry lub przedziurawieniem ciała.

W pierwszej chwili zdrętwiała na myśl o pojedynku, powoli wszakże wystąpiła na scenę duma, i ta nurtować ją zaczęła. Zrozumiała ból i rozpacz syna. Maleni bić się z nim nie chciał... Dlaczego?

Czy ród Wielohradzkich nie starszy i nie piękniejszy od rodu Malenich? Czy ich „gniazdo” nie równie zaszczytne i wspaniałe, jak „gniazdo”, z którego pochodzi mąż Muszki?

W sercu jój wezbrał straszny gniew.

Z pokoju syna dolatywał ciągle cichy jęk Tadeusza. Gdyby nie wstyd, i ona zaczęłaby mu wtórować, tak dławila ją teraz zmora nieszczęścia. Dokoła niój zaległa ciemnica. Nie widziała punku wyjścia. Honor Tadeusza wzgardą Maleniego został w proch zmiądzony.

Co dalej? co dalej?

Cichutko z pokoju wysunęła się Tacia i powróciła do babki.

Biała jój suknia ślubna leżała teraz rozpięta na krześle, sztywne i dziewiczo śnieżne.

Wielohradzka przygasła oczy na tę biel zwróciła i smutnie pokiwała głową.

Nie, przez tę dziewczynkę nieszczęście nie weszło by do ich domu. Dlaczego sprzeciwiała się początkowo temu związkowi? Dlaczego raczej nie uczyniła wszystkiego, aby Tadeusz ożenił się z Tecią!

I znów jęk Tadeusza, jęk głośniejszy i boleśniejszym wyrzucony głosem, targnął nią całą:

— Mamo! mamol!...

Powoli oderwała się od okna i weszła do pokoju syna. Co mu powiedzieć miała? jak go uspokoić, kiedy ona sama czuła taki ból i taką rozpacz, jaka nim szarpała?

Weszła jednak i rękę zimną i wystygłą położyła na głowę syna.

— Mamo!... ja się z nim bić muszę!... — jęczał Tadeusz.

— Nie!... nie!... — przeczyły usta matki, a buta, przesądów pełna, powtarzała w głębi duszy:

— On się bić musi, on się bić powinien! ..

I w rozterce téj wyczerpywały się jój siły i rozdrażnienie nerwowe zaczęło wzrastać teraz z niepo hamowaną szybkością.

XXI.

— A ot i jaśnie pan!... — wymówił psiarczyk, wskazując sylwetkę Maleniego, migającą czarną plamą wśród pozółkłych krzaków.

Wielohradzka poczuła, iż serce w niej zamiera, i pod fałdami okrycia przycisnęła ręce do silnie falującej piersi.

— Dobrze!... dziękuję ci, moje dziecko! — wy-rzekła zbielełymi ustami.

Psiarczyk oddalił się, z łoskotem łamiąc schnące gałęzie. Deszcz żółtych i czerwonych listków spadł na niego, jak farandola nagle zbudzonych motyli.

Wielohradzka nie ruszyła się z miejsca i tylko uparcie wpatrywała się w Maleniego, a oczy jej zaciągnęły się wilgotną mgłą.

Magnat stał teraz nieruchomy, zwrócony ku niej cokolwiek profilem, z głową opuszczoną na piersi. Nie było w nim ani śladu tej zwykłej dumy i samowoli, jaką imponował drobniej a zalegającym gmach

namiestnictwa rzeszy. Jakiś robak fatalny zdawał się go udręczać i w ten ranek jesienny gryźć, dręczyć i dławić. Jego oczy biegły w kierunku psiarni, której zabudowania czerniały wśród krzaków. Coś w jego życiu, tak wspaniale się prezentującym, było nie po jego myśli i odbierało mu zwykły spokój. Sądząc się samym, zrzucił z ramion płaszcz imponującej powagi i majestatu, którym oszałomił ludzi.

Wielohradzka, również zgnębiona i nieruchoma, patrzyła na niego długą chwilę i, nerwowe podniecenie, które pędziło ją do Paprotki wczesnym rankiem, zaczęło nikać i ustępować zwolna trwodze i zwątpieniu.

Kilka nocy bezsennych, spędzonych przy łózk^u szalejącego coraz więcej Tadeusza, natchnęło ją myślą napozór potworną i fatalną. Z myślą tą biegła ku Maleniemu, podniecając się z całych sił w bolesnym zrozpaczeniu, i teraz, będąc o kilka kroków od tego człowieka, nie śmiała nawet poruszyć się, aby dać mu znać o swęj obecności.

I tak stali oboje długo, nieruchomi, zgnębieni, jak dwa czarne posągi na tle purpury i złota jesienno-go drzew, na podstawie szarój, gdzieniegdzie jeszcze zielonawej ziemi. Trochę babiego lata ucze-piło się czarnej szaty Wielohradzkiej, jak żałobna nić srebrna na całunie okrywającym katafalk. Po nad nimi gorzało niebo dziwne, zabarwione purpurą,

tak, jakby ktoś kroplę krwi dolał do zwykłego niebieskiego błękitu.

Nagle Maleni odwrócił się i ciężkim krokiem iść zaczął.

Szedł teraz prosto ku Wielohradzkiej; ujrawszy tę wyniosłą a tak tragiczną postać niewieścią, zaważał się krótką chwilę.

Było to jednak mgnienie oka. Maleni szedł dalej i, zbliżywszy się do matki Tadeusza, zamierzał przejść obok, uchyliwszy lekko kapelusza.

Błada twarz Wielohradzkiej zbielała jeszcze bardziej. Z ust, które stały się niemal sine, wybiegł szept:

— *Excusez... comte...*

Szept był zaledwie dosłyszalny, lecz Maleni zatrzymał się natychmiast. Wyprostował się mocą nalogu i oczy przymrużył. Nie przywdział jednak na twarz maski impertynenckiej grzeczności, z jaką przyjmował zwykle swoich suplikantów. Przeczucie mówiło mu, iż ta siwa, blada kobieta odegra w jego życiu ważniejszą, niż przypuszczał, rolę.

— Czém mogę służyć? — zapytał równie cichym głosem.

Ona wahała się chwilę, mnąc fałdy swego płaszcza w drżących od wzruszenia rękach.

— Jestem... Wielohradzka!..— wyrzuciła wreszcie przez zaciśnięte zęby.

Czoło Maleniego zalała fala krwi.

Nazwisko Tadeusza, głośno wyrzeczone obok niego, o kilkanaście kroków od tej psiarni, w której rozegrała się fatalna owa scena, oblało go warem.

Zmarszczył brwi i wpakował energicznym ruchem ręce w kieszenie kurtki.

— Czém mogę służyć? — powtórzył machinalnie, nie patrząc już w twarz Wielohradzkiej.

W niej zaczął wzbierać gniew głuchy, z którego zdać sobie sprawy na razie nie mogła.

To „czém mogę służyć?” — dopełniło miary.

— Przychodzę — wyrzekła szybko, zamykając oczy, jak ktoś rzucający się w przepaść — przychodzę względem owego pojedyńku...

Lecz Maleni przerwał jój brutalnie:

— To było zbyteczne. Możesz pani być o swego syna spokojną... Ja się z nim bić nie będę!

Teraz ona wyprostowała się dumnie i z pogardą zmierzyła olbrzymią postać magnata.

— Dlaczego? — zapytała.

Maleni spojrział na nią uważniej z pod brwi ciągle ściągniętych.

— Dlaczego? — powtórzył — dlatego... że... bić się z tym panem nie mogę...

— Ale dlaczego?

— Dziwne to pytanie... proszę mi wybaczyć, że na nie nie odpowiem. Rozumiem jednak pani trwogę i powtarzam: może pani być spokojną, ja bić się z synem pani nie będę...

— A ja przychodzę prosić, a w razie potrzeby żądać, abys pan bił się z moim synem!...

Słowa te przecięły powietrze, jak uderzenie stalowej szpicruty, i spadły zupełnie niespodziewanie na głowę Maleniego.

Magnat cofnął się kilka kroków i spojrzał ze zdumieniem na stojącą przed nim kobietę.

— Pani? pani, matka, chcesz, abym się bił z synem pani?

— Tak! ja, matka!... Dlatego właśnie, że kocham moje dziecko, nie mogę pozwolić, aby to dziecko zginęło moralnie i cierpiało, jak ono teraz cierpi.

— Pani źle kochałaś swego syna!...

Wielohradzka milczała długą chwilę, wreszcie odparła:

— Nie wiem, czy źle kocham, wiem to tylko, że, kocham tak, jak umiem i jak mnie kochać nauczono!...

— Nauczono panią kochać źle, fałszywie, błędnie... Staralem się dowiedzieć dokładnie, jakie jest wasze życie i kim jesteście. Przekonałem się, że pani sama zgubiłaś swe dziecko...

Z oczu Wielohradzkiej płynąć zaczęły dwie strugi łez.

— O... panie hrabio!... — załkała boleśnie.

— Wiem, że jestem w tej chwili okrutnym — ciągnął dalej Maleni — ależ to wreszcie przyjsć mu-

siało. Na błędną drogę pchnęłaś pani swego syna i na błędną drodze utrzymywałaś go bezustannie.. I to kosztem jakich ofiar!...

Głos jego złagodniał, oczy nabrały wyrazu wielkiej litości i współzucia. Dyplomata-dygnitarz znikł, zaczął się ujawniać człowiek, mający na dnie duszy jaśniejsze i sercowe porowy.

— Nie płacz pani!...— wyrzekł powoli— lzy teraz na nic się nie przydadzą. Katastrofa przyszła, i uniknąć jej nie możecie. Jeżeli dobrze zrozumiałem, chcesz pani, ażebym zażądał od twego syna honorowej satysfakcji?

— Tak!... proszę o to!...

On zrozumiał, ile bólu, walk i męczarni musiała przejść ta matka, aby sformułować podobną prośbę i to tak cichym, pokornym niemal głosem.

I znów zaległo milczenie, przerywane tylko szmerem spadającej gałęzi lub szelestem płynących po powietrzu liści.

Wreszcie urywanym głosem, tak, jakby wstydząc się tego, co powiedzieć musiał, zaczął mówić Maleni:

— Ja... go wyzwąć nie mogę... Mogłoby to bowiem... dać powód do podejrzeń i rzucić cień... na moje nazwisko...

Mówiąc, oczyma mimowoli wskazywał na zabudowania psiarni, bo w jego umyśle odżywała najdokładniej owa scena, której znaczenie istotne rozu-

miał dokładnie, lecz musiał i wołał w oczach świata nie rozumieć.

— Trzeba... ażeby... syn pani był na wieczorze... najbliższym... u Orzeckich naprzykład... ja go obrażę... i on mi przyśle sekundantów...

— A hrabia przyjmie?

— Przyjmę!

— Słowo?

— Słowo!...

Spojrzeni sobie w oczy.

Mężczyzna był widocznie znużony i krople potu spływały mu z czoła.

Kobieta, trupio-błada, drżąca, zdawała się być widmem, zjawiającem się wśród ementarzyska.

Maleni uklonił się teraz i zwrócił do odejścia.

— To wszystko, co dla pani mogę zrobić! — wyrzekł, unosząc kapelusza.

Lecz ona wstrzymała go błagalnym giestem.

— Nie zrób mu pan nic złego!... — zawołała, płacząc serdecznie.

Maleni zawahał się chwilkę.

Chciał ująć tę rękę, która wyciągała się ku niemu błagalnie i pokornie, lecz nie śmiał.

Zdjął go nagły lęk i wstyd go ogarnął za rolę, jaką miał odegrać w tej tragedji prostej a napozór tak skomplikowanej.

— Bądź pani spokojna!.. — wyrzekł, schylając nisko głowę.

Odszedł, i Wielohradzka pozostała teraz sama wśród złota i purpury jesieni. W powietrzu była cisza zupełna i fałdy jęj szat opadały prostemi, niewzruszonymi liniami aż ku samęj ziemi. Kilka liści żółkłych uczepiło się tych fałd i plamiło matowém złotem czerń wdowich sukien.

I w strudze słońca, które, świecąc, nie grzało, srebrzyły się dwie strugi gorących łez, płynących z pod zbolących powiek kobiety.

XXII.

Nad brzegiem Sanu, het błękitną strugą wijącego się leniwo, wyszli oboje, syn i matka, na codzienną nadwieczorną przechadzkę.

Mijali powoli ostatnie domki miasteczka i kierowali się ku polom zieleniejącym obszerną płaszczyzną w oddali.

I daleko za sobą pozostawili Przemyśl, te drobną mięscinę, w której teraz im zbiegiem losu żyć przyszło.

Szli wolno i w milczeniu: ona —zawsze wyniosła i majestatyczna w obramowaniu swych siwych włosów i czerni wdowiej; on—zgarbiony i chmurny, zgłowką pochyloną na lewe ramię, w bolesném i szpetném kalectwie.

Mówili do siebie mało, monosylabami, i to jeszcze matka pierwsza wszczyniała rozmowę, wybierając starannie tematy, które nie drażniłyby coraz więcej zdenerwowanego Tadeusza.

On zwykle przerywał rozmowę, często opryskliwie, czasem smutkiem łagodnym zdjęty.

I jego wielkie błękitne oczy błędziły wtedy po horyzoncie, przygasłe i skarg pełne. Zdawał się być ptakiem, któremu podcięto skrzydła i wypuszczono na wolność. Wlókł się po ziemi i nie miał siły nawet porwać się do lotu. Milczał i wpadł w fatalną apatyę. Często głos matki drażnił go i doprowadzał do szału. O czém bowiem mówić mogli z sobą na tém wygnaniu, w téj mieścinie, pełnej plotek głupich i śmiesznych, i żydów zamiatających połam chałatów śmiecie uliczne? Od dwóch lat mieszkali już tutaj: on, nędzny urzędniczyna przy miejscowym staroście, zdegradowany i przeniesiony do Przemyśla; ona, niemająca odwagi rozpocząć w małym miasteczku swój krawiecczynny, zdjęta ciągłym jeszcze wstydem przed fałszywą hańbą uczciwego zarobku.

Co wieczór więc szli nad brzeg rzeki i tam siadali na belkach, które leżały na wpół zasypane piaskiem.

On patrzył na zachodzące słońce, nie odczuwając całej piękności téj chwili; ona patrzyła na niego, i w sercu jęj krwawiła się rana podwójna. To straszne oszpecenie, to cięcie pałaszem Maleniego, które przecięło ścięgna i raz na zawsze skrzywiło głowę Tadeusza, przechylając ją ku lewemu ramieniu, odezwało się moralnie i w jęj sercu. I ona na całe życie była zraniona, cierpiąc męki nieokreślone, ile ra-

zy spojrzenie jój padło na postać dawnego wodzireja Ten kaleka z tak tragicznie pochyloną głową, milczący i znękany, to był jój Tadzio, wodzirej kotyliónów, strojna laleczka, obwieszona cackami orderów lub dzwoniąca brzękadłami maskaradowego stroju!... I widmo „karyery”, które było celem i ideałem jój życia, to widmo pierzchło przed oszpecceniem i kalectwem dawniej tak pięknego chłopaka.

Pojedynek, wyblągany przez nią samą, odbył się nareszcie w olbrzymiej sali jakiegoś zajazdu na przedmieściu Lwowa. Tadeusz, strwożony, zdenerwowany, nieumiejący obchodzić się z bronią, odsłonił się odrazu i tém samém mimowolnie zmusił Maleniego do zadania mu fatalnego i niezmiernie rzadkiego w kronice pojedynków na krzywe pałasze — ciosu.

I wśród tych zachodzących blasków słonecznych Wielohradzka przeżywała codzien tę straszną chwilę, w której stanęła u łoża swego syna, bezprzytomnego i krwią zalanego. Targnęło się w niej serce i głos wielki, potężny wołać zaczął, jak echo słowa Maleniego:

— Kochałaś go źle!...

I znów odpowiedź drgała w głębi jój duszy:

— Kochałam tak, jak kochać umiałam i jak mię nauczoño.

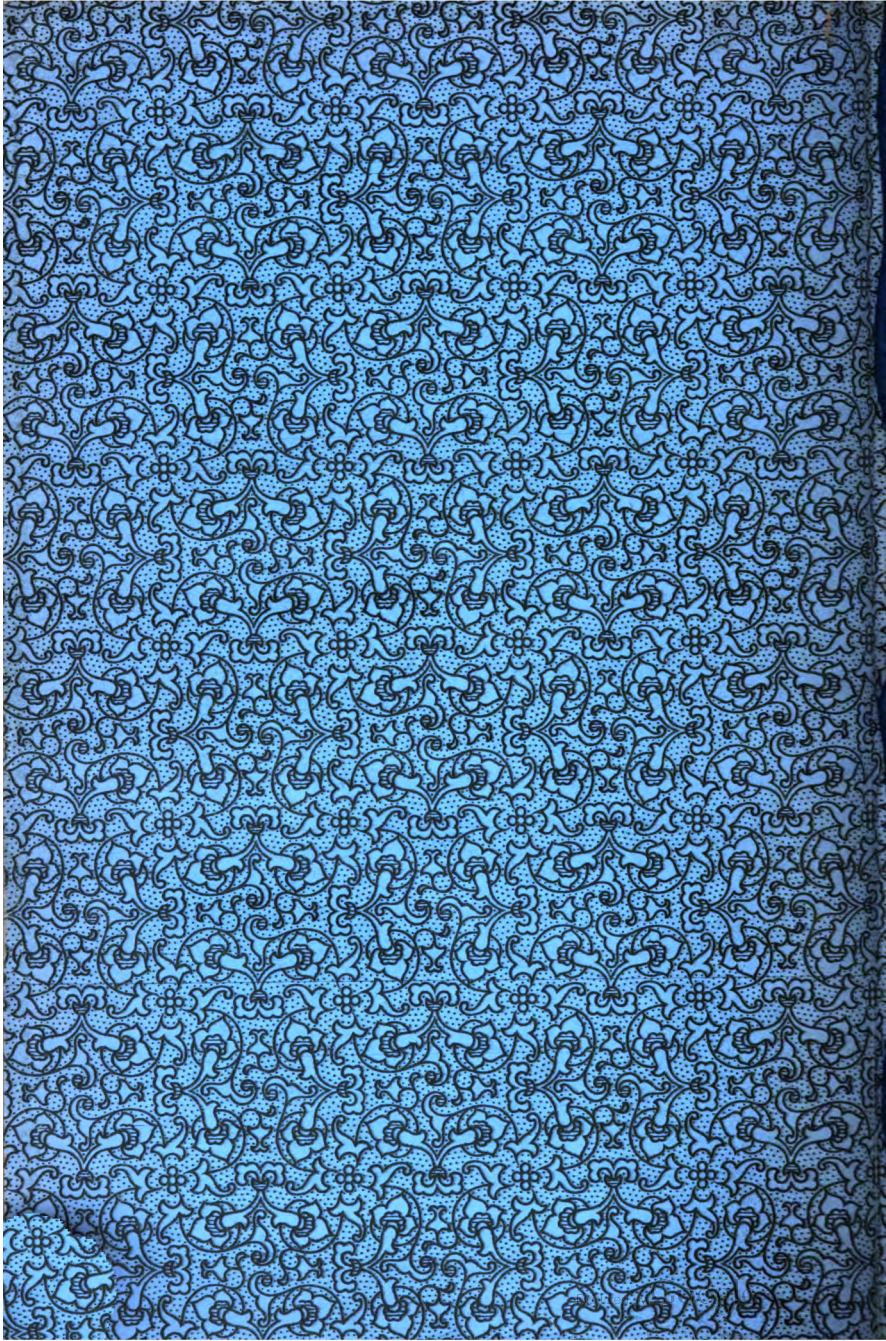
-- Nauczono cię źle!...

Wtedy Wielohradzka ukrywała twarz w dłonie,

aby pograć się w zupełnej ciemni. Byłaż ona odpowiedzialną za to, co się stało? Gdzie szukać miała przyczyny nieszczęścia? Czy wogóle była odpowiedzialną za popełnione czyny?

Tymczasem Tadeusz, siedząc obok niej zwrócony twarzą ku rzece, zapadał coraz w większą zadumę. Błękitne jego oczy ciemniały i pokrywały się mgłą wielkiej tęsknoty. Widocznym było, iż ścigał jakieś dawne i przez siebie bardzo ukochane mary. I powoli ręka jego, trzymająca laskę, zaczynała wykonywać ruchy. Laska zanurzała się w piasku i lekko zakreślała koła, cyfry i linie. Piasek pokrywał się symetrycznymi brózdami, a na czole Tadeusza występowała zmarszczka. Z przekrzywioną głową, bładym, wycieńczonym chorobą i apatyczną wagaćcją, jaką pędzić musiał — kreślił wodzirej mozolnie i pracowicie .. nową figurę kotyliona.

K O N I E C.



Stanford University Libraries



3 6105 015 048 924

16
7158
235
w6
v.2

Date Due

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA
94305



